

C. BOGUCKA, C. NIEWIADOMSKA

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ I SZĄ

WYDANIE SIÓDME, UZUPEŁNIONE I POPRAWIONE WEDŁUG GŁÓWNYCH ZASAD PISOWNI POLSKIEJ, UCHWAŁONYCH PRZEZ AKADEMJE UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE W DNIU 15-ym STYCZNIA 1918 R.



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA :::: LUBLIN :::: ŁÓDŹ
KR. KÓW :: G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Cena w opr. kart. Mk. 6.—

C. BOGUCKA, C. NIEWIADOMSKA

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ I^{SZA}

~~~~~  
WYDANIE SIÓDME  
UZUPEŁNIONE  
~~~~~



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

[det. brzoś. s. 93-100]

Geprüft und freigegeben durch die Kats. Deutsche Presseverwaltung
Warschau, den 21/VIII-1918. T. Nr. 11127, Dr. Nr. 101.



I. 385.344

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005788122

Drukiem F. Wyszynskiego i S-ki, Warszawa, ul. Zgoda Nr. 5.

1. Wezwanie.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju ¹⁾?
 A czy znasz ty, bracie młody,
 Twojej ziemi bujne płody?
 Pola bitew, ojców groby
 I pomniki starej doby?
A czy wiesz ty, co w nich leży?
O, nie zawsze i nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!
 Poznaj, pókiś jeszcze młody,
 Co kochane było wprzód,
 Nim twe serce krwią dziedziczną
 Kochać mogło ziemię śliczną.
Wyleć ptakiem z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię.

W. Pol.

Jak się twój kraj nazywa? Jakie znasz w twoim kraju miasta, rzeki, morza, góry? Co ci się w twoim kraju najlepiej podoba? Czy dobrze jest poznać kraj własny? Czy można kochać kraj swój, jeśli go nie znamy? Jak każdy kraj swój nazywa?

Co to znaczy: bujne płody? krew dziedziczna? rodzinne plemię?

¹⁾ Rzeka, wpadająca do morza Czarnego; tutaj znaczy wogóle rzeka daleka i nieznana.

2. Bardzo dawno.

(Niby-bajeczka.)

I.

Dawno, bardzo dawno temu, w ogromnym lesie, który nazywano puszczą, mieszkali dzicy ludzie.

Nie mieli oni chat wcale, spali w gąszczu na gałęziach, w wypróchniałych starych drzewach lub kryjówkach między skałami. Na pokarm zabijali leśne zwierzęta: wilki, niedźwiedzie, zające, — odbierali miód pszczołom; dzieci zbierały jagody i owoce leśne. Za broń służyła im potężna pałka z twardego drzewa lub kamień, którym bardzo celnie rzucali. Polowanie też było jedynem ich zajęciem i dostarczało, oprócz mięsa i krwi ciepłej, jeszcze i skóry na odzież. Bo innego ubrania nie mieli ci ludzie dzicy.

Ludzie ci nigdy nie wychodzili ze swej puszczy, myśleli, że świat cały pokryty jest lasem, który nie kończy się wcale.

Tymczasem jednego razu pewien dziki człowiek, powróciwszy z polowania na płochliwą sarnę, której dogończyć nie mógł, opowiadał dziwne dziwy.

Mówił, że las się kończy, a za lasem rozciąga się ogromna, nieskończona równina, pokryta tylko trawą. Drzew na niej niema wcale.

Inni wierzyć mu nie chcieli. — To nie może być — mówili, — tobie się chyba zdawało.

Dziki człowiek rozgniewał się i postanowił raz jeszcze iść do końca puszczy, przypatrzeć się zielonej, nieskończonej równinie i opowiedzieć braciom wszystko, co tam zobaczy.

Jak postanowił, tak zrobił. Zabrał swoją pałkę, kilka kamieni i wyruszył w drogę. — Będę mądrzejszy od was wszystkich — myślał; — zobaczę tyle rzeczy, o których wy nawet nie wiecie.

Szedł cały dzień, do wieczora. Przespał się pod drzewem i szedł znowu w tę samą stronę, uważając na słońce, bo inaczej byłby zabłądził i nigdy nie wyszedł z puszczy.

II.

Całe pięć dni szedł w ten sposób dziki człowiek, ale dopiero szóstego dnia przed wieczorem wyszedł na koniec z lasu i ujrzał przed sobą ogromną łąkę, pokrytą bujną, soczystą trawą i kwiatami. Kwiatów była moc wielka: żółte, różowe, białe, aż się w oczach mieniło, — a trawa zielona, puszysta, miękka, jak najpiękniejszy kobierzec.

Łąka ciągnęła się tak daleko, że końca jej dojrzeć nie mógł, ale pomyślał sobie, że to zapewne z powodu zapadającego już zmroku. Jutro obejrzę ją lepiej, tymczasem spać się położył.

Zasnął, lecz zbudził go wkrótce chłód nocny. W lesie ciepło było w szalaście z gałęzi, na posłaniu z mchu miękkiego, pod dużą wilczą skórą. Biedny dziki drżał z zimna, bo wiatr powiał mroźny, i kropelki rosy na trawie w biały szron się zmieniły. Ciężko doczekać ranka i słonka cieplejszego.

— Mieli słuszość moi bracia, że nie chcieli iść ze mną — pomyślał sobie dziki; — tu pewno nikt nie mieszka: ani drzewa na schronienie, ani zwierzęcia na pokarm; wolę moje lasy, puszcze nieprzebyte.

Błysnął wreszcie promyk słońca, i w tej samej chwili ruch wielki powstał na łące: rozległy się krzyki ptaków, głosy zwierząt, wśród których zdawało mu się, że różniawo nawoływania ludzi.

— Czyżby tu ludzie żyli? — pytał sam siebie z wielkiem zadziwieniem. — Jeżeli są naprawdę, to muszę zobaczyć, czy podobni do nas, i zapytać ich, co tu robią.

Nagle spostrzegł całą gromadę ogromnych zwierząt z rogami na głowie, postępujących zwolna i skubiących

trawę. Stąpały dosyć ciężko grubemi nogami, a niektóre wydawały ryk przeciągły.

Dziki człowiek stał i patrzył. Myślał sobie, ile to mięsa na jednym takim zwierzęciu! Już sięgnął nawet po największy kamień, aby ugodzić w głowę piękną zdobycz, gdy inne głosy zwróciły jego uwagę. Był to jakby płacz dzieci. Spojrzał w tamtą stronę, a tu mnóstwo białych i czarnych zwierzątek, także z rogami na głowie i krótkimi ogonkami, biegnie, pobekując, cisnąc się jedne na drugie, jakby przed kim uciekały.

Dziki człowiek teraz dopiero spostrzegł, że za pierwszym i drugim stadem biegły niewielkie, do wilków podobne zwierzęta, poszczekując, naganiając i nie pozwalając rozpraszać się rogaczom.

— A to dziwy, dziwy! — powtarzał dziki człowiek. — Tyle zwierzyzny! To się najeść można dopiero!

Z wielkiego zdziwienia zapomniał, że ma kamień i pałkę i mógłby sobie zaraz upolować śniadanie bez trudu. Jeszcze mu to na myśl nie przyszło, gdy rozległ się głośny tętent, i nadbiegło kilkanaście zwierząt tak pięknych, jakich nigdy w życiu nie widział. Wysokie, zgrabne, bez rogów, ale z bujną grzywą i długim rozwianym ogonem, biegły lekko, rżąc, podskakując, jakby cieszyły się słońcem, wilgotną trawą i dzionkiem Bożym.

— Ooo! — zawołał dziki i więcej nie powiedzieć nie mógł z powodu nadmiernego zachwytu.

III.

Największe jednak zdziwienie teraz dopiero czekało dzikiego, gdy ujrzał na jednym z tych zwierząt człowieka.

Koń pędził, człowiek krzyczał, trzymając się grzywy, wywijał długą witką i kierował całą gromadą.

Za pierwszym jeźdźcem ukazał się drugi, potem trzeci i czwarty... Dziki człowiek sam już nie wiedział, co myśleć, więc przyłożył do ust obie ręce niby trąbę i huknął z całej siły.

Przestraszone zwierzęta pomknęły galopem, lecz jeden z jeźdźców zatrzymał swojego rumaka i podjechał do nieznanego.

— Coś ty za jeden? spytał zdziwiony. — Skąd się tu wzięłeś?

— Ja jestem mieszkańcem puszczy, ale ktoś ty taki?

— Ja jestem mieszkańcem stepu.

— A cóż ty tutaj robisz? Jak żyjesz? Czem się żywisz?

— O — rzekł jeździec, — dawniej trudno nam żyć było, ale odkąd zaprzyjaźniliśmy się ze zwierzętami, niczego nam nie brakuje. Mamy odzież i pożywienie.

Jakto! zaprzyjaźniliście się ze zwierzętami? Alboż zwierzę może być przyjacielem człowieka?

Właśnie gdy dziki wymawiał te słowa, w puszczy za nimi rozległ się ryk groźny, i straszne niedźwiedzisko ukazało się o kilka kroków. Pasterz się przeląkł, bo nie miał z sobą żadnej broni, ani psa do pomocy, ale myśliwy w mgnieniu oka zmierzył i trafił napastnika między oczy potężnym kamieniem, a na ogłuszonego wpadł ze swą maczugą. Teraz i pasterz przybiegł mu na pomoc, i psy ryk usłyszawszy, mknęły po zielonej łące. Wkrótce też trup niedźwiedzia leżał rozciągnięty na trawie.

— Dzielny jesteś — rzekł pasterz do dzikiego człowieka; — ty pokonałeś niedźwiedzia, ale zabrać go z sobą nie możesz: za ciężki. Pozostaw nam tę zdobycz, a za to wybierz sobie dwoje zwierząt naszych, które ci się podobają.

Myśliwy się zamyślił. Konia wybrać nie mógł: piękne zwierzę nie przedarłoby się przez gąszcze leśne; krowa

także, — wziął więc dwa psy młode, ażeby je nauczyć polowania, a pasterz dodał mu jeszcze owieczkę, ażeby bracia jego skosztowali świeżego mleka.

Potem zasiedli wszyscy razem do śniadania. Pili mleko z worków skórzanych, jedli suszone owoce, ziarna jakieś i korzonki, a wkońcu po kawale niedźwiedziny.

Zaspokoiwszy głód, myśliwy z psami i owieczką ruszył do swoich braci, aby ich przekonać, że las całego świata nie pokrywa, że na stepach czyli łąkach niezmierzonych żyją ludzie-pasterze i hodują oswojone zwierzęta.

Jaka jest prawda w tej niby-bajce? Czy zawsze ludzie żyli tak, jak dzisiaj? Jak sobie wyobrażasz mieszkania pierwotnych ludzi? Czem się oślaniali od chłodu? Co jedli? Czy ważną dla nich rzeczą było oswojenie zwierząt? Co człowiek daje oswojonym przez siebie zwierzętom i co ma od nich?

3. W kraju króla Gwoździka.

Nasz Dobrotko ¹⁾ raz w południe
Ku nieznanej szedł krainie.
Wszędzie ludnie, wszędzie cudnie,
Przed nim droga, jak dla pana,
Cienkiem suknem wyściełana.
Z każdej strony płynie rzeka:
Jedna z miodu, druga z mleka.
Na wybrzeżu, zwodząc tany,
Razem piją wilk z barankiem.
Dalej pałac zwierciadlany
Koralowym świeci gankiem.
Jest i ogród z wieczną wiosną,
Gdzie na wierzbach gruszki rosną,

¹⁾ Dobrotko wędrował po żywą wodę, żeby powrócić życie zmarłej matce.

I brzmia liry samograje.
Radość! Jasność! Woń! Muzyka!
Chłopiec patrzy i... poznaje:
— Al.. to kraj króla Gwoździka!
 Ledwie nadszedł, czujna warta,
 O lustrzane blanki ¹⁾ wsparta,
 Chwyta trąbę, hasło daje —
 I te wszystkie budzi kraje.
Bramy gmachu się rozwarły.
Z niej wyjeżdża w pysznej grozie
Wóz żałobny, a na wozie
Ach, król Gwóźdźik leży zmarły!
 W gronostajach i szkarłatach,
 Śpi na kirach ²⁾ i na kwiatach
 Wielkogłowy, ciemnolicy
 Pan żelaznej tajemnicy.
Przed nim wojska bohaterzy,
Dzwonią Noże i Siekiery.
Za nim idą dostojnicy:
Klin z Haczykiem, Świder z Młotkiem;
A za nimi, jak od wieków,
Lecą kupy prostych Ćwieków.
 Wszyscy stają przed Dobrotkiem
 I poduszkę niosą przodkiem,
 Na poduszce lśni korona,
 Klejnotami zatrzęsiona.
 Wszyscy pokłon mu oddali,
 A choć chłopiec pędzi przodkiem,
 Klin mu taką mowę pali:
— My witamy cię tak mile,
Do gadania mamy tyle,
Ty uciekasz? Czyż nie prościój,
Byś przystanął choć na chwilę?

¹⁾ Blanki — mury.

²⁾ Żałobne szaty, zasłony.

Jesteś w kraju pomyślności.
Wybadaliśmy wyrocznie,
Ta kazała, byśmy co dnia
Szli za bramy wschodnią stroną
I pierwszego tam przechodnia
Uwieńczyli tą koroną.
Tyś jest pierwszy! Bierz-że władzę!
Nie chcesz stanąć? Tak ci pilno?
Ha, i na to po rozwadze
Dam ci radę nieomylną:
Nie zbaczając z twojej dróżki,
Ściągnij ręką do poduszki,
A my, wierne twoje służki,
Wszędzie pójdziem twoim śladem,
Byleś tylko włożył djadem¹⁾.
 Tu się Ćwieki posypały
 Do nóg panu, i tłum cały,
 Głosem chrześzcząc, jak grzechotką,
 Krzyczy: — Wiwat król Dobrotko!
A ten ręką ani ruszy,
Tylko idzie, myśląc w duszy:
— Niech on sobie tron zachwala.
Choć Klin mocną ma wymowę,
Mnie nie zabił klina w głowę.

Deotyma.

(Dobrotko nie mógł się odwrócić ani przyjąć korony, bo gdyby zmienił cel drogi, straciłby wartość — i nie wróciłby życia matce. Ten cel osiąga, kto nie ulega pokusom i dąży do niego wytrwale.)

Czy może być taki kraj, jak w tej baśni? Czy wszystkie kraje na ziemi są jednakowe? Czem się mogą różnić? Co znaczy przysłowie: „Było to za króla Ćwieka i brata jego, Gwoździka“?

¹⁾ Dyadem — korona.

4. Historia ziemi.

Uczeni wytworzyli sobie następujące wyobrażenie o sposobie powstania ziemi. Ziemia była niegdyś kulą rozżarzoną, płynną, złożoną z roztopionej masy. W takim stanie oderwała się zapewne przed wiekami, podobnie jak inne planety, od słońca, które do dzisiaj jeszcze znajduje się w stanie żarzącego roztopu. Z upływem czasu masa ta ostygła, poczem powierzchnia jej skrzepła, tworząc skorupę, otaczającą płynne wnętrze. Z początku skorupa ta wielokrotnie pękała, płynna masa dobywała się na wierzch, a ogromne odłamy stężących skał tonęły we wnętrzu. Trwało to wiele wieków, dopóki wreszcie nie wytworzyła się trwała skorupa, obejmująca wnętrze po części płynne, oparta—jak mniemają niektórzy—na trwałem rusztowaniu, z owych zatopionych odłamków złożonem.

Łatwo zrozumieć, że na powierzchni tej gorącej masy woda utrzymać się nie mogła: była ona wszystka w atmosferze¹⁾, w postaci gorącej pary. Dopiero gdy powierzchnia ziemi ostygła niemal do tego stopnia jak obecnie, para wodna skropliła się i opadła na ziemię w postaci ulewnych deszczów. Woda zebrała się w najgłębszych kotlinach i utworzyła morze.

Wszystko to, co wystawało ponad powierzchnię morza, tworzyło ląd stały. Nie ulega wątpliwości, że rozkład lądu i morza był wówczas inny, niż obecnie; nowe lądy dobywały się na wierzch, inne zagłębiały się w morzu. Ślady tego działania dotrwały aż do naszych czasów: objawiają się one jako trzęsienie ziemi, a niektóre lądy dotąd zmieniają poziom²⁾.

Co to znaczy atmosfera? kotlina? wnętrze? trzęsienie ziemi? Zrób rozkład.³⁾ Wypisz wyrazy z trudniejszą pisownią.

¹⁾ W powietrzu.

²⁾ Wysokość położenia nad powierzchnią mórz.*

5. Lech.

Po gwiazdnej nocy fale Warty¹⁾
Witały cichym szeptem słońce,
Co wstało wielkie, gorejące,
I na polisty kraj otwarty
W koronie lasów, rzek błękicie,
Słało królewską łaską — życie.

Po gwiazdnej nocy fale Warty
Zdumione widzą brzeg kwieciany
Lud na nim zbrojny, a nieznany,
I jakiś wódz — na mieczu wsparty:
Wyniosła postać, wzrok sokoła,
Włos złoty rzeźbi marmur czoła.
Na skrzydłach wiatru ponad fale
Głos jego dźwięczny z siłą płynie:
— „Drużyno moja, w tej krainie
Bogom dziękczynne dary spalę
I tu założę wam siedlisko,
Co będzie wielkich dni kołyską...

Piękna to ziemia! anim we śnie
Marzył o takiej pól urodzie,
Zaciszu borów, modrej wodzie;
Tu życie nam rodzinne wskrześnie
Równiny zepną chat łańcuchy,
I będą z nami szczęścia duchy.
Gród, który na tej ziemi stanie,
Smukłemi baszty w niebo strzeli,
Lechickie plemię uweseli,
A będzie Gniezna mieć nazwanie
Od gniazda, które-m znalazł rano,
Za wolą bogów niezbadaną”.

¹⁾ Rzeka, wpadająca do Odry.

Skończył i wzrokiem powiodł wkoło.
„Niech żywie Lech!” radosne bieży
W błękitny nieba — z nad wybrzeży
Aż pod słoneczne sięga czoło.
„Niech żywie Lech!” i tysiąc skroni
Przed wodzem kornie się pokłoni.

I odtąd ponad fale Warty
Wciąż częściej ludzki głos dobiegał,
I stuk topora się rozlegał,
Co ciosał pierwsze wielkie karty
Dziejowej księgi...

Zofia Zacharkiewiczówna.

Opowiedz podanie o Lechu. Czy można w nie wierzyć? Dlaczego nas zajmują stare podania o naszej ziemi i jej dawnych mieszkańcach?

6. Gniezno.

Mała to dziś miejscina, licząca zaledwie kilka tysięcy mieszkańców, miłe jednak sprawia wrażenie zarówno czystością ulic i budynków, jak malowniczym położeniem wśród jezior, na kilku wzgórzach.

Kiedy powstało Gniezno — niewiadomo; pochodzenie nazwy miasteczka od gniazda jest jedynie podaniem; dziś uczeni dowodzą, że prawdopodobnie wyraz ten pochodzi od nazwy księcia: *kneź*, *Kneźno*, miejsce, gdzie książę zamieszkał. Ale któż wie naprawdę, jak tam było?

Najważniejszą pamiątką w Gnieźnie jest bardzo stary kościół katedralny, wzniesiony po raz pierwszy na miejscu pogańskiej świątyni jeszcze przez Mieczysława I. Tu spoczywają zwłoki świętego Wojciecha, umieszczone w srebrnej trumnie na ołtarzu, otoczonym kratami. A dokoła grobowce rycerzy, biskupów — szczątki dawnej wielkiej

przeszłości. Gdy staniemy przed niemi, zdają się mówić do nas o tem, co było, i pytać o dzisiaj.

W tym kościele koronowali się królowie polscy, zaczawszy od Bolesława Chrobrego. Ten król podobno przywiózł aż z Kijowa kosztowne spiżowe wrota z wypukłemi obrazami, które stanowią ozdobę świątyni.

W Gnieźnie miał niegdyś Chrobry obszerny swój zamek, w którym przyjmował Ottona III; ale dziś nie zostało po nim ani śladu, nie wiemy nawet, w którym miejscu się znajdował.

Za to posiada Gniezno jeszcze kilka bardzo starożytnych gmachów i kościołów, których wysokie wieże widać już zdaleka.

A dalej domy, place, fabryki jak wszędzie. Najwięcej fabryk sukiennych i płótna. Duże, porządne sklepy, szerokie ulice, ruch i życie, jak w każdym mieście.

A jednak na to wszystko inaczej patrzymy: zielone wzgórza, rozległe równiny, błękitna woda jezior, stare drzewa, wiatr nawet tutaj zda się mówić o przeszłości, o tych dawnych, nieznanych czasach, które te wody i ziemia widziały tak, jak nas dzisiaj widzą.

Stary, najstarszy może grodzie polski, opowiedz, ileś widział szczęścia i niedoli, ludzi i wieków, po których coś przecie zostać musiało dla nas!

Czy byłeś kiedy w Gnieźnie albo w Poznaniu? Co wiesz o świętym Wojciechu? Do kogo dziś Gniezno należy? Opowiedz o przyjęciu cesarza Ottona przez Bolesława Chrobrego w Gnieźnie.

7. Gołębnik.

W starym się gołębniku gołębie gnieździły;
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły,
Bo tam je karmiły matki,
Tam im się rodziły dziatki.

Właścicielowi przyszło coś do głowy
Wystawić gołębnik nowy;
Gustownie go wybudował,
Z wierzchu i wewnątrz nawet pomalował,
Nasypał ziarna do tej budowy wspaniałej;
Gołębie do starego jednak uciekały.
Właściciel kazał stary gołębnik rozrzucić:
Zaczęły się bardzo smucić;
Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły,
Bo im ten kącik był miły.
To wzruszyło ich pana — zebrał dawne szczątki,
I dla lubej im pamiątki
W tem samem miejscu i takiej budowy,
Ze starego zrobił nowy.
Bo poznał, że i w ptakach są uczucia tkliwe
I że nie wszędzie mogą być szczęśliwe.

St. Jachowicz.

8. Przeszło tysiąc lat temu.

I.

Przed lat tysiącem inaczej wyglądała ziemia nasza.
W głębi prastarych borów i puszcz nieprzebytych, nad
brzegami rzek i jezior — stały grupy niewielkich chat
drewnianych i ciągnęły się niewielkie pasy uprawnej zie-
mi. Były to wioski i osady praojców naszych.

Z uprawnych pól zbierali zboże, w rzekach i jeziorach
łowili ryby, puszcza dostarczała im zwierzyny, owce, które
na bujnych łąkach hodowali — wełny i kożuchów. Biedy
nikt nie zaznał, ziemia karmiła chętnie swoje dzieci,
które też ukochały ją całą serdecznością serc prostych.

Nie znając wiary Chrystusowej, czcili swoje bogi po-
gańskie, im w prostocie ducha składali ofiary, do nich się
uciekali o pomoc i radę, pod ich opiekę oddawali życie.

A liczne groziły im niebezpieczeństwa: piorun mógł spalić chatę lub zabić człowieka, w puszczy gnieździły się srogie zwierzęta, zbytek słońca palił zasiewy, a deszcze przeszkadzały żniwom.

II.

Idzie garstka kmieci do świętego miejsca przez rozległe, do przebycia trudne trzęsawiska ¹⁾, zakończone wałem, porośłym bujną trawą i kwiatami. Za tym wałem, na dużej polanie siedziało kilkunastu mężów w słomianych kapeluszach, w kożuchach wywróconych włosem do góry, uzbrojonych w łuki i maczugi, skupionych wokoło drewnianego budynku, będącego świątynią, czyli—jak to wówczas nazywano — gontyną. Starcy wszyscy siwobrodzi, siedzieli w poważnem milczeniu, a w dali, pod wałem stała w postawie pełnej uszanowania grupa młodzieży, także zbrojna i szepcząca między sobą.

Sama gontyna był to niewielki drewniany budynek, wzniesiony ze starannie ociosanych belek, pomalowanych na czerwono i niebiesko. Dach kryty był gontami, i stąd zapewne nazwa gontyny. Wejście do środka stanowiły drzwi rzeźbione. Drzwi były zamknięte, a nad dachem unosiła się gromada gołębi białych, które zrywały się i znów siadały na dachu, gruchając głośno. Słońce już dosyć wysoko się wzniosło, i gorąco tu było bardzo.

Przed samym budynkiem stał wielki, rozłożysty dąb, u dołu suchy, u góry tylko ozdobiony koroną zielonych liści. Kora jego popękana była w wielu miejscach i sam środek spróchniały zupełnie. Gromady wróbli kryły się między liśćmi, napełniając grodzisko²⁾ wrzaskliwym świergotem. Chmary wron i kruków przebiegały ponad polaną,

¹⁾ Bagna, błota.

²⁾ Miejsce warowne.

siadały na okopowisku i zrywały się znowu, by z głosem, złowróbnem krakaniem przelecieć ciężko i powoli.

Pod dębem, osłoniiony jego konarami i napół w nich ukryty, stał wielki, kamienny, niezgrabnie wyciosany posąg bożka Striboga. Przedstawiał on człowieka, mającego trzy szkaradne, z wielkimi czarnymi oczami głowy. Trzy te głowy opasane były pewnym rodzajem przepaski w kształcie trójkąta. Bożek ten, zwany także Strzygą, wyciosany był z piaskowca, niegdyś białego, dziś przez czas i deszcze mocno zczerniałego. Tu i owdzie po kamieniu znać było szare pasy od deszczu, który ściekał z gałęzi dębu.

III.

Miedzy obecnymi zrobił się ruch. Jak tylko arcykapłan podniósł się z wielkim trudem ze swego siedzenia pod dębem, powstałi zaraz wszyscy, bo i młodzież, dotąd osobno stojąca, złączyła się z wiekowymi mężami—i ruszono tłumnie ku gontynie. Wszyscy odkryli głowy, gdy kapłan zdjął swój kołpak bobrowy przed posągiem Strzygi. Oddawszy temu kamiennemu bożkowi kilkakrotny pokłon, wszedł do gontyny, której drzwi zostawił otwarte.

Teraz z pomiędzy zebranych poczęli występować niektórzy i składać pode drzwiami różne ofiary: ten kure, ów gołębia, tamten cielę lub jagnię, inny podpłomyk¹⁾, a jeszcze inny garść krup²⁾ lub mąki. Kozłatko jakieś, rzucone ze związanymi nogami pod gontynę, głośno i żałośnie beczało.

Wkrótce we drzwiach gontyny ukazał się siwobrody arcykapłan w białych szatach, ale przepasany nad biodrami czerwonym pasem, suto nabijanym złotymi gwoździami. Na głowie, w miejsce kołpaka, miał szczerozłotą koronę, a w ręce wielki nóż, wyrobiony z krzemienia. Posuwał on się wolno ku świętemu dębowi, a za nim szli inni kapłani,

¹⁾ Podpłomyk — rodzaj placka z mąki jęczmiennej.

²⁾ Kasza.

śpiewając starą jakąś pieśń. Kiedy zbliżyli się do bożka, stanęli i oddali mu trzykrotny pokłon, powtarzając ciągle:

— Strzyga! Strzyga! Strzyga!

Zaraz też jeden z kapłanów przyniósł owo beczące koźlę i położył je na wystającej podstawie u nóg bożka, a arcykapłan, zbliżywszy się, kilkakrotnie pchnął ostrym krzemienным nożem biedne koźlątko w samo serce. Krew trysnęła strumieniem i spływała na trawę po kamiennej podstawie. W ten sposób przebijano wszystkie przyniesione zwierzęta—a gdy ofiara ta się skończyła, młodzież wzięła zabite stworzenia i oprawiać je poczęła. Nad oprawcami tymi unosiły się gromadnie kruki i wrony, czekając na odpadki, chwytając one skwapliwie i walcząc o nie z sobą.

Tymczasem kapłani na ścieżce, od gontyny do okopu wiodącej, ułożyli włócznic¹⁾ ostrzami do siebie w ten sposób, że tylko wąskie przejście pozostało między nimi. Gdy już to zrobiono, jeden z kapłanów wywiódł z gontyny na złocistej uzdeczce białego jak mleko żrebca, który szedł, rżąc głośno, co między obecnymi wywołało radosne uniesienie, bo, jak mówili, dobrą było to wróżbą. Koń był prześliczny i tylko na czole miał gwiazdę czarną, a był on poświęcony najświętszemu z bożków, Jessemu²⁾, którego posąg ukryty był w głębi gontyny. Na koniu tym żaden człowiek siedzieć nigdy nie mógł.

Prześlicznego żrebca, niespokojnie grzebiącego kopytami ziemię, przyprowadzono przed arcykapłana. Ten, mrużąc smutnym i drżącym głosem jakieś słowa, wziął konia za uzdę i wprowadził go na ową wąską drożynę, między ostrza włóczni. Wszyscy skwapliwie otoczyli konia i pilnie patrzyli, czy nie zawadzi kopytami o które z ostrzy, co miało znaczyć nieuniknioną wojnę i wielki krwi rozlew.

¹⁾ Włócznia — rodzaj długiej dzidy, lancy. ²⁾ Jesse — bóg bogów i istnienia.

Jakoż niespokojny żrebiec nie uszedł i kilku kroków, gdy uderzył kopytem o jedno z ostrzy i odrzucił je daleko. Zaraz też podniósł się większy krzyk i lament. Potrząsano groźnie włóczniami, maczugami i wołano:

— Na wrogi! Na wrogi!

Młodzież w uniesieniu radości poczęła naciągać łuki i strzelać z nich do wron i kruków, które unosiły się nad grodziskiem, czyhając na resztki z oprawionych zwierząt. Kilka z tych ptaków padło przeszytych strzałami, a reszta rozbiegła się dokoła.

(Z W. Przyborowskiego.)

Co znaczą wyrazy: gontyna, kościół, synagoga, bóżnica, meczet, świątynia? Czy te świątynie były podobne do naszych? Objaśnij wyrazy: grodzisko, podpłomyk, włócznia, Jesse.

(Postać kraju naszego w owych czasach: puszcze, mało ziemi uprawnej, obyczaje i zajęcia ludu.)

9. Swą miłością dla Ojczyzny.

Swą miłością dla Ojczyzny
Polak wiecznie sławny będzie:
Ciężkie więzy, krwawe blizny
Znosił chętnie dla Ojczyzny.

Czy do Włoch, czy nad Nil żyzny
Z takim biegł zapałem wszędzie,
Że miłością dla Ojczyzny
Polak wiecznie sławny będzie.

10. W puszczy.

Coby to było na świecie bez lasu? Nawet sobie wyobrazić nie możemy. Las daje opał, las chroni przed wichrem, otacza wioski swym murem zielonym, w lecie łagodzi upały, daje schronienie zwierzętom i ptakom, a dla ludzi ma tyle skarbów, że w potrzebie może wyżywić każdego.

W naszym kraju nad Wisłą, Wartą, były niegdyś olbrzymie lasy, nieskończone, łączyły się jedne z drugimi, setki mil się rozciągały i niby płaszczem okrywały ziemię. To też zwykle ludzkie osady były w bliskości lasu, albo w lesie. Człowiek znał się z puszczą od dziecka i umiał brać jej dary, a strzedz się niebezpieczeństw, utajonych w gąszczu, przytem silny, zręczny, odważny, stawiał śmiało do walki z drapieżnem zwierzęciem.

Tak było w Polsce przed kilkuset laty. Wiemy dobrze z historii, że po Bolesławie Chrobrym, który Polskę rozszerzył od gór aż do morza i uczynił potężną nawet dla niemieckiego cesarza, nastały smutne czasy, smutne wojny. Rabowali sąsiedzi, burzyli się kmiecie, bo sobie powiedzieli, że to bogowie pogańscy zsyłają klęski za to, że ludzie nową przyjęli religię. Trzeba wytępić chrześcijan, to znów będzie dobrze.

Więc palili kościoły, rabowali grody, jak zwykle ludzie ciemni. Syn Chrobrego już nie żył, wnuka Kazimierza wywiozła matka Niemka aż do Niemiec, i nie miała Polska władzy ani króla, każdy broił, jak mu się podobało, a sąsiedzi korzystali, ziemię urywali i byliby zniszczyli całe państwo, gdyby Kazimierz Odnowiciel nie powrócił na ratunek swego narodu.

W takich to czasach gromada ciemnych pogan spaliła dużą osadę chrześcijańską, a ludzi wymordowała i poszła broić dalej, myśląc, że dobrze czyni, że broni sprawiedliwości.

Na miejscu chat zostały tylko zgliszcza i trupy niepożrebane.

Ale gdy noc minęła, tu i owdzie ruch jakiś widać: tu ciężko ranny jęczy albo kona, tam błaga o wodę lub wzywa pomocy.

Młody chłopiec, może 17-letni, usiadł nagle, otworzył oczy i rozejrzał się wkoło. Zdjęło go przerażenie i żal

straszny: ojciec, matka, rodzeństwo leżeli zabici, przyjaciele, sąsiedzi, krewni. Zdawało mu się, że sam jest na świecie i zapłakał głośno, bo wolałby nie żyć, niż patrzeć na to wszystko.

Nie miał żadnej rany, gdyż upadł uderzony w głowę, i rabusie myśleli, że zabity. Ale rodzice, bracia!

Nagle wydało mu się, że na twarzy siostry widzi jakby ruch jakiś. Pochyliła się nad nią, oblewa wodą, dziewczyna oddycha, jęczy, lecz żyje, co za wielkie szczęście!

Porwał ją jak szalony i zaczął uciekać w stronę czarnego boru, który był niedaleko. Zdawało mu się, że wróg za nim goni, więc biegł z całej siły, choć duża dziewczynka stanowiła ciężar, który utrudniał ucieczkę.

Ale biegł. Dopadł lasu, skrył się w gąszczu. Tu go nie znajdą, nie. Tu skryje się głęboko i ocali Kasie. Las ich osłoni, las wyżywi i przytuli dwie sieroty.

Chociaż czuł się teraz bezpieczny, szedł ciągle, gdyż chciał być jak najdalej od okropnego miejsca. Nie bałby się dla siebie, ale Kasia!

Miała lat ze dwanaście i była dość duża, ale tak osłabiona, że ledwo szła. Miała ranę od pałki, która krwawiła jej włosy, a prawą ręką ruszać bez bólu nie mogła. Wkońcu zaczęła prosić, by się zatrzymali, bo jest bardzo spragniona i zgłodniała, a wkoło czerwieniły się borówki i na gęstej leszczynie zwieszały się gniazda orzechów.

Dzieci postanowiły tu odpocząć.

Puszczą była stara i piękna. Wielkie drzewa, leśne strumienie, polanki, jagody, grzyby, orzechy, dzikie jabłka i grusze, mchy ogromne, miękkie trawy i kwiaty leśne. Po co szukać dalej, czemu nie zostać tutaj?

Wprawdzie były w boru i dzikie zwierzęta, ale teraz nie straszne, bo im nie brakuje żeru, a tak tu jakoś zacisznie i miło,

Zamieszkali w starym dębie wypróchniałym, z mechu i trawy usłali sobie niby łoża, — zbierali zapas owoców na zimę. — Janusz miał nóż przy sobie, który mu pozwolił zrobić coś niby broń z mocnej gałęzi.

Nie wiedział, w której stronie są ludzkie osady, i bali się oboje stąd wychodzić. Zdawało im się, że tu tylko dobrze, bezpiecznie i spokojnie. Więc robili, co mogli, ażeby zabezpieczyć się na zimę od mrozu i głodu. Rwali i ściнали trawę na polance, suszyli siano, złożyli je w stożek i mieli zamiar przynęcić nim łanie, aby mieć od niej mleko. Zbierali też korzonki i ziarna traw różnych, które po części mogły zastąpić im zboże.

Z czasem Janusz sporządził sobie łuk i strzały, Kasia z gałęzi brzozy piękny krzyż uplotła, — ze skór zajęcy mieli ciepłą odzież i jakoś zimę przebyli szczęśliwie.

Z wiosną postanowili wybrać się do ludzi, aby zdobyć różne narzędzia, lecz nie chcieli opuścić swej leśnej osady, i choć to dużo czasu zabierało, idąc, wycinali i łamali młode drzewka, aby zrobić dróżkę wyraźną.

Wiele dni tak wędrowali, nim natrafili na spokojnych ludzi, od których mogli dostać topór, garstkę zboża, lnu, trochę odzieży — więcej nie potrzebowali, poradzą sobie teraz.

Dostali także psiaka. Przyda się taki przyjaciel. Janusz coraz mocniejszy, zobaczycie, jak za lat parę wyglądać będzie leśniczówka.

Sześć lat trwały w kraju rozboje, grabieże, lecz kiedy Kazimierz wrócił, nastał znów porządek, dobrzy z radością wzięli się do pracy, a źli musieli także przed obawą kary.

Janusz i Kasia co rok odwiedzali ludzi i po trochu wiedzieli, co się dzieje w kraju, ale teraz nie chcieli już zupełnie opuszczać swego lasu.

I rzeczywiście po co? Mieli własną chatkę, krowę, psa, parę owiec, łączkę nad strumieniem, pole na kar-

czunku, i zagon lnu błękitniał prześlicznie na polance, w chacie kądziel, wrzeczono, pług przed chatą. I goście tu bywali, dobrzy przyjaciele, którzy polubili odważnego Janusza i pracowitą Kasię. Zapewne zamieszkają z nimi w swoich chatach, osada się powiększy i będzie weselej.

Czy człowiek może wyżywić się w lesie? Czy każdy człowiek może żyć w taki sposób? Jaki może? Czy łatwiej było to ludziom dawniej, czy teraz?

Czy znasz drzewa leśne: dęby, buki, sosny, jodły, świerki, graby, brzozy, leszczynę i inne? Jakie znasz krzaki leśne? Jakie jeszcze leśne rośliny i kwiaty?

Jakie zwierzęta żyją w lesie? Jakie ptaki? Jakie owady?

11. Modlitwa.

Niech się pieśń do Boga wznosi,
On Ojcem, my dzieci;
On nam deszczem ziemię rosi,
On nam słońcem świeci.

On nam liściem zdobi drzewa,
A kwiatami łąki,
Z jego woli słowik śpiewa,
Kosy i skowronki.

On pełnemi zbóż kłosami
Okrywa zagony,
On sad stroi owocami,
On nam daje plony.

On gwiazdami niebo złoci
I zapala zorze.
Ach, za tyle Twej dobroci
Dzięki Tobie, Boże!

12. Kościółek wiejski.

Kościółek wiejski stał na wzgórzu. Niewielki, murywany, z wysoką wieżyczką i dzwonnica. Kryty czerwoną ceglana dachówką, zdaleka jest widoczny. Otacza go dosyć obszerne podwórze, czyli tak zwany cmentarz, chociaż niema tu ani grobów, ani pomników. Podwórze ogradzają murowane słupy, połączone parkanem z desek, na których są wymalowane sceny z męki Chrystusa.

Do kościoła prowadzi niewielka kruchta. Wprost głównego wejścia jest tu krzyż z Panem Jezusem, a pod nim woda święcona w kamiennem naczyniu. Kościółek oświetlają duże okna, umieszczone bardzo wysoko. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz Chrystusa zmartwychwstającego, na prawo obraz Matki Boskiej, a na lewo św. Jana. Ołtarze zdobią sztuczne albo świeże kwiaty, stosownie do pory roku, i wielkie świece woskowe w wysokich świecznikach. Z obu stron obok wielkiego ołtarza znajdują się duże ławki, a na lewo drzwi do zakrystji.

W nawie ¹⁾ kościoła jest drewniana kazalnica, na którą wchodzi się po schodkach, i dwa szeregi ławek, między którymi pozostaje wolne przejście. Naprzeciwko głównego ołtarza znajdują się organy.

Zwykle w kościółku jest chłodno i mroczno, lecz gdy w niedzielę z rana, podczas nabożeństwa, przez kolorowe szyby błysną promienie słońca, napełniają go dziwnie uroczyste blaski. Od ołtarza wznoszą się dymy kadzideł, z organów płynie poważna muzyka, a z piersi ludu bije w niebo głos modlitwy, pieśń skruchy i dziękczynienia.

Na cmentarzu rosną lipy i topole, na dzwonnicy i nad oknami gnieźdzą się jaskółki i gołębie, — a za parkanem widać złotem szumiące albo czarne pola, w dali las, —

¹⁾ Wnętrze kościoła.

trochę na prawo plebanie¹⁾, a na lewo wstęgę chat wiejskich, otoczonych zagrodami i drzewami.

Co to jest kruchta, ambona, nawa, zakrystya? Czy to jest opis, czy opowiadanie?

13. Jezus naucza na górze.

Razu jednego, gdy się wielkie mnóstwo ludu około Jezusa zgromadziło, wstąpił na górę i nauczał:

„Kochajcie waszych nieprzyjaciół, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, i módlcie się za tych, którzy was obrażają i prześladują, abyście byli dziećmi Ojca Niebieskiego, który słońcu nad dobrymi i złymi wschodzić każe, dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych deszcz spuszcza. Bądźcie więc doskonali, jak wasz Ojciec Niebieski doskonały jest.

Czyńcie dobrze nie dlatego, aby was ludzie widzieli. Gdy jałmużnę dajesz, niech nie wie twoja lewica, co prawica daje.

Jeżeli odpuścicie bliźnim winy ich, Ojciec Niebieski odpuści wam także grzechy wasze. Lecz jeżeli nie odpuścicie ludziom grzechów ich, Ojciec Niebieski nie odpuści wam grzechów waszych.

Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Albowiem jaką miarką mierzycie, taką wam będzie odmierzono. Porzućcie wprzód błędy wasze, nim błędy bliźnich waszych spostrzeżecie. Wszystko, co chcecie, aby wam ludzie czynili, to wy im•czyńcie.

Nie każdy, kto mówi: „Panie! Panie!“, wejdzie do Królestwa Niebieskiego, lecz tylko ten, który pełni wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech.“

Ks. Serwatowski.

Zastanów się nad każdym ustępem tej nauki.

¹⁾ Domek proboszcza (plebana).

14. Dzionek na wsi.

Raniusieńko, jak zorze,	Grajek wziął się do smyka,
Słysząc ptaków śpiewania:	Spuścił nogi przez drabki:
Skowroneczek już orze,	Dylu-dylu, od ucha!
A przepiórka pogania;	Kto ma uszy, niech słucha.
Wiatr po liściach szeleści,	Środkiem włodarz ²⁾ się toczy,
Coraz widniej, niebiesziej.	Nawdział czapkę na oczy,
Każde przy swej robocie:	Zajrzał w dzbanek niedużo,
Bocian chodzi po błocie,	A nogi mu nie służą.
Słowik śpiewa a śpiewa,	Szumia lasy, hej lasy,
Żoła ¹⁾ lasy rozsiewa,	A w karczemce brzmia basy:
Przyśpiewują na głosy	Kiedy skakać, to skaczą,
To wilgi, to kosy,	A kiedy pić, to piją,
I człek myśli, że w raj,	A jak płakać, to płaczą,
A on w kraju, oj, w kraju!	A jak bić się, to biją...
Na zachodzie pogoda,	To już u nas tak idzie:
W jasnym niebie wesele,	Na połówkę nic niema;
Dał Bóg ludziom oj — wiele,	A pocierpieć jak przyjdzie,
Może jeszcze co doda...	To i to się wytrzyma.
Może zbóża dorzuci,	Ot i dzwoni już dzwonek
Może Polskę powróci...	Na wieśniaczym kościele;
Już z południa daleko,	Dzięki Bogu za dzionek,
Ludzie z miasta się wleką,	Za serdeczne wesele,
Idzie baba wśród drogi,	I za wszystko, co miłe,
Wiedzie krówkę za rogi.	I za wszystko, co boli,
Chłopek pędzi, a krzyka,	W ciężkiej pracy za siłę
Że aż kładą się szkapki.	I za uśmiech w niedoli.

T. Lenartowicz.

Czy podoba ci się życie na wsi? W jaki sposób ludzie na wsi pracują? Czy ich praca jest lekka i łatwa? Zamiłowanie ludu wiejskiego w pracy na roli, miłość ziemi i natury.

¹⁾ Żoła — dzięcioł czarny lub zielony.

²⁾ Włodarz — dozorca robót na wsi.

15. Bartoszek.

I. Wyruszyliśmy w pole w pełnym rynsztunku¹⁾: Tadek ze strzelbą i ładownicą, ja z puszką i siatką na motyle.

Gdy tak idziemy miedzą²⁾, nagle Piwek zaczyna szczeakać i rzuca się na jakieś małe zwierzątko.

— Chomika ma!—krzyczy Tadek, biegnąc na pole.

Rzeczywiście Piwek starał się uchwycić zębami chomika, który stał na tylnych łapkach i, mrucząc, z wściekłością skakał psu do pyska. Nierówna walka prędko się jednak skończyła: Piwek chwycił chomika za kark i zagryzł.

— No, tego chyba nie będziesz żałował!—mówił Tadek,—to jeden z największych niszczycieli. W zeszłym roku odkopaliśmy jamę chomika, tośmy w niej trzy garnce najpiękniejszej pszenicy znaleźli.

Postanowiliśmy zrobić szkielec z chomika, to też przytroczywszy go, poszliśmy dalej w tę stronę, gdzie pod lasem pasło się stado owiec.

II. Zdaleka już dostrzegł nas pies duży, czarny z białymi łatami, i biegł z gniewnem szczeniem. Zaledwie jednak ujrzał Tadzia, gniew jego zamienił się w radość; skakał Tadziovi na piersi, łasił się, nie zważając na Piwka, który warczał i kopał ziemię.

— Łysek! Łysek!—wołał Tadzio.—A gdzie twój pan?

W tej chwili z za gruszy polnej wystąpił pan Łyska.

Był to chłopiec wiejski w naszym wieku, z ładną, mocno ogorzałą twarzą i niebieskimi oczyma, które patrzyły ciekawie z pod dużego kapelusza. Pod pachą trzymał bat, a w ręku plecionkę ze słomy, przeznaczoną widać na nowy kapelusz. Zbliżał się ku nam z uśmiechem.

— Jak się masz, Bartoszkule!—zawołał Tadek, wyciągając rękę.

¹⁾ Uzbrojenie.

²⁾ Miedza — wązki pas ziemi między dwiema rolami.

Bartoszek podał swoją.

— Dziękuję Tadekowi, zdrów jestem. A Tadek także? na długo przyjechał? na całe lato?

— Na lato, na wakacje! Nie bardzo one tam długie, ale przecie jeszcze mamy blisko dwa miesiące. Cóż u ciebie słychać?

— A nic. Bydło w tym roku pasę.

— Matka zdrowa?

— Zdrowa, dziękuję Tadekowi, i Jaś zdrów, wszyscy zdrowi.

— Chwała Bogu!—odrzekł Tadek.—A książki dostałeś na Boże Narodzenie?

— Dostałem, dziękuję bardzo,—i wszystkie już przeczytałem. Śliczności książeczki! A tego Robinsona z Piętaszkiem to już trzeci raz czytam...

— A pisać nauczyłeś się już?—pytał Tadek dalej.

— Gdzie zaś! Nie było czasu w zimie, a teraz już późno. Tadek zamyślił się.

— Dlaczego późno? Będziemy cię przez lato uczyli. Wyproszę u ojca, żebyś trzy razy na tydzień przychodził wieczorem na godzinę, i będziemy się uczyć. Zgoda?

Bartoszek nic nie odrzekł, ale uchwycił Tadeka za rękę i chciał ją pocałować.

— Zwaryowałeś! — krzyknął Tadek i, wyrwawszy rękę, sam Bartoszkę uściskał.

III. Rozmowa zeszła na inny przedmiot. Bartoszek oglądał ciekawie strzelbę Tadeka, jego ładownicę i rożek z prochem. Zachwycony był niemniej od samego właściciela tych nieocenionych skarbów.

— *Tera* to Tadek będzie dopiero *strzylał*!—mówił rozpromieniony.—A zwierzyzny nawet nie brak w tym roku!

— E?—pytał Tadek.

— Są dwa stadka kuropatw w tej oto koniczynie. Trzy inne stada wychowały się w jałowcach nad łąką. Przepió-

rek w polach moc, jeno jeszcze na jajach siedzą. Zające małe i duże precz widuję, jak rano krowy pędzę. A w kępie¹⁾ Niemieckiej tyle gołębi, że oj, oj!

— Nic może być! w kępie?

— W kępie i w jednej i w drugiej. Jak spłoszyć je w kępie Niemieckiej, to wnet lecą do Polskiej; a jak je tam spłoszyć, to uciekają do Niemieckiej.

— Co ty gadasz?

— Sprawiedliwie mówię; toć mało nie codziennie je widzę. Tadziowi oczy błysnęły.

— Wiesz, mam kapitalną²⁾ myśl — rzekł, zwracając się do mnie. — Jutro o świcie zrobimy wyprawę na gołębie. Ja pójdę do jednej kępy, ty do drugiej; twoje gołębie będą przelatywały do mnie, moje — do ciebie, i będziemy kropic co wlezie! Ba, tylko skąd wziąć strzelbę dla ciebie?

— Otóż to! — odrzekłem ze smutkiem, gdyż myśl Tadzia wydała mi się rzeczywiście kapitalną.

— A to, proszę Tadzia, można u nas wziąć pojedynkę od mego brata. Oni nieraz dawali do dworu, jak było trzeba.

— Prawda! świetna rada. Niechże cię uściskam, Bartoszk! mój złoty, kochany! — krzyczał Tadek, obracając Bartoszkę na wszystkie strony. — Poproś brata, żeby dziś wieczorem przyniósł strzelbę; powiedz, że ja bardzo a bardzo proszę.

— Dobrze, ja sam przyniosę.

Kto z nas był bardziej uradowany: czy ja na myśl o szczęściu, jakie mnie czeka jutro, czy Tadzio z mego szczęścia — doprawdy, nie umiem powiedzieć.

Bartoszek stanowczo był nieoceniony. Dowiedziawszy się, że chcemy mieć szkielec z chomika, poradził nam jeszcze, żeby obedrzeć go ze skóry i wrzucić do mrowiska.

¹⁾ Rodzaj wyspy na rzece, jeziorze, stawie. ²⁾ Doskonałą.

— To — powiada — mrówki tak objedzą całe mięso, ze same jeno kosteczki zostaną.

Tego samego dnia jeszcze chomik nasz został obdarty i wpakowany na pożarcie mrówkom do dużego mrowiska, które spotkaliśmy w krzakach.

Rozstaliśmy się z Bartoszkim w największej przyjaźni, z uroczystem przyrzeczeniem, że strzelba będzie.

M. Brzeziński.

Wyszukaj wyrazy podobnego znaczenia, co: łan, stado, jama, przechadzka, przyrzeczenie.

(Stosunek z wiejskimi dziećmi.)

16. Przepiórka.

Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią, nieboraczek, boso;
Uciekła mi przepióreczka w las, w las,
A ja za nią, nieboraczek, laźl, laźl.
Trzebaby się pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę chwytać.
— Schwytajże ją, mój syneczku, schwytaj
Tylko jej się pióreczek nie tykaj.
— A jakże ją, pani matko, schwytać,
Żeby jej się pióreczek nie tykać?
— A zastawże, mój syneczku, sieci,
To ci sama przepióreczka wleci.

17. Jesień.

Jabłonka i gruszka podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

Na polu omglonem, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty,

I cisza wokoło, a gąsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty.
Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu,
To żóraw ¹⁾ wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.
Brat w małym ogródku motyką wciąż kopie,
Dziadulo jak struże, tak struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.

T. Lenartowicz.

Skąd pochodzi nazwa października i listopada? A innych miesięcy?

18. Sąd krasnoludków.

Uroczyście, wspaniale otwarł się królewski sąd w Słowiczej Dolinie. Król jegomość wystąpił w całym majestacie²⁾.

Purpurowy płaszcz jego niósł za nim opasy paż Krężolek, złota korona błyszczała na królewskiej głowie, a brylantowe berło ³⁾ stało takie blaski, jak wschodzące słońce. Przed stopniami sali sądowej stał oskarżyciel, bystry Kocieoczko, tuż za nim Mikuła i Pakuła w paradnych mundurach, dokoła, ale w pewnem oddaleniu, tłoczyły się krasnoludki, a wszystkie oczy zwrócone były na oskarżonego.

Szczurek stał pochylony, skurczony, w ubogiej sukmance na grzbiecie, mając przednie łapki mocno związane za plecami, pozieleniały ze wzruszenia i ze strachu, a tak drżący, że nogi widocznie trzęsły się pod nim, jak w febrze.

Właśnie wymowny Kocieoczko, skończywszy przedstawiać jego winę, żądał surowej kary: jużto co najmniej powieszenia na najwyższej gałęzi dębu, oraz zwrotu strat i kosztów procesu ⁴⁾.

¹⁾ Długi kij na podpórcę do wyciągania wiadra. ²⁾ Przepych, okazałość. ³⁾ Laska, znak władzy królewskiej. ⁴⁾ Sprawa w sądzie.

Szanowny oskarżyciel aż ochrypnął w ciągu tego wywodu i, ocierając spocone czoło, sapał głośno.

Król skinął berłem i zapytał sam:

— Jak się zowiesz, nieszczęśniku?

Zsiniał szczur i na nogach się zachwiał, aż popchnięty ku królowi przez Mikułę: — Wiechetek, do usług! — rzecze cichym głosem.

A król:

— Dlaczego brałeś to ziarno?

— Głodny byłem... nędzarz byłem... dzieci moje konały z głodu...

— Ale głód nie daje prawa do cudzego mienia. Czy nie tak?

— Tak, miłościwy królu! — odrzeczcie Wiechetek, drżąc cały.

— Więc cóż masz na swoją obronę? — spytał król.

— Nic... prócz głodu... Głód... straszny głód...

— Ale nie mogłeś i przy największym głodzie zjeść tej miary zboża. Dziesiąta część wystarczyłaby tobie i dzieciom twoim.

— Zimy się bałem, miłościwy królu! Zima strasznie długa... ciężka... Połowa moich dzieci wyginęła tamtej zimy, królu! Ach, jak cierpiały strasznie!.. Najmłodsze... najmłodsze dziecko moje, królu, umierało w oczach moich z głodu... Sześć dni, sześć nocy patrzyłem na to... i żyłem, żyłem... i nie mogłem sam za nie skonać... nie mogłem!

Odwrocił król oblicze sędziwe, na którym malowała się litość, a w drużynie ¹⁾ krasnoludków słychać było ciche łkanie. To Pietrzyk płakał.

Wiechetek mówił dalej:

— Po najmłodszym umierał starszy... starszy syn mój, królu, umierał w moich oczach... Dziesięć dni, dziesięć

¹⁾ Druhowie, towarzysze.

nocy konał... i ja patrzałem na to... i nie mogłem umrzeć za niego sam, choć umierałem z nim razem...

Zmarszczył król brew, żeby powstrzymać łzę, nabiegającą do oczu; w drużynie krasnoludków słychać było głębokie westchnienia, Pietrzyk łkał głośno.

Wiechetek mówił dalej:

— A potem umierał trzeci... Trzeci syn mój, królu, umierał... Z głodu syn mój umierał, o królu, a ja patrzałem na to... W moich oczach, królu, syn mój umierał z głodu... A ja nie mogłem umrzeć!

Wtem począł się trząść bardzo i, zmrużywszy oczy:

— Głód... głód... głód... — szeptał nieprzytomnym głosem.

Ale król Błystek podniósł berło i rzekł:

— Srogim być muszę, boś zawinił srodze. Ziarno to było siewne, na siew dla podobnego tobie nędzarza przeznaczone, który też głodne dzieci ma. Niech się nad tobą spełni sprawiedliwość!

— Śmierć, śmierć złoczyńcy! — zawołał Kocieoczko.

— Śmierć! — powtórzyli za nim Mikuła i Pakuła jednym srogim głosem.

Wiechetek stał, jakby porażony trzęsąc się i patrząc obłąkanym wzrokiem.

Król odwrócił się i już miał sądny tron opuścić, kiedy wtem Pietrzyk rzucił się ku niemu z tłumu i, do nóg mu padłszy, zawołał:

— Głosu chcę za nim! Głosu za skazanym, miłościwy królu! Głosu, któryś mi sam dać chciał! Głosu! głosu chcę!

— Więc go masz! — rzecze król i schylił się ku niemu i dotknął go bardzo łaskawie.

A Pietrzyk z łkaniem:

— Więc przebacz! przebacz, królu dobry! Przebacz! Powiedz, powiedz, królu, że przebaczasz! To pieśń moja będzie. Moja jedyna. A inszej nie chcę. Nie chcę!..

Zapłakał stary król, widząc taki gwałt żałości w ulubionym słudze, i rzecze:

— Zwyciężyłeś, Pietrzyku! Zwyciężyłeś miłosierdziem sprawiedliwość moją. Niechże się stanie po twojej woli!

Tu skinął berłem i rzekł:

— Puście mi wolno nędzarza tego i nakarmcie dzieci jego! Ze stołu mego mają odtąd pożywać chleb dzieci jego. A ziarno dziś jeszcze oddać oraczowi i ziemi, która siewu czeka.

M. Konopnicka.

Dlaczego przebaczone szczurowi kradzież? Obowiązki względem biednych, dążenie do polepszenia bytu ubogich. Tylko praca daje dostatek. Praca nie jest karą. Praca daje szczęście.

Czy to powiastka prawdopodobna, czy opowiadanie wymyślone?

19. Pierwszy snop.

— W imię Ojca, w imię Syna —

Wita krzyżem stary chłop

Przywieziony do stodoły

Pierwszy z pola żytni snop.

Ukląkł zbożnie ¹⁾ na klepisku

I całuje chlebny kłos,

Na słomianą okiść ²⁾ kładzie

Siwą głowę, siwy włos.

— Chleba, Panie, powszedniego —

W modlitewny szepcze ton.

— Chleba, Panie, daj na życie,

Wiążkę słomy daj na zgon!

Niech zarodzi Twoja wola

Czystem ziarnem bujny stóg!

Witaj, chlebie, w chłopskim progu,

Z Bogiem, z Bogiem za nasz próg!

K. Laskowski (El).

¹⁾ Pobożnie. ²⁾ Okiść, kiść — znaczy tu pęk kłosów zboża. Właściwie okiścią nazywamy śnieg na gałęzi.

20. Ziarnko zboża.

Razu pewnego sułtan, polując w wielkiej puszczy, oddalił się od dworzan. Wtem z gęstwiny wybiegł stary dzik i byłby rozdarł go kłem w mgnieniu oka, gdyby jakiś nieznany człowiek nie rzucił się na dzikie zwierzę, które trupem położył.

Gdy ochłonęli obaj, sułtan rzekł do swego zbawcy:

— Ocaliłeś mi życie i pragnąłbym ci się odwdziaczyć. Kto jesteś?

— Nazywam się Ali — odpowiedział nieznajomy. — Niegdyś byłem rolnikiem i miałem własną ziemię, ale straciłem wszystko i służę za pisarza, ponieważ umiem pisać.

Sułtan przez chwilę patrzył na niego uważnie, wreszcie rzekł:

— Bądź zdrow, — usłyszysz o mnie niezadługo, pragnę być wdzięcznym.

Wrócił Ali do domu i opowiedział żonie, co się stało; oboje byli pewni sowitej nagrody i czekali wiadomości od sułtana.

Rzeczywiście, nazajutrz dworzanin bogato ubrany zjawił się na pysznym koniu, podał Alemu małe pudełeczko i zwój papieru, poczem natychmiast odjechał.

Żona Alego patrzyła ciekawie, gdy mąż otwierał paczkę, przekonana, że ujrzy jakiś drogi kamień, bardzo kosztowny i piękny. Ale w pudełku na jedwabnej wacie leżało tylko piękne ziarnko zboża. Ali rozwinął papier, ażeby przeczytać, co to znaczy, i przekonał się, że był to rozkaz sułtana do zarządców kraju, ażeby Alemu pozwolano wszędzie siać i zbierać zboże na gruntach sułtana, ale tylko zboże, które sam wyhoduje, nie kupne.

Żona Alego zaczęła rozpaczać, lecz mąż się zastanowił, w milczeniu schował papier, a ziarnko zboża zasa-

dził w doniczce, którą napełnił starannie najlepszą ziemią z ogródka.

Ali pielęgnował zasiane ziarnko troskliwie, polewał i wystawiał je na słońce;—gdy roślinka wyrosła, a kłos dojrzał, wykruszył go w rękę i otrzymał pięćdziesiąt ziarenek.

Te zasiał już w ogródku na starannie skopanej grządce, a w następny półroczy miał już woreczek zboża.

Wtedy z papierem sułtana udał się do rządcy najbliższej prowincji i otrzymał potrzebny kawał ziemi. W następnym roku, mając duży worek zboża, zażądał większego pola, część zbioru sprzedał, a resztę zasiał znowu na otrzymanym gruncie.

Ali porzucił zajęcie pisarza i stał się znów rolnikiem,—jego żona już nie narzekała. Obsiewał sułtańskie pola nie tylko w okolicy, ale w wielu innych prowincjach, obsiewał coraz większe przestrzenie, stawał się coraz bogatszym człowiekiem. Miał już teraz własny dom z pięknym ogrodem, dzieci posyłał do szkoły, hojnie pomagał biedniejszym.

Razu jednego wziął papier sułtana, poszedł do jego pałacu i prosił o posłuchanie.

Sułtan go nie poznał, ale kiedy przeczytał papier, rozśmiał się i powiedział:

— Skarżą się na ciebie, że wkrótce obsiejesz wszystkie moje grunta. Lecz ja cieszę się z tego. Widzę, żeś pracowity i wytrwały. Chciałbym, ażeby cały mój naród był taki. Ale czego dziś żadasz?

— Odniosłem ten papier — odpowiedział Ali, — bo dłużej nie potrzebuję już z niego korzystać. Mam dzisiaj własną ziemię i pragnę podziękować ci, panie, że mnie zrobiłeś szczęśliwym człowiekiem.

— Tak? — rzekł zdziwiony sułtan. — Więc nie jesteś chciwy, masz rozum i szlachetne serce. A ponieważ

takich ludzi potrzebuję, będziesz odtąd doradcą moim i przyjacielem. Papier mój ci niepotrzebny, własną pracą doszedłeś do majątku, ale przyjaźń wzajemna zawsze potrzebna każdemu, zarówno sułtanowi, jak bogaczom i biednym. Oto masz inny papier, który o każdej porze pozwoli ci stanąć przede mną.

(Podług J. Zaleskiej.)

Co jest największem bogactwem człowieka? Czy moglibyśmy dzisiaj obejść się bez zboża? Czy praca rolnika jest ciężka i trudna? Czy rolnik kocha swoją pracę? Dlaczego? Czy chciałbyś być rolnikiem?

21. Rozmowa ze słońcem.

Powiedz mi, słońko, gasnące za borem,
Dokąd ty wędrujesz codziennie wieczorem?

I co też ty widzisz, idąc w obce światy,
Kiedy cicha nocka snem otula kwiaty?

Czy ci się tam kłonią złote łany żyta?
Czy cię, tak jak u nas, bór piosenką wita?

Czy wśród łąk zielonych bielisz szare płótno?
Czy weselisz ludzi, gdy im w sercach smutno?

Czy w tych obcych krajach, gdzie twój promyk świeci,
Kwitną jasne kwiaty? czy się śmieją dzieci?

I czy siwe boćki chodzą ponad łąką?
Czy są tam jaskółki? Powiedzże mi, słońko!

M. Dymowska.

22. Czarne jagody

Jaś ze starszym bratem poszli na jagody w czerwcu, kiedy jeszcze nie były zupełnie dojrzałe. Ale rośło ich dosyć.

— Jakie to jagody, Stefku? — pyta Jaś niepewny.

— Jakto, nie znasz? przecie to czarne jagody.

— Czarne? Kiedy one są prawie czerwone.

— Ee! — mówi Stefan tonem znawcy — to dlatego, że jeszcze są zielone.

— Nie rozumiem! — odpowiedział Jaś zdziwiony.

— No, boś dzieciak! — One przecież dopiero wtedy będą czarne, kiedy się staną ciemno-niebieskie.

Jaś szeroko otworzył oczy i nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

E. B.

Wytłumacz tę rozmowę.

23. Baśń o krawcu i księżycu.

Działo się to niezmiernie dawno, może tysiąc lat temu, a może dziesięć tysięcy.

Do okien ubogiego krawca zaglądał co wieczora księżyc i zawsze zastawał go przy robocie. Nieraz znudzony księżyc, nie mogąc zwrócić na siebie uwagi, poszedł sobie już dalej, a krawiec wciąż wywijał igłą lub ciał nożycami.

Ale razu pewnego księżyc patrzy, a krawiec leży w łóżku i chrapie.

— Hej, hej! panie krawcze! — zawołał zdziwiony.

Zerwał się krawiec, a ujrzawszy księżyc w takiej srebrnej jasności, ukłonił mu się nisko, aż do samej ziemi.

— Czem mogę służyć jaśnie świecącemu księżycowi? — przemówił, jak mógł najgrzeczniej.

— Zdaje mi się, że ci roboty zabrakło — odpowiedział księżyc, — więc chcę obstałować u ciebie ubranie. Godzi się pracowitemu dopomóc, a przytem bardzo zimno tu, gdzie mieszkam i podróżuję. W kamizelce i fraku będzie mi daleko cieplej, no, i ludzie będą widzieli, że mię stać na ubranie. Rozumiesz jednak, że musi być piękny materiał, a krój zręczny i zgrabny. Za to ci po-

zwołę wyhaftować na połach fraka swoje nazwisko i adres, będziesz miał tym sposobem ogłoszenie, które widać na całym świecie. Mogę też wieczorami świecić ci do roboty.

Krawiec słuchał i przypatrywał się księżycowi uważnie.

— Chciałbym, jaśnie świecący panie księżycu—rzekł wreszcie, — bardzo chciałbym dogodzić jaśnie świecącemu panu, ale to będzie trudno. Pan ma bardzo dziwną figurę: u góry wąski i u dołu wąski, w środku grubszy i zgięty w kabłąk, jak sierp. Doprawdy, bardzo trudna sprawa. Ale będę się starał podług ostatniej mody i z najlepszego materjału.

Wziął miarę starannie, kupił piękny materjał i pracował gorliwie cały tydzień. Po tygodniu zjawia się księżyc.

Krawiec bierze frak do przymiarki, ale cóż to się stało? Księżyc tak utył, że wygląda jak pół bochenka chleba, nie zmieści się w przygotowanem ubraniu.

Krawiec załamał ręce, księżyc jest bardzo zmartwiony.

— Mój drogi krawcze — mówi, — ty potrafisz na to poradzić. Dokupisz materjału i rozszerzysz, a ja ci chętnie wynagrodzę. Wiem, jaki z ciebie majster, wszystko będzie dobrze, przyjdę znowu za tydzień.

Nikt nie lubi przerabiać, więc krawiec wzdychał ciężko, lecz pracował i skończył na czas robotę.

Po tygodniu zjawia się księżyc, ale jaki? Okrągłutki półmisek!

— O jaśnie świecący panie! — woła przerażony krawiec,—chyba spuchłeś? Wyglądasz dziś jak dynia. Ani myśleć, żebyś się zmieścił w ubraniu.

— To prawda — mówi księżyc zawstydzony—zapomniałem ci powiedzieć, że jeszcze utyję. Moja wina. Ale teraz daję ci słowo honoru, że już ani o włos nie zgrubieję.

Słowo honoru — taki pan jaśnie świecący — to przecie można wierzyć. Zresztą co będzie, to będzie, więcej tego fraka nie tknę.

Zimno się pożegnali. Księżyc obiecał stawić się znowu za tydzień.

No, i przyszedł, ale jaki? Połowa go ubyła.

A krawiec znacznie rozszerzył ubranie, zmarnował tyle materiału, i wszystko na nic.

— Basta! — zawołał w złości. — Nie chcę mieć nic do czynienia z jaśnie świecącym panem! Dosyć tego!

I wyrzucił całe ubranie przez okno, a sam z rozpaczy padł znowu na łóżko.

Księżyc stał długą chwilę nieruchomy, lecz w końcu ruszył dalej, zrozumiałwszy, że z ubrania nic nie będzie. I rzeczywiście chodzi dotąd goły, bo jeszcze żaden krawiec nie znalazł sposobu, ażeby mu dogodzić.

(Podług Z. Zacharkiewiczówny.)

Co ta bajka znaczy? Dlaczego księżyc tak zmienia swój kształt? Jak się nazywają te jego postaci?

24. Czem są rośliny dla człowieka.

Świat roślinny, który zielonym kobiercem pokrywa powierzchnię całej ziemi, przedstawia pod każdym względem nieskończoną wartość dla człowieka. Nie chodzi nam w tej chwili o piękność i różnorodność jego kształtów, o wspaniałość barw. Nie mówimy o tem zadowoleniu, jakie każdemu sprawiać musi cudowna zieleń łąk i pól, uroczysty szmer leśnej gęstwiny lub nieprzejrzały obszar zielonych fal stepu. Nie będziemy zastanawiali się nad czarownym światem kwiatów, zachwycających nas grą barw jaskrawych lub przepysznym zapachem. Przyjemność, jakiej dostarcza nam świat roślin, pozostawić musimy na drugim planie, — na pierwszym stawiamy korzyść.

A jest ona prawdziwie nieoceniona!

Przedewszystkiem większość pokarmów, a nawet wszystkie pokarmy nasze otrzymujemy ze świata roślin. Wszakże wół, wieprz, baran — żywią się roślinami, a z tego pokarmu roślinnego wytwarza się ich mięso, wyrabiają się te befsztyki, szynki, kotlety, które nam tak smakują. Jedną sól tylko czerpiemy z państwa minerałów.

Z napojów tylko woda czysta i wody mineralne nie pochodzą od roślin, inne zaś: wino, piwo, wódka, kawa, herbata, czekolada są pochodzenia roślinnego, zarówno jak cukier, stanowiący ich przyprawę.

Nietylko potrawy i napoje zawdzięczamy roślinom, dostarczają nam też one i odzieży. Prócz wełny i jedwabiu, wszystkie inne tkaniny są pochodzenia roślinnego, wyrabiają się z lnu, bawełny i konopi. A jedwabnik i baran żywią się przecież także roślinami.

Z roślin mamy największą ilość lekarstw. Wspomni my tylko korzeń rabarbaru, olej rycynusu, korę drzewa chinowego, kwiat rumianku, liście mięty i t. p.

Wreszcie zauważmy, że niema budowli, niema żadnej maszyny lub narzędzia, w skład którego nie wchodziłoby drzewo, a dojdziemy do przekonania, że niema prawie takiej rzeczy użytecznej dla człowieka, któraby wprost lub pośrednio nie pochodziła od roślin.

To też nic dziwnego, że rośliny od najdawniejszych czasów nęciły ku sobie rozum ludzki. Tysiące uczonych pracuje nad piękną nauką o roślinach — botaniką, a miliony ludzi stara się z nią zaznajomić dokładnie, żeby poznać tę skarbnicę bogactw i przyjemności, jaką stanowi czarowny świat roślin.

M. Brzeziński.

Czy ludzie mogliby żyć na ziemi, gdyby na niej nie było roślin?

25. Dwa pługi.

Raz na podwórzu stanęły dwa pługi:
Jeden długo spoczywał, z pracy wrócił drugi.
— Przyjacielu—rzekł pierwszy,—nie rozumiem wcale,
Czemu ja tak przyćmiony, ty błyszczysz wspaniale;
Wszak z jednegośmy kruszcu, przecież nie jednacy.
Skądże ty nabrał blasku?—Czy chcesz wiedzieć? Z pracy.

St. Jachowicz.

Co to znaczy: „Bez pracy nie będzie kołaczy”, „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”?

26. Dworek.

Jak to ja sobie	Jeśli kto do mnie
Domek ozdobię,	Łaskaw przyjedzie,
Ten modrzewiowy	To słup przed sienią
Dworzec ojcowy!	Stoi na przedzie.
Najprzód przed drzwiami	Przy nim mosiężne
Lipę zasadzę,	Wiszą kółeczka,
Wkoło płotami	Gdzie się przewleka
Sad oprowadzę.	Długa uzdeczka.
Stawię przy wodzie	A zechce bawić,
Świętego Jana,	To jak zwyczajnie:
A na ogrodzie	Konia postawić
Gniazdo bociana.	Każe się w stajnie,
Będą przy stawie	Gdzie koniczyną,
Chodziły pawie	Poza drabiną,
Pod stodołami	Przy czystym żłobie
Na ziarno pszenne	Przegryzie sobie.
Białe gołębie,	A że wypędzić
Goście codzienne.	Pragnę lenistwo,

A lubię ryby
Oraz myśliwstwo;

Więc już psów chmara:
Bo od ogara
Aż do jamnika,
Co lisy dusi,
U mnie być musi.

A mam u siebie
Starego dziadka,
Co sieci robi:
To będzie siatka.
Słowem, co chcecie,
U mnie znajdziecie:
Ryby i grzyby,
Mąka i łąka.

Teofil Lenartowicz.

27. Płynie Wisła, płynie!

Oho, płynie tak dawno, że nikt nie pamięta, kiedy tu przyплыnęła w nasze strony. Może i wcale ludzi tu nie było. I pewno, że nie było. Sama tylko mogłaby opowiedzieć chyba te dawne dzieje, — ale i tego nie wiem, bo przecież te wody, co wówczas w niej płynęły, dawno wpadły w morze, a coraz inne, inne Wisła niesie.

A ona wciąż ta sama. Tę samą ma barwę, ten smak wody, kierunek, szerokość, siłę, obyczaje. Choć wody inne, a rzeka ta sama, bo tem samem płynie korytem; — choć ludzie umierają i rodzą się nowi, ten sam zostaje naród.

Ale jak to było, kiedy po raz pierwszy ta złotowłosa pani zaszła w nasze strony? Czy nigdzie tej historii nie spisano?

Trochę, troszeczkę może i spisano na księdze bardzo starej, o! starszej od Wisły, na ziemi samej. Coś ona wie o tem, może i powie — popatrzmy uważnie.

Het, het, gdzie to początek naszej pani rzeki, gdzie kolebka, w której się wykołysała? Het, het, w górach aż na południu. Spłynęła sobie potokiem w dolinę i, jak dziecko, nie wie sama, gdzie się zwrócić. I tu pięknie, i tu ładnie, i tu słońko świeci, — więc naprzeciwko niemu, ku wschodowi!

Płynie i myśli: — Do słonka płynę! Wprost ku niemu. Gdy wstanie z rana, pierwsza je zobaczę i pierwsza je powitam; — to najlepsza droga.

A wtem z za jarów¹⁾ i wzgórz wyszedł szybko San, młody i wesoły. Spotkali się nagle i uderzyli mocno, jak to w biegu bywa. Zaszumiało im w głowach, pociemniało w oczach, zakręciło się wszystko, a nazajutrz z rana Wisła spostrzegła, że już nie ku słońcu płynie, ale od niego precz, aż het, na północ.

Oburzyła się srodze na psotnika, co jej tak zmylił drogę.

— Ho, mości panku — zawołała dumnie, — nie wyobrażaj sobie, że nie wiem co robię, że tam pójde, gdzie zechcesz. Mam ja swoją wolę i...

— Pani siostro — rzekł San pokornie — jeżeli obraziłem cię, to przebacz, bo nie przez figle zmyliłem ci drogę. Ani wiesz, coby cię musiało spotkać, gdybyś dalej na wschód płynęła. Zapytaj wiatru, jakie tam rzeki ogromne, potężne zagradzają drogę; musiałybyś utonąć w nich bez śladu i nie tam iść, gdzie zechcesz, lecz gdzie cię poniosą... Zapytaj wiatru.

Wiatr, przyjaciel Sanu, zaszumiał długo, tęskno i przeciągle, a Wisła zrozumiała jego pieśni.

Więc cicho płynie na północ i myśli: — Czy to tam moja droga? Tam, gdzie niema słońca, i tylko gwiazda jedna świeci co noc w tem samem miejscu? Czy tam?

A wtem od wschodu biegnie znowu rzeka, poważna i spokojna, czołem przed nią bije i świeże nurty²⁾ łączy z biegiem Wisły.

— Witaj, o pani! — woła — i pozwól się ostrzec: na zachód zwróć swe wody, bo przed tobą inne płyną rzeki,

¹⁾ Jar — parów, głęboka dolina między wzgórzami o stromych brzegach.

²⁾ Fale, bałwany.

bo tam nie twoje państwo, tyś im niepotrzebna i zginiesz między nimi bez imienia.

— Aha! — odparła Wisła — ja przeczuwałam, że to nie moja droga. Dziękuję ci bardzo. Teraz widzę, jak dobrze mieć przyjaciół, co wieści niosą zdala. „Na zachód! Na zachód!” — A czy tam moja droga? — I widzisz, polubiłam tę gwiazdeczkę, co na północy świeci, bo nie zmienia miejsca. Musi je kochać, musi być szczęśliwa, skoro go nie opuszcza. Więc pójdę na zachód, ale troszeczkę zwrócę się i ku niej.

— O, nie! — zahuczał zdala, nadpływając, Bug z Narwią. — Nie na północ, lecz na zachód, na zachód! Patrz, jak tam wspaniale! Słońce spoczywa w purpurze i złocie, pół nieba w ogniu każdego wieczora, — gdzie takie blaski znajdziesz? tyle światła? barw tyle, tyle cudów?

I porwana zapałem Buga, Wisła biegnie wraz z nim na zachód; olśniona blaskiem zachodniego nieba, tam widzi drogę swoją, przeznaczenie, i śpieszy, śpieszy.

Aż nagle ziemia sama podniosła się przed nią i rosnąć się zdawała z każdą chwilą, jak gdyby jej tamować chciała drogę. Wisła się wspina, podnosi i wzbiera, lecz ciężko płynąć, coraz ciężiej, ciężiej.

— O matko ziemio! — szepnęła na koniec — czemu mi stajesz przeszkodą na drodze, kiedy za słońcem biegnę do jego jasności? Puść mię!

— Nie, Wisło-córo, nie tam twoja droga. Inne tam rzeki płyną, nie walczyć ci z nimi na zgubę. Każdy swoje mieć musi i swojemu służyć; tu ziemia twoja, a tam droga twoja, ku tej gwiazdce, co świeci co noc w jednym miejscu. Więc z Bogiem, córko, tu ci wyznaczone państwo, w którym królować będziesz i odbierać jasną daninę wszystkich wód jego, by ją złożyć w morzu. To ukochaj i bądź kochana.

Spoważniała Wisła na takie wezwanie i już bez oporu złociste fale zwróciła na północ, ku morzu. Płynie cicho, spokojnie, szeroko, bo wie, że tu jej wyznaczono pole, bo wie, że tu jej wieczne panowanie, że tu jej świat.

Ale to dawno było, bądźco dawno.

Skąd Wisła wypływa? Gdzie wpada do morza? Czy widziałeś którą z rzek, wpadających do Wisły? Dlaczego nazywamy ją królową rzek naszych? Jakie największe miasta leżą nad Wisłą? Czy znasz jakie podania o Wiśle?

28. Jak to na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dółinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki, jak bieluchne runo ¹⁾,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.
Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka
Płynie łódź flisowska ²⁾, jak szara cyranka ³⁾,
A za nią ładowne pszenicą galary ⁴⁾,
Szum wiosła na falach, i śmiechy, i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie
I śpiewa miłemu: — Pędź, głosie, po rosie!
Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słyhać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem
Brzmi nuta serdeczna za byłym, za pługiem,

¹⁾ Wełna na owcy lub baranie. ²⁾ Flisy zajmują się przewożeniem po Wiśle towarów. ³⁾ Cyranka — gatunek dzikiej kaczki.

⁴⁾ Szerokie a płytkie statki.

Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju —
Jakby jedna dusza była w całym kraju.
Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tu woda, i powietrze zdrowsze,
I sosny rośniejsze, i dziewczki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmiej tak rażno dziewczucha?
Gdzie mi pokażecie taką chatę lichą?
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły! — oj, tęskno mi do niej!
Niech ci Pan Bóg szczęści, ziemio mazowiecka,
Płakałem nad tobą od małego dziecka,
I myślałem nieraz, siedzący na progach:
Czemu tyle krzyżów stoi na twych drogach?...

T. Lenartowicz.

Gdzie leży Mazowsze? Czy wiesz, że Warszawa i Płock to największe miasta na Mazowszu? Jak nazywają mieszkańców Mazowsza?

29. Krakowiacy.

Piękna jest ziemia krakowska, i wesoły lud na niej mieszka, zawsze gotów do śpiewu, tańca i zabawy.

Niech się, co chce, dzieje,
Krakowiak się śmieje —

mówią sami o sobie. Nie lubią długiego smutku, nie lubią martwić się nawet nieszczęściem i umieją wyperswadować sobie zawsze, że taka była wola Boża, a skargi i smutek nic już nie pomogą.

Żywy, porywczy Krakowiak serce ma złote, a dla tych, których kocha, gotów każdej chwili oddać życie i mienie.

Ale też łatwo unosi się gniewem, o lada słówko skory do kłótni i bójki, choćby zginać, nie ustąpi nikomu. Gniew jednak mija prędko, a wtedy najchętniej zapomina urazy i rad godzi się szczerze z niedawnym przeciwnikiem.

Ziemie swą bardzo kocha, dumny jest z pięknej i sławnej przeszłości, szanuje jej pamiątki i z miłością o nich mówi. Tylko wspomnijmy przy nim choćby Krakusa i Wandę, jak mu się oczy palą, jak rad opowiadać. A dopieroż kochany, stary Wawel, groby królów, kościół Marjacki, a mogiła Kościuszki, a wspomnienia o Naczelniku. Hej! hej! nie skończyłby nigdy.

Jako rolnik, uprawia ziemię z wielkiem zamięłowaniem i staraniem; zajmują go ulepszenia gospodarskie, stara się o dobre narzędzia, dorodne¹⁾ bydło, porządną chatę i obejście²⁾; słowem, jest pracowitszy, rozumniejszy i za możniejszy, niż wieśniacy innych okolic.

Piękny strój Krakowiaka znany jest powszechnie. Stanowią go szerokie spodnie białe, w różowe lub niebieskie paski, wysokie buty, długa kamizela, skórzanym pasem przepasana, i granatowa kierezyja³⁾ z czerwonym kołnierzem, naszywanym srebrem i złotem; lub biała sukmana z czerwonymi wyłogami, czapeczka z pawiem piórkiem i czarnym barankiem, u butów podkóweczki, a kozik u pasa, przy którym brzęczy siedemdziesiąt kółek.

Czerwona czapeczka,
Na cal podkóweczka,
I biała sukmana,
Drobno haftowana
Pętliczkami, guziczkami,
Kółeczkami, hafteczkami
Dokolusienieczka,
Moja kochaneczka!

¹⁾ Piękne. ²⁾ Obejście—zabudowania gospodarskie. ³⁾ Rodzaj sukmany.

Strój kobiet także bardzo malowniczy: biała chustka na głowie, pięknie haftowana, wyszywany gorset ze złotemi kółeczkami, krótka kwiecista spódniczka i biały fartuch, często haftowany lub wstążkami naszyty. Na szyi korale, od których na plecy spada pęk cały różnobarwnych wstążek.

Gorset z litej ¹⁾ materyje
I koralu pełną szyję,
Przy nich medal z Matką Boską
Cudotwórczą, Częstochowską!

Wogóle jasne barwy przeważają w stroju, a wesołość w usposobieniu. Lud to żywy, serdeczny, odważny, junacki, a zarazem pracowity i roztropny.

Czy byłeś w Krakowie? Co tam widziałeś, jeśli byłeś? Co ci się najbardziej podobało? Czy znasz podanie o Krakusie? Co znaczy przysłowie: „Nie odrazu Kraków zbudowano”?

30. Marjacka wieża.

Patrz, Marjacka wieża stoi,
Dla miasta strażnica,
Na jej widok myśl się korzy,
A dusza zachwyca.
Na wysmukłej jej kibici
Sześć wieków drzemało ²⁾,
Przecież piękna jak dziewica,
Przecież stoi cało.
A poważny w swym ogromie,
Niby rodzic miasta,
Kościół pod nią z rynku łona
Jak olbrzym wyrasta.

¹⁾ Przetykanej złotemi lub srebrnemi nićmi.

²⁾ Kościół Marjacki zaczęto budować w wieku XIII-ym.

Śród sklepienia oko ginie,
Za myślą poleci
Aż tam, gdzie na skroniach Maryi
Gwiazd dwanaście świeci.

E. Wasilewski.

Czy słyszałeś prześliczny hejnał, czyli pieśń pobożną, którą grają z wieży Marjackiej? Czy widziałeś w tym kościele wielki ołtarz? Zrobił go rzeźbiarz Wit Stwosz. Czy widziałeś w Krakowie jaką rzeźbę Wita Stwosza?

31. Podziemny zamek.

Podanie.

Do najpiękniejszych i najstarszych budynków w Krakowie należy zamek dawnych królów polskich na Wawelu. U podnóża Wawelu płynie modra Wisła, a pod górą jest pieczara, w której mieszkać miał smok bajeczny, zabity przez Krakusa. W podziemiach katedry zamkowej spoczywają zwłoki królów polskich, oraz Tadeusza Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego i Mickiewicza.

Pod zamczyskiem mieszczą się groby królewskie. Cisza panuje tutaj uroczysta.

Tutaj śpią króle-mocarze,
Poigrał czas z ich potęgą,
W proch chobre rozsypał twarze
I pleśni opasał wstęgą.
A w ich zbutwiałej prawicy
Rdzewieje klinga¹⁾ szablicy.

Ale tylko na Wawelu i w grobach królewskich tak cicho.

Głębiej jeszcze pod ziemią, pod pieczarą smoka i milczącemi grobowcami, znajduje się inny zamek królewski, wspaniały, bogaty, lśniący czerwienią i złotem, ozdobiony

¹⁾ Ostrze.

chorągwiemi, tarczami, złotogłowiem¹⁾. Na ścianach porozwieszane zbroje, szable, karabele²⁾, a w olbrzymiej sali przy stole zasiedli w szatach godowych³⁾ królowie.

Siedzi Lech, Krakus, Wanda, Piast kołodziej, Miecysław z krzyżem, Bolesław Chrobry ze Szczercbem, Krzywousty z Żórawiem, co w 47 bitwach gromił wroga, Łokietek, co trzy razy na tron wracał, Kazimierz Wielki, królem chłopów zwany, Jadwiga i Jagiełło, dwu Zygmunatów, Stefan Batory, Sobieski, pogromca Turków i obrońca wiary, i wielu innych, mniej poważnych królów. Siedzą i gwarzą o tem, co słyhać na ziemi, jakie wieści z kraju echo im przynosi; a twarze ich poważne czasem rozjaśni uśmiech, czasem łza błysnie w źrenicy, duma podniesie czoła, lub ból je pochyli ku piersiom.

A dalej jeszcze, w Tatrach, pod górą Giewontem, w podziemnych grotach, gdzie stopa ludzka nie powstała, śpią snem twardym rycerze Bolesława Chrobrego.

Raz do roku, w wigilję Bożego Narodzenia, budzi ich pierwsza gwiazda, która zabłyśnie na niebie, i w podziemiach słyhać wtedy chrzest i łoskot. Powstają w zbroje zakuci rycerze, zapinają hełmy, miecze z pochew dobywają i śpieszą do Krakowa, do podziemnego zamku na Wawelu.

Stają w zbrojnym szyku i kołaczą do bram zamkowych.

Na ten odgłos otwierają się ciężkie wrzeciędzie⁴⁾, i wychodzi ku nim wódz ukochany, Bolesław Chrobry.

— Królu, czy czas już powrócić do życia? — pytają.

— Nie wybiła jeszcze godzina — odpowiada Bolesław Chrobry.

Wracają więc rycerze do pieczar tatrzańskich i zapadają znowu w sen twardy i nieprzespany.

¹⁾ Przetykana złotem materja. ²⁾ Krzywa szabla. ³⁾ Odświęt-
nych. ⁴⁾ Wrzeciędzie — swory czyli zawory do zamykania u wrót
albo drzwi.

Ale lud wierzy, iż przyjdzie godzina, gdy wybuchnie na świecie wojna święta; wstanie wtedy Bolesław Chrobry i sam swoich rycerzy obudzi. Wyjdą z tatrzańskich pieczar niezwyciężone zastępy, a wielki król nie schowa już Szczerbca do pochwy, aż na ziemi zapanuje miłość, pokój i szczęście.

(*Podług „Upominku”.*)

Takie bajeczne opowiadanie o wypadkach lub osobach historycznych nosi nazwę *podania*.

32. Bolesław Chrobry ¹⁾.

W nurtach Elby i Sali, wśród dniewnych wód fali
Kto to słupy żelazne tam bije?
I z za Karpat wyżyny po Bałtyku głębinsy
Czyje godła i znaki lśnią czyje?
To Bolesław, mąż chrobry, ludów swoich pan dobry,
Ale straszny na zdrajce i wrogi,
Złączył braci Lechitów i, jak orzeł z błękitów,
Precz, daleko rozpuścił swe drogi.
Za trud ciężki, znój krwawy, kupił bratnie Morawy,
Zdobyl Polsce Luzatów dziedziny;
Potem na Ruś daleką, gdzie gród stary nad rzeką,
Poszedł zbierać rycerskie wawrzyny ²⁾.
Lecz choć w murach Kijowa tyle skarbów się chowa,
Drogie szaty i droższe klejnoty,
On nic nie wziął tym razem, tylko miecza żelazem,
Jak pan, wyciął po bramie ich Złotój.
A gdy z wrogów pogromu wrócił wreszcie do domu
I do pochwy miecz schował szczerbiony,
W nowej Gniezna świątyni biskup królem go czyni,
Czoło wieńcząc mu złotem korony.

¹⁾ Chrobry — mężny, waleczny. ²⁾ Wawrzynowemi (laurowemi) wieńcami ozdabiano głowy zwycięzców. Zbierać wawrzyny — zdobywać sławę.

Lata jeszcze żył potem, już nie miecza łoskotem,
Lecz mądrością swą głośny po świecie,
A gdy wreszcie legł w grobie, naród chodził w żałobie,
Niby smutne po ojcu swym dziecię.

Marja Ilnicka.

Dlaczego uważamy Chrobrego za wielkiego króla?

33. Poranek na statku.

I. Przeszłego roku w czerwcu skończyłem lat 16, i rodzice pozwolili mi wraz z kolegami udać się na wycieczkę po kraju. Ileż przyjemnych wspomnień pozostało mi z tej wyprawy! I ja często myślałem sobie: ludzie jeżdżą daleko, za granicę, poznają obce miasta, obce kraje, a nie wiedzą, że blisko, tuż koło nich, tyle miejsc cudownie pięknych, które tak łatwo poznać, a zobaczyć trzeba, ażeby je ukochać całym sercem.

Wędrowaliśmy piechotą spory kawał drogi, trzymając się prawego brzegu Wisły. Nocowaliśmy różnie: w brudnych zajazdach żydowskich, gdzie na poduszce każdy kładł chustkę od nosa, żeby się zabezpieczyć od podejrzanej czystości pościeli; w dworach wiejskich, gdzie przyjmowano nas różnie, ale przecie ani razu nie odmówiono gościnności; w stodołach chłopskich, albo na skoszonych łące, na świeżem, pachnącem sianie.

A ile przygód! Tu w szczerem polu zaskoczyła nas ulewa, że przemokliśmy do suchej nitki, a następnie brodząc po kolana w błocie, wyglądaliśmy wkońcu jak nieboskie stworzenia. Tam, jadąc najętym wózkiem, „wysypaliśmy“ się wszyscy szczęśliwie. To znów cudowny odpoczynek w lesie po nużącym upale; bohaterskie zamiary przenocowania w „puszczy“ niebardzo rozległej — i honorowy odwrót z zapadnięciem zmroku do najbliższej osady ludzkiej.

Pod Wyszogrodem wsiedliśmy na statek, aby tą drogą dopłynąć do Płocka. Kajuty były zajęte, zdrzemnęliśmy się tylko na pokładzie w cichą, ciepłą, gwiaździstą noc lipcową.

II. Gdy otworzyłem oczy, był poranek. Słońce jeszcze nie wzeszło. Nad nami rozciągało się niebo błękitne, przezroczyste, bez chmurki, tylko na wschodzie kilka różowych obłoczków zapowiadało bliskość gwiazdy dziennej. Patrzyliśmy w tę stronę zachwyceni. Naraz wystrzelił snop złotych promieni, blask przeniknął powietrze, zagrały brylanty na wodzie i wybrzeżach, a z pod horyzontu wypływała powoli wielka złota kula, niosąc ziemi światło i ciepło.

Stałem jeszcze zapałtrony na to codzienne zjawisko, gdy kolega trącił mię lekko. Odwróciłem się w stronę przeciwną i mimowolnie krzyknąłem z podziwu. Płock od strony Wisły jest najpiękniejszym z miast polskich, i nie mogliśmy się nasycić jego widokiem. Z pośród białych, skupionych murów i dachów strzela w górę wysoka wieżyca niegdyś książęcego zamku, — obok niej w prawo, w lewo na błękicie nieba rysowały się krzyże i wieże kościołów, otulone ciemną zielenią ogródów, w której świeciły białe mury domostw. A wszystko to na wzgórzu, opasane wstęgą Wisły, w której nurtach odbija się obraz odwrotnie.

Nie mogliśmy doczekać się wylądowania, tak nam pilno było dostać się do mięsa, stanąć pod temi starymi drzewami, które je opasują cienistą aleją, zwiedzić te stare, pełne pamiątek kościoły, i groby królów, i zamek książęcy, a raczej jego szczątki.

Nie zapomnę poranku tego i widoku, nie zapomnę naszej wycieczki i każdemu z kolegów mówić będę: jeśli chcesz doznać wielkiej przyjemności, wybierz się na pieszą wycieczkę po kraju.

35. Paweł Cholewa.

Za czasów Bolesława Śmiałego, już z górą 800 lat temu, żył Paweł Cholewa.

Nieprzyjaciel wpadł do kraju i wiele narobił szkody i spustoszenia. Więc król Bolesław rychło zebrał wojsko, z dzielnych złożone rycerzy, i puścił się za nim w pogon.

Dowiedziawszy się o pogoni, wróg umykał co tchu w lasy, którei wówczas cała Polska była pokryta, i dopadł ich szczęśliwie.

Król Bolesław dowiedział się, którądy wróg uchodzi, więc puścił się za nim, ale skoro doszedł do owych lasów, widząc straszne gęstwiny, rzekł zasmucony do swoich rycerzy:

— Otóż masz! będziemy musieli przedzierać się przez gąszcze, a tymczasem nieprzyjaciel nam ujdzie.

I zapuścił się król w lasy, a wojsko za nim dążyło. Ale las stawał się coraz gęstszy, i nie można było dopatrzyć żadnej drogi, a wojsko szło bardzo powolnie.

— Trzeba nam będzie wrócić, szukać innej drogi — odzywa się ktoś ze starszyny; — nie przejdziemy tędy i wróg tu uciekać nie mógł; szkoda czasu.

— Czy słyszycie? — mówił król. — Ktoś drzewo rąbie w lesie!

I spał natychmiast konia i sam poskoczył w tę stronę, z której słyhać było odgłos siekiery.

— Hej, człowieku! — zawołał król — ktoś ty taki?

Poznał chłop króla po złocistej zbroi, a zdjawszy czapkę, rzecze:

— Jam biedny cieśla, miłościwy królu, a zowie się Paweł Cholewa.

— Czy dawno tu drzewo rąbiesz?

— Od samego świtu, miłościwy królu—odpowie Paweł.

— A nie wiesz, którą drogą poszedł nieprzyjaciel?

— Juści wiem dobrze, miłościwy królu: skrył ci się tu, niecnota, na kępie za lasem.

A król aż podskoczył na koniu z radości, i zbroja na nim zachrząściła, że o mało z niej skry nie sypnęły.

— A czy umiesz nas zaprowadzić na tę kępę najkrótszą drogą? — pytał dalej.

— Jest tu krótki manowiec¹⁾, to będzie ich można dopaść zaraz i bić — odpowie Paweł.

— Prowadź, człowieku, a jak doprowadzisz, nie będziesz więcej pracował w lesie siekierą.

Skłonił się Cholewa i puścił się naprzód, a całe wojsko z królem posuwało się za nim cichuteńko i ostrożnie.

W godzinę może potem już było widać przez rzadsze drzewa okrutną czerń wroga, który się na kępie rozłożył obszernem obozowiskiem.

— Bogarodzico! — zawołał król ogniście i ruszył z kopyta, a za nim całe wojsko wpadło na nieprzyjaciela.

Wśród bitwy chłop okrutny zakrada się z tyłu na króla i już miał ciężką szablą ugodzić go w głowę, gdy poskoczył Paweł Cholewa, kładzie trupem wroga i królowi życie ocala.

W miesiąc potem wraca zwycięski król do stolicy, ale któż to obok niego jedzie w złocistej zbroi i kosztownych szatach? Nie hetman to, ani żaden wojewoda²⁾, ale chłop, Paweł Cholewa. Zaraz po bitwie zrobił go Bolesław rycerzem i wielkim panem, bo wszystek las i całą ziemię, którą wojsko na nieprzyjaciela prowadził, darował mu na wieczne czasy.

(Z „*Kmiotka*“.)

Czy rycerze byli krajowi potrzebni? A kmiecie? W jaki sposób służyli ojczyźnie rycerze, a w jaki kmiecie? Czy rycerze obeszliby się bez kmieci, a kmiecie bez rycerzy? Czy kmieć mógł zo-

¹⁾ Manowiec — przejście bezdrożne. ²⁾ Wódz najwyższy w Polsce piastowskiej.

stać rycerzem? Kto z nich więcej narażał życie? Konieczność podziału pracy. Prace są różne, lecz równej wartości. Czy znasz przysłowie: „Pod nędzną siermięgą znajdziesz duszę tęgą”?

36. Chłopek.

Rycerz to niewielki,	Jego to zachody
Krajowi ubliża,	I jego są prace.
Który nad stan wszelki	Jego jest ciężarem,
Wieśniaka poniża.	Co lekko pan trwoni,
Pracowity chłopek	On na to pod skwarem
I żywi i broni:	Z bydłębem pot roni.
Żywi jego snopek,	Z dziećmi on głódnemi
A strzecha osłoni!	Te ziarneczka zgania,
Ostrzem jego kosy	Którę pan po ziemi
Ozłaca się ziemia,	Za cacko roztrwania.
On na niej wnet kłosa,	Rycerz to niewielki,
Wnet wawrzyn rozplenia ¹⁾ .	Krajowi ubliża,
Te błyszczące grody,	Który nad stan wszelki
Te pańskie pałace,	Wieśniaka poniża.

K. Bródziński.

Czy praca zapewnia ludziom żywność? A więc czyja praca jest najpożyteczniejsza? Czy rozumny człowiek może nie szanować pracy i ludzi, którzy uczciwie pracują? Wymień wyrazy podobnego znaczenia, co *chłop* i *rycerz*.

37. Chleb i szabla.

Chleb przy szabli gdy leżał, oręż mu powiedział:
— Szanowałbyś mię bardziej, gdybyś o tem wiedział,
Jak ja na to pracuję i wieczór i rano,
Żeby twoich bezpiecznie darów używano.

¹⁾ Rozpleniać wawrzyn — pomnażać chwałę; wawrzynem na znak chwały wieńczono wielkich ludzi.

— Wiem ja, chleb odpowiedział, jakim służysz kształtem¹⁾:
Jeśli mię często bronisz, częściej bierzesz gwałtem.

I. Krasicki.

Wytłumacz myśl tej bajki.

38. Szklanka wody.

Mówi pan do chłopca:

— Przynieś szklankę wody dla tego gościa.

Chłopiec wchodzi, trzymając szklankę wody w ręku.

Pan do niego:

— Wróć się, niedołęgo! przynieś przecież na talerzu!

Chłopiec się wrócił, wylał wodę na talerz i, niosąc, mówi do siebie:

— Ciekawy jestem, jak gość tę wodę z talerza wypije.

(Wypisy Rymarkiewicza.)

39. Wieczorynka²⁾ u Ewci,

I.

Zimno, ciemno, wiatr jęczy i migocze światłami
latarni, lub rzuca śniegiem w oczy, przenika za kołnierz.

Aż zadudniało na schodach, kiedy dzieci wbiegły
z podwórza, śpiesząc do Ewci na tygodniową wieczorynkę.
Andzia tylko spokojnie stanęła na dole i upomina:

— Ciszej!

Andzia pamięta zawsze o sąsiadach i nie lubi hałasu,
który innym przykry być może; razi ją też krzyk i tupanie,
bo przecież schody własność wspólna. Może dlatego,
że starsza, ma więcej delikatności pod tym względem.

Kazio zupełnie innego jest zdania: śnieg przecież
otrząsnąć trzeba! Strzepnąć jesienną słotę, wilgoć, trochę
błota—tu lepiej, niż w przedpokoju.

¹⁾ Tutaj znaczy: sposobem. ²⁾ Zebranie wieczorne dla wspólnej pracy przy wesołej pogawędce nazywamy wieczorynką.

Inni się nie spierają, ale tupią także, machają czapkami, potrzásają parasole, brrr! brrr!

Hałas został na schodach, a do przedpokoju wchodzi przyzwoita zupełnie gromadka. Jak tu jasno i sucho jakby śnieg nie istniał! Gospośia wita wszystkich uprzejmie, wesoło i wprowadza do swego pokoiku.

Prawdziwy tutaj warsztat: na środku rozstawiono duży stół z klapami, na stole lampa, a koło niej—rozmai-tości: zabawki, książki, kajety, perkale, barchan, sznurki, stopy kolorowego papieru, koszyki — ktoby wyliczył wszystko!

Zebrania u Ewci bardzo pracowite, możnaby je nazwać słusznie pożyteczną zabawą, gdyż pożytek mają na celu, choć są wesołe i przyjemne. Bo co tu zawsze śmiechu, psot, gwaru i żartów, nowych planów, a najwięcej zadowolenia i wybuchów radości.

To Ewci pomysł. Sama obmyśliła „Towarzystwo pożytku,“ które liczy wielu członków, zbierających się u niej raz na tydzień i zajętych obecnie z prawdziwem przejęciem przygotowaniem „Gwiazdki“ dla ubogich dzieci, czy to znajomych, czy z ochronki lub szpitalika.

Zadaniem kółka teraz jest zgromadzić tyle podarunków, żeby jak najwięcej dzieci mogło być uszczęśliwionych. Kupować wszystkiego niepodobna, bo Towarzystwo ma tę szlachetną zasadę, że nie idzie do mamy po pieniądze, ale radzi sobie, jak może. A tu nietylko o zabawki chodzi: potrzeba i ubrania, sukienek, bielizny.

Więc otworzono warsztat. Materjały przyjmują się w naturze, naprawiają, przerabiają, i proszę zobaczyć, co to będą za skarby.

II. ✂

Co sobota zbierają się dzieci u Ewci, bywa i po dziesięcioro. Każde dostaje robotę według tego, co umie i co lubi, każde zwykle coś przynosi: bieliznę, z której

wyrośło, podniszczone sukienki, uszkodzone zabawki, przeczytane książki; zdarzy się nieraz i sztuczka perkalu, i materjał na sukienkę, i ciepły paltocik, i niezłe buciki, i czapeczka, i pończochy. Wszystko się ogląda, naprawia, szyje i składa w dwa kosze: w jeden rzeczy do ubrania, w drugi naprawione zabawki.

Kazio rozwija tu cały swój genjusz¹⁾: przyszywa lalkom nogi, reparuje głowy, wstawia oczy, nakleja peruki²⁾, koniom przyprawia grzywy i ogony, fabrykuje wózki, koleje, okręty, zbroje, szyszaki, fuzje i pałasze, skleja książki, układa, kolekcje³⁾ obrazków w kajetach, słowem zupełna fabryka. Wyprosił sobie Franka na te posiedzenia, bo nikt mu nie pomaga tak zręcznie i szybko; każde zniszczone cacko pod ich ręką odzyskuje piękny wygląd i straconą wartość. Obaj z tego są bardzo dumni.

Władzio znowu maluje, ilustruje⁴⁾ znane bajki i opowiadania w cienkich kajetach, z których każdy całość stanowi. Oto historia Robinsona schnie przy piecu w ośmiu obrazkach. To „Powrót taty“, a to „Pan Twardowski“, a to Historia lasu, który wyrósł, był piękny, stanowił mieszkanie zwierząt, ptaków, grzybów, a potem został ścięty, i co z niego zrobiono. To znów łódki, tratwy, różne statki i okręty, wszystko co po wodzie pływa. Tu obrazki z Historji świętej; tu królowie, wojsko, bitwy, rycerze; tam zajęcia rolnika, tu różne zwierzęta, a tam dalekie kraje: Chińczycy i Murzyni, słonie i wielbłądy, węże i krokodyle. Prawdziwe skarby te kajety Władzia.

Dziewczynki tymczasem ubierają lalki, krają fartuszki, sukienki, koszulki i własnymi rękami szyją wszystko. Andzia najczęściej siedzi przy maszynie, co chwila inna podaje jej coś do zeszycia, trr! i już gotowe, — takie to wszystko małe!

¹⁾ Najwyższy stopień zdolności twórczych. ²⁾ Przyprawne włosy. ³⁾ Zbiory. ⁴⁾ Ozdabia obrazkami.

Ale dużo wszystkiego, będzie bogata gwiazdka.

Miło dzieciom pomyśleć, że to zrobiły same, że bez nich mniej na świecie byłoby szczęścia w tym roku, że nie tylko odbierać umieją, lecz i dawać.

Już się nawet przekonały, że przyjemniej dawać, niż odbierać. Zosia pierwsza zrobiła to wielkie odkrycie i powiedziała zaraz, że wolałaby sama nic nie dostać, niż wyrzec się przyjemności obdarzania. Widok rozpromienionych, radosnych twarzątek do łez ją zawsze wzrusza, i gotowa wtedy wszystko zdjąć z siebie, rozdać co tylko posiada, tyle jej daje szczęścia co rok ta godzina, prawdziwie błogosławiona.

Tego roku będzie u Ewci choinka. Dzieci zaproszone zaśpiewają razem kolędę, potem dostaną podarunki, łąkocie, rozbiorą drzewko; podzielią się wszystkim, co na niem było, wspólnie odmówią modlitwę i pobiegną do rodziców pochwalić się, co dostali.

Ochronka obdarzona będzie wcześniej, a resztę podarunków odeśle się do szpitalika. Niech biedne chore dzieci mają także jakąś przyjemność. Kajety Władzia dla nich głównie przeznaczone, lecz dostaną i zabawek i ubrania.

Nikt nie wie, ile dobrego zrobić może, póki nie zacznie; a gdy raz zacznie, wszystko mu rośnie pod ręką.

Daj przykłady dużych skutków pracy zbiorowej. Czy pamiętasz przed Gwiazdką o ubogich dzieciach i czy starasz się dla nich zrobić coś przyjemnego? Obowiązkiem dzieci zamożniejszych myśleć o dzieciach biedniejszych.

40. Łzy nieużyteczne.

— Czemu ty płaczesz? — Ach, drogi tato,
Bardzo mi smutno! Wybiegłszy w pole,
Dostrzegłem zdala pod wiejską chatą
Jakąś sierotę, nędzne pachole;

Piesek złośliwie nastraszył dziecię,
A ono drżało, niby osina ¹⁾.
Biednym sierotkom ciężko na świecie!
Uściskał ojciec dobrego syna:
— Słusznie ci spływa po twarzy łezka,
Lecz czyś ty dziecku pomógł, Stefanie?
Czyś swawolnego odpędził pieska?
Czyś dał sierocie własne śniadanie?
— Ach, nie, tatusiu, jam tutaj wrócił.
— Toś moje serce mocno zasmucił,
Bo łyżę współczucia niewiele warte,
Gdy dobrym czynem nie są poparte.

Co znaczy *litościwy* a *miłosierny* i *dobroczynny*? Dlaczego same łyżę współczucia niewiele są warte? Do czego powinna nas litość pobudzać? Co rozdasz ludziom, to stanowi twoją wartość i bogactwo.

41. Dziennik Marysi.

Wiercidmuch, 6 sierpnia, wtorek.

No, to mi się udało! Nawet nie marzyłam sobie, żeby, mając lat 12, zostać panią domu; prawdziwą panią; dzieci, służba, gospodarstwo — wszystko należy do mnie! Na krótko wprowadzie, bo na kilka dni zaledwie, lecz i tak przekonam wszystkich, że potrafię rządzić doskonale. Zaczęłam pisać dziennik, żeby Mamusia po powrocie poznała dokładnie moje postępowanie. Zapisywać tu będę wszystko szczerze, choćbym jaki błąd popełniła, bo i tak przekonają się ludzie, że coś jestem warta. Jeszcze kiedyś i swoim dzieciom ten dzienniczek pokażę!

A stało się to następującym sposobem. Tatuś jeszcze w niedzielę pojechał do Warszawy po jakieś pieniądze, a wczoraj przychodzi list, żeby Mamusia przyjechała za-

¹⁾ Drzewo o listkach przytwierdzonych na długich szypułkach, co sprawia, że się łatwo poruszają.

raz, bo jest koniecznie potrzebna. Mamusia była bardzo zakłopotana, bo i nauczycielki właśnie niema w domu, ale ja powiedziałam: — Moja Mamusiu, niech się Mama o nic nie obawia, ja bardzo dobrze potrafię zaopiekować się dziećmi i wszystkim; przecie mam lat dwanaście.

Mamusia widać nie bardzo mi dowierza, bo westchnęła i pokiwała głową, ale cóż było robić? Przekona się, gdy wróci, kto ma słuszość. A teraz spać, bo jutro rozpoczynam panowanie, więc trzeba wstać bardzo rano.

Środa.

Nie bardzo mi się dziś udało, ale tylko dlatego, że zarano wstałam. Przez to dzieci obudziły się zawczasie i zaraz zaczęły się sprzeczać. Naturalnie rozgniewałam się na nie i powiedziałam, że jeżeli natychmiast nie zaprzeszają kłótni, to nie pójdą wcale na spacer. Nie zaprzestały kłótni, a nawet było coraz gorzej, dopóki im Janowa nie obiecała, niby w tajemnicy, pokazać coś ciekawego. (Wiem dobrze, o co chodzi: kurczątka zaczęły się legnać pod kwoką¹⁾.) Usiadły więc bardzo grzecznie do śniadania, a że dzień był prześliczny, musiałam im przebaczyć, i poszliśmy sobie aż do lasu.

Ach, ślicznie, ślicznie w lesie! — taki gwar ptasząt, tyle kwiatów! Bawiliśmy się doskonale. Wtem spostrzegam, że niechcący zabrałam kluczyki od spiżarni, a na obiad nic nie wydano! I późno już być musi, bo słońce tak pali. Więc trzeba było wracać, choć nie odpoczęliśmy, a pomimo to obiad był dopiero na 3-cią. Musiałam dać dzieciom coś przekąsić i trochę mleka, a potem przy obiedzie grymasiły, Janek zaś — nie wiem czego, płakał cały wieczór.

Czwartek.

Jużbym chciała, żeby rodzice wrócili! Nie dlatego, żebym sobie nie mogła dać rady, ale Janek ma trochę

¹⁾ Kura, mająca małe kurczętka.

gorączki i głowa go boli. Janowa mówi, że zaziębił się wczoraj, bo wrócił z przechadzki bardzo zgrzany i zmęczony, napił się zimnego mleka i poszedł po nie za Anusią do piwnicy. To prawda,— ale tak byłam skłopotana temi kluczami i spóźnionym obiadem...

Zosia nudzi się sama, siedzi ciągle w kuchni i pewno się przeje, bo to jej specjalność, a cóż mogę z nią zrobić, kiedy muszę pilnować Janka?

Ach, żeby już rodzice powrócili!

Piątek.

Mamusia przyjechała. Janek ma zapalenie gardła, ale Mamusia mówi, że to przejdzie. Bardzo się cieszę, że Mamusia wróciła tak prędko. Jużbym nie chciała sama zostać na gospodarstwie, a szczególnie z dziećmi. Ach, trudno to bardzo opiekować się dziećmi i dobrze nimi rządzić!

O czym się przekonała Marysia w ciągu tych kilku dni? Czy łatwiej jest rządzić, czy słuchać? Jaką się wydaje Marysia po przeczytaniu jej dzienniczka z pierwszego dnia? Co to znaczy: dziennik?

42. Myszka, kot i kogut.

Coby to była za szkoda!

O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił.

To, co ona swej matce, ja wam będę prawić:

„Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,

Dopałam jednej zielonej równiny,

Dyrdając jako szczurek, kiedy sadło śledzi;

Patrzę, aliści dwoje zwierząt siedzi:

Jeden z nich trochę dalej, z milczeniem przystoj-

Łagodny i uniżony; [nem¹⁾,

Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym,

W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,

¹⁾ Poważnem, przyzwoitem.

Ogon, zadarty do góry,
Lśnięcemi błyskotał pióry.
Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
Jak gdyby kto powykrawał.
Ręce miał, któremi się sam po nogach śmigał¹⁾,
Albo na powietrze dźwigał.
Ja, lubo²⁾ z łaski Boskiej dosyć jestem śmiała,
Ażem mu srodze nakłęła,
Bo mnie z strachu drżączka wzięła,
Jak się wziął tłuc z tartasem³⁾ obrzydły krzykała;
Uciekłam tedy do jamy.
Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
Minka jego nie nadęta,
I choć ma bystre ślipięta,
Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał.
Jak nasze taką samą robotą ma uszka,
Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał;
Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
Tej przyjacielskiej usługi,
Kiedy nagłego narobił łoskotu,
Krzyknawszy na mnie z gniewem: „Kto to tu? Kto to
„Stój—rzecze matka—córko moja luba, [tu?“
Aż mrowie⁴⁾ przechodzi po mnie!
Wiesz-li, jak się ten zowie, co siedział tak skromnie?
Kot bestja, rodzaju naszego zaguba.
Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta,
I przyjdą może te czasy,
Że z jego ciała jeść będziem frykasy⁵⁾;
A zaś kot może nas schrusta.
Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
I tę zdrową maksymę⁶⁾ w swej pamięci zapisz:

¹⁾ Uderzał. ²⁾ Chociaż. ³⁾ Z hałasem. ⁴⁾ Dreszcz trwogi.

⁵⁾ Przysmaki. ⁶⁾ Maksymę — prawdę, naukę.

„Nie sądź nikogo po minie,
Bo się w sądzie poszkapisz“¹⁾.

St. Trembecki.

Jaka jest myśl w tej bajce? Czy można poznać z powierzchowności, t. j. z ubrania, urody — wartość człowieka?

43. Matka.

Czy wiecie, dzieci, kto na tym świecie
Prawdziwym dla was bywa aniołem?
Kto z jasnym okiem, pogodnym czołem
Stara się życie stroić wam w kwiecie?
Kto wam gwiazdeczką promienną świeci,
Wiecież wy, dzieci?

Czy wiecie, dzieci, kto nad kołyską
Czuwał dzionkami, czuwał nocami?
Kto wam piosenki nucił ze łzami?
Kto wam jest duszą drogą a bliską?
Kto w waszych sercach kochanie nieci²⁾,
Wiecież wy, dzieci?

Wiecież wy o tem, kto w niebios tonie,
Ponad gwiazd szlaki³⁾ i drogi mleczne
Zasyła za was modły serdeczne
I przed ołtarze pochyla skronie?
Czyja to prośba ku Stwórcy leci,
Wiecież wy, dzieci?

Wiecież wy o tem, kto waszem słońcem?
Kto pierwszym mistrzem, nauczycielem,
Pierwszą radością, pierwszym weselem,
Szczęściem, dziecinne troski kojącym⁴⁾?
Światłem przewodniem⁵⁾ w życia zamieci?
To — Matka, dzieci!

Zofja Zacharkiewiczówna.

¹⁾ Pomylisz. ²⁾ Budzi. ³⁾ Drogi. ⁴⁾ Uspokajającym. ⁵⁾ Które prowadzi.

44. Ze wspomnień córki Mickiewicza.

I.

Adam Mickiewicz był bardzo dobrym i troskliwym ojcem: najstarszą córeczkę, Marynię, sam uczył przez czas jakiś. Opisuje to ona w swoich wspomnieniach z dzieciństwa w następujący sposób:

„Z abecadłem uciekałam najczęściej od mamy do papy, bo daleko był pobłażliwszy, łatwiej wierzył nadzwyczajnemu zmęczeniu przy tak ciężkiem i mozolnem zajęciu i nieraz namówić się dawał, aby lekcję zamienić na spacer. Z rzadką cierpliwością słuchał też najdziwniejszych pomysłów, których mu przy tej okazji udzielałam, i długo a obszernie tłumaczył upartej mojej głowie, że *b* muszę koniecznie wymawiać *b*, a nie inaczej, a litery *s*, której nie cierpiałam, nawet sam papa nie ma prawa wyrzucić z abecadła.

Kiedyśmy byli sami, o zmroku mama zasiadała do fortepianu, a ojciec uczył mię śpiewać: „*Wanda leży w naszej ziemi*”, „*Poleciała przepióreczka w proso*”, „*Nasza dziewczyna robocza była, wzięwszy kądziolkę, po wsi chodziła*” i bardzo ulubioną przez niego piosenkę: „*Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój*”. Z powodu tej ostatniej bardzo się uśmieł, bo nauczyły się ją śpiewać i małe Jundziłłówny, a stąd wszczęły się między nami kłótnie i wyrzuty: — Dlaczego ty śpiewasz moją piosenkę?

Często też ojciec nucił mi smętną piosenkę: „*Idzie żołnierz borem, lasem, przymierając z głodu czasem*”, ale ta ostatnia zawsze mnie wprawiała w wielki smutek. Ponieważ mowa tam była o bracie i siostrze, wyobrażałam sobie zaraz Władzia żołnierzem, konika powracającego do mnie po jego śmierci, i nigdy do końca dosłuchać nie mogłam zbyt żałosnej dla mnie śpiewki“.

II.

„Raz jedna z prelekcyj ojca¹⁾, z łaski mojej mądrej osóbkki, w dziwny sposób została urozmaiconą.

Zobaczyłam gdzieś wiewiórkę i koniecznie napierać się zaczęłam, żeby taką dostać, a ojciec naturalnie zaraz obiecał postarać się o to dla Misi, która codzień przypominała mu o obietnicy. Szedł jednego poranku do Uniwersytetu, kiedy na moście zobaczył siedzącego Sabaudczyka²⁾ z wiewiórką. Ucieszony, że dogodzi moim gorącym życzeniom, zapomniał, że idzie na prelekcję, kupił ładne zwierzątko, a że zimno było, wsunął ją w zanadrze i, za piąwszy dobrze surdut, żeby nie uciekła, poszedł dalej.

Ledwie uszedł kilkanaście kroków, prelekcja przyszła mu na myśl, ale za to wiewiórka wyszła zupełnie z pamięci. Wchodzi zatem ojciec na katedrę i mówić zaczyna. Przez czas jakiś wszystko szło dobrze, aż wiewiórka, znudzona długim spokojem, albo może zbyt czując gorąco w sali ogrzanej, pod ciepłym surdudem zaczęła kręcić się żywo, szukając wyjścia z ciemnej kryjówki.

Mówiąc o literaturze słowiańskiej, czuł profesor na piersiach wszystkie skoki i poruszenia wiewiórki, która trafiła wreszcie na otwór rękawa i żywo zsuwać się zaczęła na dół. Ojciec drugą ręką co prędzej rękaw u dołu uchwycił, skrzył i trzymał mocno, lękając się co chwila, aby mieszkanka lasów, wylatując zniechcąca z rękawa profesora, nie znalazła się wśród publiczności jako niesłychane zjawisko. Przy takim pasowaniu się z niewygodnym gościem musiał prowadzić dalej i kończyć prelekcję.

Tak drogo opłaconą wiewiórką niedługo się jednak cieszyłam, okazała bowiem przy całej zwinności nadzwyczajnie

¹⁾ Mickiewicz wykładał literaturę narodów słowiańskich w Kolegium w Paryżu. ²⁾ Sabaudja — prowincja w połudn. Francji.

czaj złośliwą i dziką naturę. Kilka razy, przegryzłszy druty klatki, w nocy wypadła i szkody narobiła; raz ojcu całą poduszkę pod głową pogryzła, a gdy wkońcu zamiast orzecha rękę mocno mi ukąsiła, wydalono ją z domu“.

M. Górecka.

Jaki znasz utwór Mickiewicza? Czy to jest opis, czy opowiadanie?

45. Stara piosnka.

Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając z głodu czasem,
Suknia na nim oblatuje,
Wiatr dziurami przelatuje.
Chociaż żołnierz obszarpany,
Przecie stoi między pany;
Trzebaby go obdarować,
Chleba, soli nie żałować.
W kotły¹⁾, bębny uderzyli,
Na wojenkę zatrąbili.
Starsza siostra usłyszała,
Bratu konia osiodłała,
A młodsza mu miecz podała,
Sama rzewnie zapłakała.
— Nie płacz, nie płacz, siostró, brata,
Powrócę ja za trzy lata. •
Nie wyszło roku, półtora,
Wojownicy jadą z pola.
— Witam, witam, mospanowie,
Daleko tam brat na wojnie?
— Leży w polu na Podolu,
Prawą nóżkę ma w strzemieniu,

¹⁾ Rodzaj bębna w kształcie półkuli.

Konik jego wedle niego
Grzebie nóżką, żałuje go.
— Wstawaj, panie młodziesieńki,
Ja twój konik wiernusieńki;
Póki pan mój na mnie siadał,
Tom ja czyste ziarno jadał;
Teraz nie mam sieczki, słomy,
Rozniosą mnie kruki, wrony.
Siostra wszystko wysłuchała,
Potem rzewnie zapłakała.

Skarbiec strzechy naszej.

Jaki jest los żołnierza? Wypisz trudniejsze wyrazy.

46. Jak ze złem walczyć trzeba.

Przypowieść Mickiewicza.

Za dawnych czasów, kiedy zbudowano pierwsze miasto na ziemi, zdarzyło się, iż w onem mieście wszczął się pożar.

Powstali niektórzy ludzie i spojrzeli w okno, a widząc ogień bardzo daleko, poszli znowu spać i usnęli.

A drudzy, widząc ogień bliżej, stali we drzwiach domostw swoich i mówili: „Będziemy gasić, kiedy ogień do nas przyjdzie.“

Ale ogień wzmógł się bardzo i pożarł domy tych, co we drzwiach stali, a tych, którzy spali, pożarł z domami ich.

Byli zaś niektórzy ludzie poczciwi, ci, widząc ogień, wybiegli z domów i ratowali bliskie sąsiady, ale iż mało było poczciwych, uratować nie mogli.

A gdy miasto zgorzało, owi poczciwi ludzie z sąsiedami odbudowali je, i pomagał im lud całej okolicy, i stanęło miasto większe i piękniejsze niż pierwsze.

Ale owych, co nie byli u pożaru, ale tylko we drzwiach domów swych stali, z miasta wypędzono.

W mieście zaś ustanowiono takie prawo, iż w czasie pożaru wszyscy z wodą, drabinami, hakami do ognia muszą, albo wyznaczą osobne ludzie, którzy nocą czuwać a ogień gasić będą.

I prawo takie i porządek odtąd w miastach nastało i ludzie spali spokojnie.

Opowiedz tę przypowieść. Co to znaczy: czy Mickiewicz tylko o pożarze myśli? Pożar jest niebezpieczeństwem, jest złem; zło i niebezpieczeństwo może być rozmaite: może nim być jakaś choroba, jakaś krzywda, niesprawiedliwość, którą inni cierpią. Czy widząc to, poczciwi ludzie śpią spokojnie? Czy nie powinni bronić tych, którzy cierpią? Czy można powiedzieć: jak do mnie się zło zbliży, to będę się bronił? Jak się nazywa człowiek, który tylko o sobie myśli? Jeśli w szkole są uczniowie źli, leniwi, kłamliwi, czy dobrze jest powiedzieć: — niech sobie będą tacy, mnie to nic nie szkodzi; komu szkodzi niech się broni? Czy to naprawdę nie szkodzi całej szkole? Szkodzi, bo zło zaraża, powiększa się i ogarnia coraz więcej. Jak możemy nazwać takiego, który broni innych i walczy ze złem, choć jemu nie dokucza? Szlachetny człowiek od dziecka pragnie dobra dla wszystkich, wszystkich kocha i chce ich bronić lub poprawić.

47. Dla ojczyzny.

Wyrośnięm tego i na schwał,
dla ciebie, polska ziemio!
Miłość ku tobie Bóg nam dał,
wrogi jej nie wyplemią.
Służyć będziemy ci po zgon,
do naszych sił ostatka!
I na twój ołtarz złożym plon,
boś ty nam wszystkim Matka!

R. Kwiatkowski.

Jak powinniśmy dla ziemi naszej wyrosnąć? Jakim Polak powinien być? Kto kocha swoją ziemię, jak jej służy? Czy tylko na wojnie można ojczyźnie służyć? Daj przykłady pracy dla ojczyzny. Czy dziecko, które się pilnie uczy, pracuje dla ojczyzny?

48. Bolesław Krzywousty rycerzem.

Nadzwyczaj wspaniale i uroczyście odbył się obrząd pasowania Bolesława Krzywoustego na rycerza.

W dniu oznaczonym książę Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szedł najprzód na nabożeństwo. Odziani skromnie, jak pokutnicy, suknie mieli z prostego sukna grubego, bez żadnych ozdób, nakształt sutanny, którą duchowni nosili. Podczas mszy św. wszyscy spowiedź odprawili. Nie godziło się dnia tego używać rozrywki, ni wspólnie z innymi biesiadować. Stół mieli osobny, jadło skromne i niewytworne. Dzień upłynął na skupieniu ducha i na nabożeństwie. Wysłuchawszy nieszpórów, wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym na ołtarzu Przenajświętszym Sakramentem i przy płonącej lampie noc całą przebywali na czuwaniu i modlitwach.

Jak tylko rozedniało, wyszedł sam biskup ze mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do stołu Pańskiego. Szli potem do przygotowanej łaźni, a zmieniawszy odzież, wzięli bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną¹⁾. Zwyczaj, którego ściśle pilnowano, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w niem przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami. Oprzeć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi Bolko, lecz w końcu choć na chwilę lec musiał, aby się zwyczajowi zadość stało. Wpuszczono ciekawych i przyносяcych życzenia, których było niemało.

Gdy się odwiedziny te skończyły, starsi trzej wojownicy przystąpili do odziewania królewicza wedle obyczaju. Jeden podał mu koszulę, u szyi i piersi złotem wyszywaną, białą jak śnieg, bo szatę niewinności ozna-

¹⁾ Bramowany — obszyty po brzegach taśmą lub inną materją.

czającą, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę misternie plecioną; ta oznaczała jakby włosienicę rycerską, godło trudu, bólu i wstrzemięźliwości. Na oną drugą koszulę żelazną wdziewano kaftan łośiowy, który tamte okrywał tak, jak człowiek cnotę swą i boleść powinien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Po kaftanie poczęto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagołenników¹⁾. Narzucono mu potem płaszcz rycerski na ramiona, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż w skwar sierpniowy ledwie ciężar ten cały można było udźwignąć.

Tak samo przyodziani byli towarzysze Bolkowi wszyscy, dla których on koszule, zbroje i miecze jednakie zawczasu przysposobił.

Przybrani, wszyscy młodzi, pacholęta jeszcze, uroczyste szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie nie w izbie ani w podwórzu, ale w katedrze się odbyło. Na wielkim ołtarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy biskup pobłogosławił.

Gdy orszak ruszył z dworca, wszystkie podwórza, wały, okna pełne były ciekawego ludu, wznoszącego okrzyki na cześć młodego pana i jego rodziny. W uroczystym pochodzie szli wszyscy do kościoła: młodzież najprzód, starszyzna za nimi.

Król zasiadł na wezgłowie²⁾ pod baldachimem. Duchowieństwo licznie było zgromadzone. Lud tłoczył się do kościoła. Szedł najprzód królewicz przed wielki ołtarz, a tu odprawivszy krótką modlitwę, siedł do ojca, przed którym składać miał przysięgę. Jedną dla wszystkich rycerską przysięga brzmiała, że krwią, życiem, mieniem,

¹⁾ Nagołennik — część zbroi, noszona na goleniach (nagołennica), nakolank. ²⁾ Wezgłowie — poduszka, na której opiera głowę albo łokieć.

nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętej i Kościoła, walczyć z pogany, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie wszelkiego uciśnionego. Po złożeniu przysięgi, dopiero przystąpili do królewicza starsi rycerze, aby mu złożone przypiąć ostrogi. Z ołtarza klerycy, wzięwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał zdobną w drobne krzyżyki złote, nieśli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a król Władysław, trzykroć mieczem uderzywszy po ramieniu, drżącemi rękoma przypasał mu znamię rycerskie. Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić powinien był cierpliwie ciosy i razy—za wiarę i za prawdę.

Wstał Bolko, cały radością promieniejący, dziękując ojcu; a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczyła go starszyczna, dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi i trąby. Uderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały, w podwórcach stojący, nowych rycerzy witał.

J. I. Kraszewski.

49. Chrystus i dzieci.

Siadł w szczerem polu Chrystus Pan,

A przy nim orszak bosy:

Dziateczki, co na zzęty łan¹⁾

Szły z miasta zbierać kłosy.

Cisną się usta do nóg Mu

Drobnouchnej tej czeladzi,

¹⁾ Pole.

A Chrystus spuścił jasną dłoń
I główki dzieci gładzi.

— Rośnijcie — rzecze — ojcom swym
I matkom na pociechę,
I jako słońce, chaty swej
Wyzłóćcie niską strzechę!

A co pogładzi jasny włos,
To gwiazdy im dokoła
Sypią się, nakształt złotych ros,
Na pochylone czoła.

Lecz wpośród dzieci była tam
Sierotka jedna mała,
I słysząc to, co Chrystus rzekł,
W te słowa się ozwała:

— A ja nie będę, Panie, rość,
Bo na co to i komu?
Ojca ni matki nie mam już,
A także nie mam domu.

Lecz Chrystus rzekł: — Zaprawdę wam
Powiadam, moje dziatki,
Nie jest sierotą żadne z was,
Choć nie ma ojca, matki.

Bo ojcem mu jest niebios Pan,
A matką ziemia miła,
Co go zbożami swoich pól,
Jak mlekiem, wykarmiła.

A domem mu jest cały świat
Bez granic i bez końca,
Gdzie tylko sięgnie jego myśl,
Jak złota strzała słońca.

M. Konopnicka.

50. Zima u krasnoludków.

Zima była tak ciężka i długa, że miłościwy Błystek, król krasnoludków, przymarzył do swojego tronu. Siwa jego głowa uczyniła się srebrną od szronu¹⁾; u brody wisały lodowe sople, brwi, najeżone okiścią, stały się groźne i srogie; w koronie, zamiast pereł, iskrzyły się krople zamarzniętej rosy, a para oddechu osiadała śniegiem na kryształowych ścianach jego skalnej groty²⁾. Wierni poddani króla, żwawe krasnoludki, otulali się, jak mogli, w swoje czerwone opończe³⁾ i wielkie kap-tury. Wielu z nich sporządziło sobie szuby i spencery⁴⁾ z mchów brunatnych i zielonych, uzbieranych w boru jeszcze na jesieni, z szyszek, z huby⁵⁾ drzewnej, z puchów wiewiórczych, a nawet z piórek, które pogubiły ptaszki, lecące za morze.

Ale król Błystek nie mógł się odziewać tak ubogo i tak poospolicie. On zimą i latem musiał nosić purpurową szatę, która, od wieków służąc królom krasnoludków, dobrze już była wytarta, i wiatr przez nią świstał. Nigdy też, za nowych swoich czasów nawet, bardzo ciepłą szatą owa nie była, ile że z przędzy tych czerwonych pajęczków, co to wiosną po grzędach się snują, utkanna, miała zaledwie grubość makowego listka.

Drżało więc królisko srodze, raz wraz chuchając w ręce, które mu tak zgrabiały, że już i berła utrzymać w nich nie mógł.

W kryształowym pałacu — wiadomo — ognia palić nie można. Jakże!? Jeszczeby wszystko potrzaskało: posadzka i mury.

Grzał się tedy król Błystek przy blasku złota i srebra, przy płomieniach brylantów, wielkich jak skowroń-

¹⁾ Zamarznięta rosa. ²⁾ Jaskinia, schronienie w skale. ³⁾ Płaszcz.

⁴⁾ Kurtki. ⁵⁾ Rodzaj suchego grzyba drzewnego.

cze jaja, przy tęczach, które promyk dziennego światła zapalał w kryształowych ścianach tronowej sali, przy iskrach, lecących z długich mieczów, którymi wywijały dzielne krasnoludki, tak z wrodzonego męstwa, jak i dla rozrywki. Ciepła wszakże z tego wszystkiego było bardzo mało, tak mało, że biedny król szczekał zębami, jakie mu jeszcze pozostały, z największą niecierpliwością oczekując wiosny.

— Żagiewko — mówił do jednego z dworzan — słuگو wierny! wyjrzyjno na świat, czy nie idzie wiosna?

A Żagiewka kornie odpowiedział:

— Królu, panie! nie czas na mnie, póki się pokrzywy pod chłopskim płótem nie zaczną zielenić. A do tego jeszcze daleko.

Pokiwał król głową, a po chwili znów skinie i rzecze:

— Sikorek! A może ty wyjrzysz?

Ale Sikorkowi nie chciało się na mróz wystawić nosa. Rzeknie tedy:

— Królu, panie, nie pora na mnie, aż pliszka ćwierkać zacznie. A do tego jeszcze daleko!

Pomilczał król nieco, a iż mu zimno dokuczało srodze, skinie znów i rzecze:

— Biedronek, słuگو mój! A tybyś nie wyjrzał?

Wszakże i Biedronkowi nie pilno było na mróz i zawieje. I on się kłaniał i wymawiał:

— Królu, panie! nie pora na mnie, aż się pod zeschłym listkiem śpiąca muszka zbudzi. A do tego jeszcze daleko!

Król spuścił głowę na piersi i westchnął, a z westchnienia tego naszła taka mgła śnieżysta, że przez chwilę w grocie nie widać nie było.

M. Konopnicka.

Wymień cechy zimy.

Czy zima jest przyjemną porą roku? Wylicz jej przyjemności i piękności, — wylicz przykre strony.

51. Zima.

Bocianie gniazdo,
Zębata brona
Na wierzchu drzewa
Osamotniona.
I nago, chłodno,
I nic już niema;
Mroźna, pogodna
Nadchodzi zima.

Jak brylantowe —
Drzewa się świecą,
Pyłki srebrzyste
W powietrzu lecą.
Zamarzłe wody,
Białe zagony,
Po drodze głodne
Włóczą się wrony.

Śniegi ubite
Pod nogą skrzypią,
A wiatry szczypią
Lice ¹⁾ odkryte.
Więc się na komin
Drzewa nakłada
I z starą księgą
Przed ogniem siada.

Dwa psy ogary ²⁾,
Przyległszy blisko,
Drzemią spokojnie,
Patrząc w ognisko.
To płomień buchnie,
To iskrą pryśnie,
Szabla na ścianie
W półksiężyc błyśnie.

Na okna kwiaty
Zaszły śnieżyste,
Na które miesiąc
Promienie czyste
Rzuca zwysoka
I brylantuje,
Na szklistej kanwie
Srebrem haftuje.

Izba w półcieniu,
Wszystko w uśpieniu,
Cisza wokoło...
Tylko piosenka
Z chałup, gdzie drobne
Świecą okienka,
Jakby z za świata
Do mnie dolata.

Tam prządkę ciągną
Pod strzechą starą
Ze lnu, konopi
Długą nie szarą.
A z serca ciągną
Nici srebrzyste:
Długie powieści,
Pieśni ojczyste.

To jak Pan Jezus
W ludzkiej postaci
Schodzi do chatek,
Do biednej braci
I między dzieci,
Trzódkę maleńką,
Rozdziela dary
Najświętszą ręką.

T. Lenartowicz.

Czy we wszystkich krajach na świecie jest zima? Gdzie trwa najdłużej? Czy w tym wierszu mamy opis, czy opowiadanie?

¹⁾ Twarz.

²⁾ Psy myśliwskie.

52. Choinka.

I. Zmierzch zstąpił na wielką równinę. Śnieg ją pokrył rozmiękły, mokry, wydeptany. Mróz zwolnił, a biel śniegu, mieszając się z błotem, utworzyła brudną, grząską masę. Z trudem wlokąc nogi, szła równiną matka z dwojgiem dzieci. Szli od miasta ku fabryce, obok której mieszkali w kolonji robotniczej. Matka zakupiła w mieście na wigilię trochę nieodzownych rzeczy; ojciec pracował jeszcze w fabryce. Już nadchodzi wieczór wigilijny, a fabryczne maszyny jeszcze huczą, jeszcze jęczą.

— Czy te maszyny całkiem nie zatrzymają się na święta? — pyta Julek.

— Zatrzymają się, zatrzymają — uspokaja matka; — widzisz, już w przedzalni ogień gasną; chodźmy prędzej, ojciec wnet wróci.

— A drzewko, mamusiu, będzie?

— Nie, dzieciно; wiesz, że ojciec był długo chory; bieda, dzieciно, bieda!

Julek westchnął. Gdy tylko pierwszy śnieg się pojawił, począł Julek zaraz marzyć o drzewku wigilijnem. Ojciec chorował długo. Nieraz, siedząc przy łóżku ojca, myślał o wieczorze wigilijnym, o tej pięknej chwili, gdy po skończonej wieczery ojciec weźmie zapałki i powie: „No, dzieciaki, teraz zaświecimy drzewko”. — Cudna to chwila. Niewielka choinka, na ławce ustawiona, świeci cała od dołu do góry, jak jeden wielki słup ognia. A pod drzewkiem różne dary: buty dla Julka i ciepłe rękawice dla Małgosi! Jej rączyny tak marzną, gdy rano idzie do szkoły! Dzieci klaszczą w dłonie i podskakują wesoło. A wtedy ojciec siada przy stole, otwiera stary śpiewnik i poczyną śpiewać:

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia...

II. Ach, gdzież ta radość! Oto idzie Julek przy matce przez wielką płaszczyznę¹⁾, pustą i zasłaną grubym śniegiem. Na skraju płaszczyzny miasto. Pełne dziś ono wrzawy, ruchu, radości. Rodzice biegają po sprawunki, dzieci niecierpliwie oczekują chwili wigilji. Wszędzie jasno, wszędzie radość, wszędzie śpiew. A tutaj?... Ach, jakie tam cuda widział w mieście! W oknie stała olbrzymia choinka, pełna świateł, bogactw nieprzebranych i łakoci... Julek patrzył na drzewko. Na szczycie jego był anioł z papieru, co spoglądał tak jakoś żałośliwie a słodko, jakby chciał powiedzieć:

— Żal mi cię, Julku, żal... byłeś grzeczny, pilny, dobry...

Julek na to wspomnienie obrócił się w stronę miasta. Aa, co to? O kilka kroków rośnie kępa małych sosenek. Gdy je mijał przed chwilą, były smutne, oblepione śniegiem, ale teraz świecą, świecą coraz mocniej.

Co to jest? Julek patrzy i oczom nie wierzy. Czyżby dobry anioł ulitował się nad żalością jego? Sosenki świecą od stóp do szczytu. Na każdej gałązce kolorowa świeczka, u każdej gałązki wiszą złożone orzechy, rumiane jabłka i figi, festony²⁾ kolorowej bibułki i świecących jak złoto nitek czepiają się gałęzi, otaczają całe drzewka, na których wielkie gwiazdy złote błyszczą wspaniale.

A tam na dole, u stóp jednego drzewka buty nowiuteńkie i rękawice... Chłopak stoi oczarowany. Cud. Czyżby anioł wysłuchał niemej prośby chłopca?...

— Julek! a chodźże — woła matka.

Chłopiec wstrząsa się. Zjawisko znika. Ach, to było tylko marzenie!...

(Z „*Latarenki*“.)

Co to znaczy marzenie? Czy widzimy czasem to, czego nie ma?

¹⁾ Równina. ²⁾ Ozdoby w kształcie połowy wieńca.

53. K o l ę d a.

Przybieżeli do Betlejem pasterze,
Przygrywają Dzieciąteczku na lirze,
Witają Dzieciątko, małe pacholátko,
Pasterze, pasterze!

Podarunki Jezusowi oddają,
Na kolana przed Nim ze czcią klękają,
Witają Dzieciątko, i t. d.

Uznają w Niem Mesyjasza prawego,
Który przyszedł, by ich zbawić od złego,
Witają Dzieciątko, i t. d.

Dzieciątko się do pastuszków uśmiecha,
Czystem sercem jako Jezus oddycha.
Witają Dzieciątko, i t. d.

Postanęli pastuszkowie wokoło,
Zaśpiewali Jezusowi wesoło,
Witają Dzieciątko, i t. d.

Dziękował im Józef stary za dary,
Przyniesione dla Jezusa ofiary.
Witają Dzieciątko, i t. d.

Co to znaczy kolęda? Czy ten wyraz ma jedno znaczenie? Wytłumacz obydwie znaczenia.

54. Ś p i e w a k z i m o w y.

I nie zawsze wiosna bywa,
I nie zawsze słowik śpiewa.

Jak tu śpiewać, kiedy białe płatki śniegu unoszą się w powietrzu, a wicher zasypuje niemi oczy, a mróz przejmie do szpiku kości? Nasionom, ukrytym w ziemi, może i wygodniej spać pod tym śnieżnym całunem¹⁾, ale że

¹⁾ Zasłona na umarłego.

ptakom niewesoło, temu nikt nie może zaprzeczyć. Zamiast płatków śniegu, milszeby im były roje owadów. W zimie trudno głód zaspokoić, a gdy się jest głodnym, chętka do śpiewania znika bez śladu.

A jednak i w zimie z pomiędzy gąszczu drzew leśnych rozlega się nieraz nadzwyczaj przyjemny, donośny¹⁾ śpiew: słyszeć go można nawet w ostry mróz lub w zawieruchę.

Śpiew ten przypomina najbardziej trele kanarka, więcej w nim jednak ognia i zapału. Na krzaku leszczyny, z którego ten śpiew dochodzi, siedzi jakiś mały ptaszek, istny karzełek między skrzydlatą bracią, dość przytem zabawnej postaci: maleńki, bo ledwie 4 cale długi, ale nadzwyczaj czupurnie²⁾ wyglądający, z krótkimi skrzydełkami i bardzo krótkim, zadartym ogonkiem; cały rdzawo-brunatny, w ciemniejsze poprzeczne pręgi. Siedzi na jednej z gałęzi i śpiewa, zadartszy do góry długi dzióbek, ciągle przytem oglądając się na wszystkie strony. Wtem spostrzegł wiewiórkę, skaczącą na sąsiedniej sośnie, i zaczął kiwać główką, podniósłszy jeszcze wyżej ogonek, jakby się dziwił, że jej się chce w takie zimno spacerować.

On — to co innego: choć mały, nic sobie z zimna nie robi i śpiewa bez względu na mróz. Toć to nie byle kto, tylko imci pan *strzyżyk* we własnej osobie, pan na krzakach jałowcu, bzu i tarniny³⁾, król wszystkich gąszczów i krzewów leśnych. Niech sobie orzeł buja pod obłokami, niech lew przeraża rykiem mieszkańców pustyni, — strzyżyk woli swoje królestwo: niewielkie ono, nisko położone, ale za to bezpieczne. Nie lubi go też opuszczać, bo lata nietego i nie może ufać swoim krótkim skrzydłom: w otwartem polu lada kto potrafi go schwycić. Co innego między krzakami! Tam mały, zgrabny ptaszek przeciska się przez najbardziej splątane gałązki i znika w gąszczu

¹⁾ Głośny. ²⁾ Zuchowato. ³⁾ Ciernie.

tak szybko, że ani sposób go dojrzeć. Przed chwilą znajdował się z jednej strony krzaka, nagle znika, przeslizguje się gdzieś środkiem i w oka mgnieniu ukazuje się z przeciwnej strony, aby natychmiast znów zniknąć. Niedarmo też przewano go *durzyludkiem*. Czasami, gdy się zaszyje w szparkę jaką lub mysią dziurkę, nawet szukać go nie warto. Figlarz ten nie ustępuje nic a nic myszom w zdolności przeciskania się przez drobne otwory, chowania się do najmniejszych jamek—zdolności nieodzwownej¹⁾ zresztą dla władcy takiej krainy. Czyżby mógł inaczej utrzymać w niej porządek, oczyścić ją należycie z owadów, ich jajek i poczwarek? **B. Dyakowski.**

Jakie znasz ptaki leśne? Które najbardziej lubisz? Dlaczego wszyscy ptaszki lubią? Co znaczy: „Każdy ptak swoje piórka chwali“, „Poznać ptaka po pierzu“?

Znajdź wyrazy przeciwnego znaczenia, co: biały mróz, zimno, wesoło, trudno, głodny, donośny, karzeł, nisko, szybko.

55. Żółw i zając.

Chyży, wysmukły i zwrotny zając
Napotkał żółwia, jakoś przebiegając.

— Jak się masz, moja ty skorupo — rzecze,—

Gdzież to się waszmość²⁾ tak pomału wlecze?

Mój Boże! cóż to za układ natury!...

Mnie w biegu wiatr nie dopędzi,

Żółw na godzinę, w swym chodzie ponury,

Ledwo upełźnie trzy piędzi³⁾!

— Hola! — żółw rzecze — mój ty wiatronogi,

Umiem ja chodzić i odbywać drogi:

Mogę i ciebie ubiec do celu. —

Rozśmiał się zając: — Ha, mój przyjacielu,

Jeśli jest wola, ot, cel tej ochocie

Niech będzie przy owym płocie. —

¹⁾ Konieczny. ²⁾ Waszmość, waszeć, waść — skrócone: wasza miłość, starodawne: pan. ³⁾ Piędź — miara, równa trzem dłoniom.

To rzekł i, rączę¹⁾ posunąwszy skoki,
Stanął w pół drogi: obejrzy się, a tam
Żółw ledwo ruszył trzy kroki.
— I na cóż — rzecze — ja wiatry zamiętam?
Nim on dopełźnie, tak sobie suwając,
Sto razy wyśpi się zajac.—
Tu swoje słuchy²⁾ przymusnął³⁾,
Legnął pod miedzą i usnął.
Żółw, gdy powoli krok za krokiem niesie,
Stawa na koniec w zamierzonym kresie.
Ocknie się zajac: wczas właśnie!
Darmo się rzucił do prędkiego lotu,
Bo ten, co idąc, w pół drogi nie zaśnie,
„A kto z nas“ — mówi — „pierwszy u płotu?“

Franciszek Dyjonizy Książnin.

Czy znasz przysłowie: „Śpiesz się powoli?“ Czy mógłbyś dać z życia ludzi taki przykład wyścigów zająca i żółwia? Co to znaczy: słuchy, skoki, ocknie się, rączy, waszmość?

56. C h a ł a t.

I.

Miałem lat 15 i tytuł szóstoklasisty. Dopiero od kwartału uczyłem się w Warszawie, i te święta były pierwsze, na które z pomiędzy obcych śpieszyłem do swoich. Śpieszyłem, jak mogłem, i właśnie dla tego pośpiechu wyjechałem o całą dobę wcześniej, niż było umówiono z rodzicami.

Gdybym miał cierpliwość zaczekać do jutra, przysłanoby mi z domu futro, koc⁴⁾ na nogi i berlacze⁵⁾,—dziś miałem tylko „wiatrem podszyty“ szynel, szalik włóczkowy i kalosze. Lecz myśl, że za kilkanaście godzin

¹⁾ Szybkie. ²⁾ Uszy. ³⁾ Stulił. ⁴⁾ Rodzaj ciepłej derki. ⁵⁾ Berlacze — zwierzechnie obuwie ciepłe na zimę.

zobaczę dom rodzinny, przyprawiała mnie o gorączkę,—nie miałem siły czekać.

A byłem w owym czasie nadzwyczajnym elegantem, wybrednym tak w odzieży i jedzeniu, jak w stosunkach z ludźmi. Używałem mydła i pomady z niezwykle mi zapachami, wkładałem czapkę przed zwierciadłem i nosiłem rękawiczki. Pod wpływem pragnienia jednak przybycia co prędzej do domu, zdecydowałem się pojechać z Joskiem, w trzęsącej się, odkrytej bryczce, przeładowanej ludźmi.

Pomimo wstrętu, jaki budziło we mnie otoczenie, szczęśliwie dojechalśmy do Jabłonny. Mróz był tegi, ale od masy ciał i futer płynęły ciepłe prądy, które ostrość zimna łagodziły. Lecz mróz stawał się coraz większy, a jechaliśmy coraz wolniej, konie szły teraz stępą, potykając się i poślizgując.

Dzień szybko szarzał i gasnął, наконец słońce zaszło, a natomiast podniósł się wiatr przejmujący. Kurczyłem się w swoim szynelu, lecz niewiele to pomagało, i zacząłem pojmować, jaką nierozwagą była ta pośpieszna podróż.

Wieczorem zatrzymaliśmy się na dłuższy popas. Po wielkiem zimnie ciepło gościnnej izby osłabiło mnie i rozmarzyło, zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, zbudził mnie ruch w zajeździe, trzeba było znowu umieścić się na bryce.

Do domu pozostawało trzy mile, ale już nie miałem ani sił, ani odwagi do dalszej walki z mrozem. Czułem, że zmarznę wkrótce, bo i pasażerów niewielu pozostało.

Była trzecia godzina po północy. Jasek skulony, w brudnym wатовanym chałacie, siedział na twardym, słomą wypchanym worku i milczał, jak zakłęty, do koni nawet nie przemawiał. Ja kostniałem tymczasem na tylnem siedzeniu. Mróz kłuł mnie tysiącami igieł, zaczynając od palców u nóg i posuwając się w górę, a jedno-

częśnie wiatr uderzał z góry, siekąc i raniąc moje uszy i policzki. Drętwiałem i traciłem czucie, rozumiałem, że marznę, że niema ratunku.

Sen zaczął mię ogarniać. Wiedziałem, że tak zwykle bywa: jeżeli usnę, nie obudzę się więcej. Nie, nie chcę usnąć! A jednak mroczy mi się przed oczyma, przestaję widzieć, przestaję słyszeć, przestaję czuć...

II.

Obudziłem się.

Obudziłem się nagle. Było mi dobrze, rozkosznie, a przedewszystkiem — ciepło. Nie wiedziałem dlaczego. Ciekawem spojrzeniem powiodłem dokoła. Niebo i ziemię zalewał księżyc falami płynnego srebra, gwiazdy co do jednej roztopiły się w tem srebrze.

Bryka toczyła się szybko. Na koźle nie było Joska. Biegł on przy bryce, poganiając konie. Butami uderzał mocno w zmarzłą ziemię, w dłonie chuchał, rękami bił silnie po bokach.

Miał na sobie tylko krótki kaftan watowany, a na głowie oprócz czapki podartą szmatę. Cóż zrobił ze swym grubym i ciepłym chałatem, podszytym tu i owdzie skórkami zajęczemi?

Blask księżycy, szybkość jazdy, żwawe ruchy woźnicy—rozweseliły mię. Rozglądając się po znanej okolicy, badałem, jak daleko do domu. O szczęście! niedaleko!

Zwróciłem wreszcie uwagę na siebie. Siedziałem na dnie bryki, na dwóch pękach słomy, których tam wpierw nie było. Ośłaniała mię całego z nogami, rękami i głową ciepła opończa¹⁾, którą niewiadomo kto okrył mię i otulił. Nie chciało mi się o tem myśleć, zajęty byłem marzeniem o domu, o gwiazdach, o książkach, o poezji.

¹⁾ Płaszcz.

Szybko biegły chwile, miały słupy wiorstowe. Księżyc pobladł i zmałał, niebo i ziemia stały się białe, na wschodzie zaróżowiła się jutrzienka, pod kołami zaturkotał bruk.

Jeszcze chwila — bryka stanęła przed domem moich rodziców. Zerwałem się lekki, wesoły i odrzuciłem pokrywającą mię opończę. Odrzuciłem ją ze wstrętem, bo poznałem nareszcie, że to był—chałat Joskowy.

W minutę później kołatałem do drzwi swego domu. Zbudzonej służącej kazałem znieść rzeczy z bryki i zaraz rzuciłem się do miski z letnią wodą i do mydeł pachnących.

Joskowi nie powiedziałem nawet:—Bóg zapłać!

W. Gomulicki.

Kto ci się więcej podoba: ten paniczek, czy Jasek? Dlaczego? Co to znaczy jutrzienka? Zrobić plan tego opowiadania.

57. W zimowy wieczór.

W zimowy wieczór, na kamiennym schodzie
W progu kościoła siedział chłopiec mały.
Na przejmującym zbladło liczko chłódzie,
I biedne, drobne usta posiniały.
Długo się błakał między zaułkami¹⁾,
Wreszcie już siły małościu nie stało—
Usiadł i patrzy smutnemi oczami...
Lecz biedak tłumy obchodził tak mało...
Czy raz to jeden w wielkim miasta gwarze
Widzi się dzieci obdarte i smutne?
Pobladłe z głodu albo z zimna twarze?
Więc serca nie są litością rozrzutne.

¹⁾ Małe boczne uliczki.

Znalazł się wreszcie ktoś, co zwrócił oczy
Na biedne dziecko, siedzące u proga,—
Podchodzi, ciepło spoglądając w oczy,
Pyta: „Na kogo czekasz tu?”—„Na Boga.“
— „Jakto na Boga? nie rozumiem ciebie“...
— „Czekam na Niego, On tu przyjdzie do mnie,
Głód uspokoi lub wezwie do Siebie,
Bo On dla biednych dobry jest ogromnie:
Zabrał już ojca mojego i brata,
A wczoraj matka, umierając, rzekła,
Że Bóg sieroty prowadzi wśród świata.“
I łza perlista z ócz dziecka pociekła.
— „A więc Bóg przyjdzie, prawda, dobry panie?
On mnie nakarmi, da ubranie ciepłe...
O, ja napewno wiem, że się to stanie.“
I dziecię dłonie rozciera zakrzepłe.
— „Tak—rzecze cicho wzruszony przechodzień—
Nikt wsparcia Boga daremnie nie czeka:
Chodź, będziem modlić się do Niego codzień,
By dała biednym chleb Jego opieka.
Chodź ze mną, zimno nie będzie ci więcej,
Nie będziesz głodny, dam ci matkę drugą.“
A chłopiec mówi w prostocie dziecięcej:
— „Więc Bóg cię przysłał? Czemuś szedł tak długo?...“

Zofja Zacharkiewiczówna.

Pomyśl, jakim nieszczęściem jest sieroctwo.

58. Polowanie na wilki.

Sandomierskie, sławne pszenicą, ma góry i lasy, które dawniej były większe i gęściejsze, nim zaczęto wycinać stare olbrzymy. W tych puszczach rozległych gnieździły się stada jeleni, sarn, dzików, niedźwiedzi i wilków.

O małą milkę od takiego boru wznosił się dwór z modrzewia¹⁾, z wysokim gankiem; ogród ocieniały odwieczne lipy, a parkan wysoki ogradzał go wokoło.

Nadeszła zima śnieżna i mroźna. Chwymano wiele wilków w doły, ale mimo to ukazywały się stadami pod ogrodem dworskim i wiejskimi opłotkami²⁾. Wpadły raz nawet na dziedziniec i porwały staremu Januszowi, który ten dworek zamieszkiwał, dwa brytany. Rozgniewany tem, polecił synowi swemu Czesławowi prosić sąsiadów na łowy z prosiakiem. Na drugi dzień po Matce Boskiej Gromniczej³⁾ zjechało się osiemnastu myśliwych z sąsiedztwa. Sanie były urządzone z ławami, na których myśliwi siedzieć mogli wygodnie; z tyłu było siedzenie dla strzelca, który gniótł prosię, ażeby kwikiem przywabiło wilki; wiązka grochowin⁴⁾, przywiązana na długim sznurze i wleczona po ziemi, nęciła też żarłoczne drapieżniki. Do sani zaprzężono cztery tegie konie, każdy z myśliwych opatrzony był w dubeltówkę i parę pistoletów, wzięto też na sanie kilka sztuk broni nabitej na zapas.

Z wesołym okrzykiem i szczęśliwą wróżbą ruszyła ochocza drużyna myśliwych. Janusz przylepił do sani obrazek św. Sebastjana, patrona myśliwych, przeżegnał ich kordelasem (nóż myśliwski), a sam dla podeszłego wieku zostając w domu, dał synowi swój celny sztuciec⁵⁾. Kierował wyprawą stary strzelec dworski.

Żwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu i przerywany kwik prosięcia ogłaszały przejazd tej zbrojnej, radosnej czeredy⁶⁾.

Gdy jednak dojeżdżali myśliwi do lasu, ustała gwarna z początku rozmowa, a jej miejsce zajęła ciekawość

¹⁾ Drzewo iglaste. ²⁾ Płoty wiejskie. ³⁾ Po dniu 2-im lutego.
⁴⁾ Wymłócone łodygi grochu. ⁵⁾ Gatunek strzelby. ⁶⁾ Gromady.

ujrzenia dzikiego zwierza; mieszało się do tego nieco i obawy, bo stary a doświadczony strzelec opowiadał smutne powieści, które wszystkie czoła zachmurzyły. Treścią ich właśnie była śmierć odważnych myśliwych, którzy z podobnym jak oni wybrali się wabikiem na wilki.

— Jakże to było? — zapytało wielu razem. Ale strzelec nie odrzekł słowa; w tejże chwili szybko podniósł się z ławy i spojrzał wokoło. Śnieg drobny a gęsty nie dozwalał daleko dojrzeć; nagle odwrócił się i, jakby opowiadając na pytanie, rzekł ponuro: — „Jak było, tak będzie” — i wskazał palcem. Wśród śnieżnej zamieci z początku nic myśliwi dojrzeć nie mogli.

— Co ci się przywidziało, stary! Ot, śnieg na polu roztajał, to czerni się ziemia — zawołał Czesław, wpatrując się pilnie.

— Widzicie to pole? — mówił z cicha strzelec — to nie pole, jeno taka ęma wilków, stado jak pole długie i szerokie. Już nas zwietrzyły. W konie! w konie! bo inaczej zginiemy wszyscy!

— Strzelać! — odezwali się niektórzy — przecież tyle ludzi i broni.

— Cicho! — zawołał z gniewem strzelec — usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać! Strzelać! strzelać! wołacie, a cóż będzie z tego? zabijesz pięć albo dwadzieścia, a sto rzuci się i pożre.

Wszyscy na groźne słowa starego strzelca posiadali na ławach, konie, jakby poczuły niebezpieczeństwo, w chyżym¹⁾ biegu zaledwie dotykały ziemi.

— Jeżeli dostaniemy się prędzej na otwarty gości-niec, ocaleniśmy! Rachujcie teraz, panowie, wilki, co to się wam je strzelać zachciało.

¹⁾ Szybki.

Czesław spojrział. Co zdawało się zdaleka wśród zamieci śnieżnej kawałkiem pola, była to gromada burch wilków: szły w gęstej masie, kilka tylko wybiegło naprzód. Oczy ich w zmroku coraz większym błyskały ogniem.

Czesław usiadł na jednej ławie ze strzelcem, a ten z cicha rzekł do niego:

— Tego wilka, co go najbliżej widzicie, zabić nie trudno, ale ten chyba strzeli, który chce, by kości jego święta ziemia nie przykryła, lecz żeby je zeszczerciły zęby wilcze.

— Czemu? — zapytał Czesław.

— To wilczyca, którą gdybyśmy zastrzelili, wilki wpadłyby w tem większą wściekłość.—Tu przestał i nagle odwrócił głowę ku woźnicy; widać było na twarzy jego przestach. — W konie, na rany Chrystusowe, w konie! — zawołał. Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił je odrazu; nie było słyhać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy, a widząc, że już blisko szeroka droga, do wsi prowadząca, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię i z zamachem daleko wyrzucił z sanek.

Wilczyca, najbliżej pędząca, zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać; przyskoczyło więcej wilków, ale śnieżnica nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich łupem.

Wszyscy przeziębili od mrozu i wiatru, nadto strachem zdjęci na widok grożącej im śmierci, wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica z cicha rzekł:—Już widać we wsi dzwonnice.

Strzelec wtedy wstał na nogi, obejrzał dubeltówkę:

— No, panowie! jeszcze dla nas nie wybiła ostatnia godzina, lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to

był mój brat rodzony! A teraz, Macieju — zawołał na woźnicę, — co koń wyskoczy!

I woźnica trzasnął biczem, a dzielne bieguny wyciągnęły się, prawie brzuchem dotykając ziemi; leciały jak na sokolich skrzydłach. Wiatr donosił szczekanie psów we wsi, świeciły ognie przez małe okienka chatek: wystraszeni łowcy wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki od dubeltówki i zawołał:

— Panowie, który może, do mnie niechaj się obróci i ognia razem!

Zadrżała ziemia od huków strzałów, po nich usłyszano głucho wycie wilków.

— Ognia znowu! — krzyknął strzelec; i tak raz po raz rozlegały się wystrzały.

Już blisko było opłotków, a goniące stado wilków ani na chwilę się nie zatrzymało. Psy z całej wsi, jedno na dachach chlewów i obór, inne skryte po izbach, żałośnie wyły; zuchwalsze, które się przed domem pokazały, w oczach myśliwych rozszarpane były bez znaku. Leciały sanie przez wieś, grmiąc wystrzałami.

Janusz wreszcie posłyszał strzały, porwał za strzelbę i z domownikami wybiegł na ganek. Sanie z myśliwymi już były w dziedzińcu, skąd tak radośnie i wesoło wyjeżdżali. Wszyscy wyskakują z nich co żywo, wpadają na ganek, biegną do domu. Cofa się z nimi przerażony Janusz. Zatarasowano podwoje, stado wściekłych wilków napełniło podwórze. Maciej woźnica tyle był przytomny, że odciął koniom postronki, ażeby w stajni znaleźć mogły ochronę, sam zaś po drabinie wdrapał się na dach dworski. Ogromne brytany i kundle, wyżyły, gończe, charty¹⁾—przeszło dwanaście psów w jednej chwili zostało rozszarpa-

¹⁾ Rozmaite gatunki psów myśliwskich.

nych. Strzelcy i domownicy rozstawili się w oknach i ciągłym ogniem razili wściekłych napastników.

Blisko dwie godziny grzmiała salwa bezustanna. Wreszcie księżyc zmrok rozjaśnił, zaiskrzyło się niebo gwiazdami, i znowu wrócił spokój do tego domostwa. Naniecono duży ogień na kominach, Janusz kazał zastawić wieczerzę i pierwszy wypił za zdrowie strzelca, któremu wszyscy winni byli ocalenie.

K. W. Wójcicki.

Czy chciałbyś należeć do takiego polowania? Czy dziś ono potrzebne? Dlaczego wytopiono wilki? Czy już ich wcale niema w naszym kraju? Czyj to jest najbliższy krewny pan wilk? Kiedy mówimy: „O wilku mowa, a wilk tuż”? Co znaczy wilczura?

59. W i l c z k i.

Pstry jeden, czarny drugi, a bury najmniejszy,
Trzy wilczki wadziły się ¹⁾, który z nich piękniejszy.

Mówił pierwszy: — Ja rzadki!

Mówił drugi: — Ja gładki!

Mówił trzeci: — Ja taki, jak i pani matka!

Trwała zwadka.

Wtem wilczyca nadbiegła,

Gdy niezgodę spostrzegła,

— Cóż to—rzecze—same w lesie

Wadzicie się?

Więc one w powieść ²⁾, jak się rzecz działa.

Gdy wysłuchała:

— Idzie tu wam o skórę—rzekła—miłe dzieci,

Która zdobi, która szpeci, —

Nasłuchałam się tego już to razy kilka,

Nie przystoi to na wilka

Wcale,

Ale

¹⁾ Sprzeczały się. ²⁾ Opowiadanie.

Jak będziecie tak w kupie
Dysputować się¹⁾, głupie,
Wiecie, kto nie zbłądzi?
Oto strzelec was pozwie, a kuśnierz osądzi.

I. Krasicki.

Przysłowie: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje“.

60. Z a j ą c.

Wiosną na łące
Młodziuchną trawkę skubały zajęce.
Jeden z nich, śmielszej postaci,
Nadmie wąsy, kręci głową
I swoich braci
Taką zagaja²⁾ przemową:
„Pókiż wieść będziem tułacze życie
W ciągłych bojaźniach i trwogach?
Mamyż się wiecznie budzić o świecie
I zawsze czuwać na nogach?
Już czas jest od tych strachów się zbawić!
Potrzeba mężnie psom czoło stawić!
Ja was do boju powiodę:
Dam z siebie przykład odwagi, męstwa,
Całemu światu dowiodę,
Że zajęć zdolny jest do zwycięstwa“.
Wtem krzyk myśliwych i trąb odgłosy
Odbiły łąki, gaje, niebiosy...
Nasz mówca, ów zuch nad zuchy,
Zadrzał cały, stulił słuchy:
Myśleć już nie było czasu —
Sam pierwszy drapnął do lasu.

¹⁾ Dysputować się — spierać się. ²⁾ Rozpoczyna.

Najczęściej tchórz w przechwałkach wielkich jest juna-
[kiem,
Lecz gdy przyjdzie do rzeczy, schowa się za krzakiem.

Co znaczy junak? Prawdziwą odwagę poznajemy w czynach,
nie w słowach.

61. O c h r o n a.

Opowiadanie Franka.

Niedaleko od nas, bo o kilka domów na tejże ulicy, była ochrona, do której ja i Waluś po parę lat chodziliśmy, gdzieśmy się nauczyli czytać, pisać i rachunków nieco. Biedne dzieci dostają tam w południe po miseczce zupy. Pamiętam, że mi ta zupa zawsze smakowała, i przylizywałem się kucharce o dolewkę. Pamiętam także do dziś dnia nauczycielki. Były to dwie siostry. Starsza, już stara panna, sucha i wysoka, surowa niezmiernie, chodziła po klasie z linją w ręku. Uczyła starsze dzieci pisania i rachunków. Nazywaliśmy ją poprostu—panią. Młodsza miała bardzo ładną twarzyczkę, oczy łagodne, ciemnoniebieskie, włosy obfite, jasne. Chodziła bez linji i uczyła abecadła. Lubiliśmy ją bardzo, gdyż była dobra, i można było podokazywać z nią nawet troszeczkę. Nazywaliśmy ją—paniusią.

Podczas lekcji z małemi dziećmi siadywała paniusia przy dużej tablicy, na której czarnem tle wypisane były białe litery alfabetu. Wskazywała na nie cienkim drutem po kolei, a cała klasa wrzeszczała chórem: „*a* duże; *a* małe; *b* duże! *b* małe!“

Po tygodniu już każdy nowy wrzeszczał wraz z innymi. Pamiętam, jakim to tonem¹⁾ wykrzykiwało się to abecadło, jak gdyby się śpiewało: „*a* duże! *a* małe! *b* duże! *b* małe!“ A potem w pauzę siadywaliśmy całym

¹⁾ Głosem, akcentem.

rzędem pod ścianą i znowu wrzeszczeliśmy chórem, tym razem już nie dla nauki, lecz dla własnej przyjemności:

— Boli noga! A od czego? Od *piroga*!¹⁾

Nie była to zbyt ładna piosenka, lecz doskonale się nią wówczas bawiliśmy. W lecie, tak jakoś w czerwcu, odbywała się w ochronie wielka uroczystość, nazywana popisem. Wiele pań i panów przyjeżdżało karetami, i dostawaliśmy od nich pełne czapki łakoci.

W. Kosiakiewicz.

Jaki pożytek przynoszą ochrony? Czy byłeś kiedy w ochronie? Czy powinniśmy zwiedzać ochrony i dlaczego?

62. Niepiśmienny.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię, Boże,
Nic i nikomu na Bożym świecie,
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy, panowie, pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnem niebie!

Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
Dumkę²⁾ po dumce, słowo po słowie.

Spisałbym widok Bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny,
A teraz wszystko marnie ulata:
Bom nieuczony, bom niepiśmienny!

¹⁾ Zamiast — pieroga. ²⁾ To znaczy: myśl.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze—
Umieć wypisać słowo po słowie;
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, pióro wypowie!

Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią,
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.

Jabym poprostu, jak serce puka,
Takbym i pisał po białej karcie:
Pukanie serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.

Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki-gołąbki, bywajcie zdrowe,
Ja was nie schwyce, jam niepiśmienny!

L. Kondratowicz.

Czy czułbyś się nieszczęśliwym, gdybyś nie umiał czytać ani pisać? Dlaczego? Czy nauka jest potrzebna? Do czego? Komu lepiej na świecie: czy temu, który coś umie, czy temu, który nic nie umie?

63. Konik zwierzyniecki.

Jest to wesoła zabawa, którą obchodzą w Krakowie w oktawę¹⁾ Bożego Ciała na pamiątkę następującego zdarzenia.

Razu pewnego w czasie procesji Bożego Ciała, przeciągającej pobożnie po ulicach miasta, nadeszła nagle wieść, że Tatarzy przeprawiają się od strony Zwierzynca²⁾.

¹⁾ W tydzień po jakiejś uroczystości. ²⁾ Przedmieście Krakowa.

którego malca, jeżeli raz jeszcze zobaczę mocowanie w ławkach, sam poproszę o wydalenie cię ze szkoły. Zinku — dodał, zwracając się do małego chłopca, — ś spokojny i mały, więc usiądziesz przy Felku, żeby miał żadnej pokusy.

Marcinek, choć niechętnie, wstał ze swego miejsca i poszedł obok Felka. Był to drobny chłopczyzna o bladej twarzy i poważnem spojrzeniu ciemnych oczu.

Rekcja przeszła spokojnie, ale po nauce, ledwo chłopcy usiedli sami, Felek podniósł się i zaczął przedrzeźniać nauczyciela.

— „Zabraniam ci się mocować” — powtarzał, — „zakazuję!” Sam widać był tchórzem w szkole, kiedy tak mówić może. Słyszysz, Marcinie? Na to siedzisz przy mnie, żebyś mi służył i słuchał mnie we wszystkim, a nie—to spróbujemy. Zrozumiałeś?

— Nie rozumiałem, gdyż bić się z tobą nie będę, bo nie chcę cię nie myśle.

— Zobaczymy! — I dał mu prztyka w ucho, aż Marcinowi iskry błysnęły przed oczyma.

— Jesteś rozbójnik niegodziwy! — rzekł, hamując¹⁾ i gniew.

Felek przymrużył oczy i spojrzał na niego z miną drwiącą, że Marcinek nagle pochwycił go wpół i zamocować się z nim z całej siły.

Cała klasa patrzyła ze zdziwieniem: Marcinek, najspokojniejszy i najślabszy z uczniów, rzucił się na tego olbrzyma, którego się wszyscy bali!

Felek przez chwilę pozwolił mu się szarpać, a potem go pochwycił za ramiona i byłby go przewrócił na ognieniu oka, gdyby Marcin nie zahaczył się nogą o ławkę. Niespodziewany opór rozgniewał Felka

¹⁾ Powstrzymując.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze—
Umieć wypisać słowo po słowie;
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, pióro wypowie!

Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią,
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.

Jabym poprostu, jak serce puka,
Takbym i pisał po białej karcie:
Pukanie serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.

Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki-gołąbki, bywajcie zdrowe,
Ja was nie schwycę, jam niepiśmienny

L. Kondratowi

Czy czułbyś się nieszczęśliwym, gdybyś nie umiał czytać a
sać? Dlaczego? Czy nauka jest potrzebna? Do czego? Komu i
na świecie: czy temu, który coś umie, czy temu, który nie

63. Konik zwierzyniecki.

Jest to wesoła zabawa, którą obchodzą w Krak
w oktawę¹⁾ Bożego Ciała na pamiątkę następują
zdarzenia.

Razu pewnego w czasie procesji Bożego Ciała, i
ciągającej pobożnie po ulicach miasta, nadeszła n
wieść, że Tatarzy przeprowadzają się od strony Z
rzyńca²⁾).

¹⁾ W tydzień po jakiejś uroczystości. ²⁾ Przedmieście Krak

dzisz którego malca, jeżeli raz jeszcze zobaczę mocowanie się w ławkach, sam poproszę o wydalenie cię ze szkoły. Marcinku — dodał, zwracając się do małego chłopca, — jesteś spokojny i mały, więc usiądziesz przy Felku, żeby nie miał żadnej pokusy.

Marcinek, choć niechętnie, wstał ze swego miejsca i usiadł obok Felka. Był to drobny chłopczyzna o bladej twarzyczce i poważnem spojrzeniu ciemnych oczu.

Lekcja przeszła spokojnie, ale po nauce, ledwo chłopcy zostali sami, Felek podniósł się i zaczął przedrzeźniać nauczyciela.

— „Zabraniam ci się mocować” — powtarzał, — „zabraniam!” Sam widać był tchórzem w szkole, kiedy tak mówić może. Słyszysz, Marcinie? Na to siedzisz przy mnie, żebyś mi służył i słuchał mię we wszystkim, a nie—to się spróbujemy. Zrozumiałeś?

— Nie rozumiałem, gdyż bić się z tobą nie będę, a słuchać cię nie myślę.

— Zobaczmy! — I dał mu prztyka w ucho, aż Marcinkowi iskry błysnęły przed oczyma.

— Jesteś rozbójnik niegodziwy! — rzekł, hamując¹⁾ łzy i gniew.

Felek przymrużył oczy i spojrzał na niego z miną tak drwiącą, że Marcinek nagle pochwycił go wpół i zaczął mocować się z nim z całej siły.

Cała klasa patrzyła ze zdziwieniem: Marcinek, najspokojniejszy i najślabszy z uczniów, rzucił się na tego olbrzymia, którego się wszyscy bali!

Felek przez chwilę pozwolił mu się szarpać, a potem go pochwycił za ramiona i byłby go przewrócił w mgnieniu oka, gdyby Marcin nie zahaczył się nogą o nogę ławki. Niespodziewany opór rozgniewał Felka

¹⁾ Powstrzymując.

jeszcze bardziej, przechylił Marcinka na bok, coś chrupnęło, chłopiec krzyknął, a wtem ktoś dotknął klamki i wszedł nauczyciel z dyrektorem.

Wszyscy chłopcy stali spokojnie na miejscach, potem usiedli, lekcja się zaczęła.

Marcinek siedział także, lecz co się z nim działo! W nodze czuł ból nieznośny, zdawało mu się, że tego nie wytrzyma dłużej, a przecie milczał i zaciskał usta. But go ścisnął i palił, czuł ból aż w kolanie, zimno i gorąco w całym ciele.

Chciał oprzeć nogę na podłodze, ale o mało nie krzyknął, tak go zabolalo. Więc trzymał ją w powietrzu, chociaż sił już nie miał, chociaż każda minuta godziną mu się wydawała.

— Co ci jest, Marcinku? — spytał nagle nauczyciel.

— Chory jestem — rzekł chłopiec — nie mogę wstać.

Zbladł bardzo, bo i noga zabolala go dotkliwiej, i wstyd mu było, że wstać nie może, mówiąc do nauczyciela.

— A lekcje umiesz? — zapytał dyrektor.

— Nie — odpowiedział chłopiec, gdyż czuł, że nie może teraz odpowiedzieć na najłatwiejsze pytanie.

— To jeden z najlepszych uczniów — zauważył nauczyciel.

Ale dyrektor patrzył z niedowierzaniem, potem zapytywał innych.

Nakoniec upłynęła nieszczęsna godzina. Marcinek chciał się podnieść na pożegnanie dyrektora, ale chociaż prawie nie dotknął nogą ziemi, znów przeszył go ból straszny, pociemniało mu w oczach, zbladł i byłby upadł, gdyby nauczyciel, który widział to wszystko, nie był go wziął za rękę.

— Co ci jest? — spytał łagodnie, kiedy chłopiec przyszedł do siebie.

— Skręciłem nogę. O, proszę jej nie dotykać! Do domu, do domu! Nie zaidę do dorożki!

Chłopcy spojrzeli na siebie z przestachem, Felek spuścił oczy i wyszedł prędko, zachmurzony.

Nauczyciel tymczasem zajął się Marcinkiem,—posłano po doktora, ale chłopiec nie pozwalał dotknąć nogi. Trzeba było but rozciąć: kość była złamana; doktor ją zestawił i obandażował¹⁾ nogę. Marcinek zniósł to mężnie, nie krzyczał, nie płakał, nie oskarżał nikogo. Widząc, że tak bardzo cierpi, nauczyciel nie zadawał mu żadnych pytań.

Przez sześć tygodni chłopiec leżał w łóżku, a potem przyszedł jeszcze o kuli do szkoły. Na jego widok Felek zbladł okropnie, a gdy Marcinek usiadł obok niego i, nie mówiąc, począł powtarzać zadaną lekcję, Felek nieśmiało schylił się i rzekł cicho, głosem zmienionym:

— Ja ciebie będę słuchał, ty rozkazuj, boś ty silniejszy i lepszy ode mnie.

Dlaczego Felek powiedział, że Marcinek jest silniejszy? Czy siłą moralną człowiek dużo zrobić może? Czy jest ona bardzo potrzebna? Daj przykład siły moralnej. Siłę moralną nazywamy niekiedy męstwem.

Czy znasz przysłowie: „Choćby cię pieczono i smażono w smole, nie powiadał nigdy, co się dzieje w szkole“?

104. Lew i mysz.

Onego czasu lew drzéwał;
Umilkła puszcza i wiatr się zatrzymał;
Rozigrały się wśród spokojnej ciszy
Jedna za drugą biegające myszy.
Aż tu pęd jedną uniesie
Na króla zwierząt. Ocknie się
I płochą skoczkę porywa.

¹⁾ Owinał mocno bandażem (płótnem).

Myszka moja, ledwie żywa,
Zguby swej czeka ze drżeniem;
Ale on, rzeczą nie sądząc wspaniałą
Mścić się nad drobnem stworzeniem,
Wypuścił całą.
W kilka dni potem, idąc po nocy,
Sam w nastawione sidła zapadnie;
Z tych się wydobyć nie mogąc snadnie¹⁾,
Rykiem jął żądać pomocy.
Aż tu mysz owa przyleci:
„Nie bój się, królu!” powiada,
„Ja cię wywikłam z tych sieci”.
Usłudze takiej tu wdzięczność jej rada:
Te, w których stopy monarsze uwięzły,
Zdradne przegryzła węzły.
Tak lwa całego puszczy oddała
Jedna mysz mała.

Franciszek Dyjonizy Książnin.

Jaka myśl jest w tej bajce?

105. Kominiarczyk.

(Z dziennika ucznia.)

I. Wczoraj wieczorem poszedłem do szkoły żeńskiej, tuż przy naszej, aby zobaczyć się z nauczycielką.

Sześćset dziewcząt jest w tej szkole.

Zaczynały właśnie wychodzić, kiedym nadszedł, we-sołe, bo na dwa dni wolne: Wszystkich Świętych i Zaduszki. I oto, com tam zobaczył. Wprost wejścia do szkoły, po drugiej stronie ulicy, oparty o mur, zakrywając ręką oczy, stał kominiarczyk, zupełnie jeszcze mały i czarny

¹⁾ Łatwo

na twarzy, ze swoim workiem, ze swoim drapaczem¹⁾, i gorzko płakał. Zaraz zbliżyły się do niego dwie czy trzy starsze dziewczynki, pytając, czegoby tak bardzo płakał? Ale kominiarczyk nie odpowiedział, tylko jeszcze głośniejszochać zaczął.

— Powiedz, powiedz, co ci jest, i czego tak płaczesz? — dopytywały się dziewczynki.

Wtedy odjął rękę od twarzy, zupełnie jeszcze dziecinnej, i szlochając, opowiadał, że czyścił kominy w kilku domach, zarobił sobie 4 złote, ale je zgubił.

— Musiały wypaść przez dziurę w kieszeni — dodał, pokazując, rozdartą kieszeń — a teraz nie śmiem wrócić do domu, bo majster bić będzie.

Tutaj znów gorzko zaczął płakać, zakrywwszy twarz ręką. Dziewczynki spoważniały i patrzyły na biednego chłopca zafrasowane²⁾. Tymczasem nadbiegły inne, małe i duże, strojne i ubogie, z teczkami pod pachą, a jedna, starsza, z niebieskiem piórkiem przy kapelusiku, dobyła z kieszeni dziesiątkę i rzekła:

— Ja mam tylko dziesiątkę. Złóżmy się na niego!

— I ja mam—powiedziała inna.—Może się u wszystkich znajdzie cztery złote.

I zaraz zaczęły się zwoływać:

— Amelka! Ludka! Anulka!... Dajcie-no kilka groszy! Kto ma pieniądze?... Dawajcie tu groszaki!

II. Kilka z nich miało po parę groszy na kwiaty, na kajety. Mniejsze oddawały też swoje. Wtedy ta z niebieskiem piórkiem zebrała wszystko i głośno liczyła: „Osiem, dziesięć, piętnaście!” Ale była zaledwie połowa. Wtem największa z nich wszystkich, że prawie mogła ujść za nauczycielkę, dała złotówkę, a dziewczęta, zaczęły chwalić i dziękować.

¹⁾ Rodzaj miotły. ²⁾ Zakłopotane.

Ale brakowało jeszcze jednej złotówki.

— Idą teraz te z czwartej!... Te mają! — rzekła jedna.

Jakoż przyszły te z czwartej, i posypały się grosze. Wszystkie zaczęły się cisnąć do biedaka. Pięknie było patrzeć na małego kominiarczyka w pośrodku tych jasnych sukienek, tych fruujących wstążek, piórek...

Już dawno zebrały się wszystkie pieniądze, ale dziewczątka jeszcze dokładały, a te najmniejsze, którym nie dawano jeszcze pieniędzy w domu, przepychały się pomiędzy dużymi, dając mu kilka kwiatów, żeby i od nich coś było.

A wtem wyszła odźwierna ¹⁾, wołając:

— Pani dyrektorka idzie!

Porwały się dziewczęta, jakby stado wróbli. Wtedy kominiarczyk ukazał się w pośrodku ulicy sam, ocierając łzy z oczu, uśmiechnięty, ściskający w obu rękach swoje złotówki, a u kapelusza, u kurtki, po kieszeniach tyle miał kwiatów, że aż się sypały, i pełno ich było nawet u nóg jego, na ziemi. (*Z Edmunda Amicisa.*)

Jakie były te dziewczynki?

Położ te czasowniki w 1 osobie l. mn.: zanosz, wychodzi, stoi, czyści, gubi, liczy, chwali, niesie, bierze, daje, idzie, sypie, rzeknie, śmieje się. Kiedy piszemy w 1 os. l. mn. cz. ter. *imy*, a kiedy *emy*?

106. Jałmużna myśli.

Mój Piotrusiu, nie mam grosza,

Bom i mały i ubogi,

Ale siądźmy sobie razem

Na tym wzgórkku koło drogi.

Ja z książeczki mojej nowej

Przeczytam ci powieść sławną,

Sławną powieść o tych czasach,

Co minęły, przeszły dawno.

¹⁾ Pilnująca wejścia.

Pokażę ci na obrazku
Takich mężów i rycerzy,
Aż ci w główkę najdzie blasku,
Aż serduszko ci uderzy.
Opowiem ci różne rzeczy
O tych polach, o tem niebie,
O tych naszych żytnich kłosach,
Co tu rosną wedle ciebie.
Opowiem ci o tych lasach,
Co na straży, szumiąc, stoją,
O tych rzekach modrych, bystrych,
Co nam łąki nasze poją.
Potem sobie zaśpiewamy,
Aż głos pójdzie na pół mili!
I będzie nam w sercu błogo,
Żeśmy taki dzień przeżyli.

M. Konopnicka.

Czy tylko pieniądze można dawać biednym? Co dla nich może mieć nawet większą wartość? Czy lepiej dać kilka groszy ubogiemu, czy dać mu pracę lub nauczyć go pracować? Co było najwięcej warto w słowach tego chłopczyka?

107. Zabawy szkolne za czasów Adama Mickiewicza.

I. Do ulubionych zabaw młodzieży szkolnej w czasach młodości Mickiewicza należała zabawa w wojsko.

Nic dziwnego: były to czasy, w których wojna zaprzątała wszystkich. Wielki wódz, Napoleon, toczył ją bezustannie ze wszystkimi państwami Europy, jego zwycięstwa i sława rozlegały się daleko po świecie, a jego piękne obietnice tyle budziły nadziei.

Więc młodzież przedewszystkiem bawiła się w wojsko. W Nowogródku ¹⁾ stał pułk konnicy i codziennie odby-

¹⁾ Miasteczko na Litwie, miejsce urodzenia Mickiewicza.

wały się ćwiczenia; uczniowie przypatrywali się mustrze¹⁾ z wielkiem zajęciem, a potem w swoich zabawach starali się naśladować, co im się najbardziej podobało.

We wtorki albo w czwartki po południu, podczas rekreacji, zbierali się na placu pod górą Mendoga i, uzbrojeni w kije, staczali walki, urządzali ataki i szturmy²⁾. Z czasem utworzono niby rozmaite pułki, które po zabawie wieczorem wracały do klasztoru w wojskowym porządku. Ksiądz prefekt szkoły, widząc, jaką ta zabawa sprawia przyjemność uczniom, postanowił, naradziwszy się z profesorami, dać wojsku studenckiemu lepsze uzbrojenie. Porobiono z papieru czapki i tornistry, stolarze przygotowali cały zapas lanc, pałaszy, szabel, karabinów z bagnietami, blacharze różnych ozdób do rynsztunków³⁾; matki i siostry szyły mundury i chorągiewki. Ponieważ klas było sześć, więc wyszyto sześć sztandarów⁴⁾, a dnia 3 maja 1810 r. był pierwszy przegląd tych świetnie wystrojonych już bataljonów.

Wszystko szło jak najlepiej. Arsenał⁵⁾ był w szkole, sztandary składano w kościele; młodzież, niezmiernie zajęta swoją wojskową służbą, spoważniała; gdy zdarzył się wypadek, który zgubił armję studencką.

II. Pewnego ranku pułki wymaszerowały do pobliskiej wioski, gdzie był odpoczynek, mustra i posiłek. Wieczorem powracali w uroczystym marszu, z rozwiniętymi sztandarami, przy odgłosie bębna i śpiewu. W tych dniach właśnie do Nowogródka przybył pułk dragonów. W chwili kiedy uczniowie zbliżali się do ratusza, jeden z poruczników dla zmiany warty wychodził z odwachu.

Niewiadomo, jakim sposobem między uczniem Głowackim a tym porucznikiem przyszło do kłótni, która

¹⁾ Ćwiczenia wojskowe. ²⁾ Napady. ³⁾ Uzbrojenia. ⁴⁾ Chorągwie. ⁵⁾ Skład broni?

zmieniła się w bójkę. Dragoni pospieszyli na pomoc, porucznikowi, obili Głowackiego i rozproszyli jego pluton¹⁾. Ale wieść o porażce lotem błyskawicy rozniosła się wśród innych pułków, drewniane karabiny i papierowe hełmy poczuły lwią odwagę i pragnienie walki. Mają ustąpić pokonani? Oni?

Przed ratuszem stoi warta, ani przypuszczając, że może ją ktoś atakować. Armja²⁾ uczniowska uderza na wartę wrywa broń żołnierzom, niektórych jako jeńców ciągną do klasztoru i bramę zatrzaskują.

Zwycięstwo! Triumf! Ba, ale co dalej? Po jeńców przyjdzie wojsko. Co powie władza szkolna? I co począć?

Na szczęście, w każdym klasztorze są furtki; wymknęli się furtkami i zwycięzcy i jeńcy, a rzeczywiste wojsko, wysadziwszy bramę, nie zastało już nikogo na dziedzińcu.

Ale przecie na tem skończyć się nie mogło. Ojciec Mickiewicz, ksiądz rektor i kilka innych osób bawili się w najlepsze, gdy jeden z chłopców przybiegł z wiadomością o tem, co zaszło w mieście. Zerwali się wszyscy zaniepokojeni. Na szczęście, generał-major był człowiek uczciwy, osadził całą sprawę jako dziecinny wybryk i żądał odpowiedniej kary na winowajców.

Głowackiemu własny ojciec w pokoju rektora wymierzył plagi za zbyt animusz³⁾ wojenny; uczniów z jego plutonu skazano na trzy dni kozy, kilku z szóstej klasy wydalono. Dla żołnierzy, których skóry i mundury ucierpiały w bójce, rodzice uczniów złożyli pieniężne wynagrodzenie. Jeden z profesorów wypalił chłopcom piorunującą perorę; generała z całym sztabem zaproszono na obiad, i jakoś wszystko się zatarło.

¹⁾ Oddział piechoty, złożony z kilkunastu żołnierzy. ²⁾ Wojsko. ³⁾ Zapal.

Ale wojsko studenckie rozwiązano, i odtąd zabaw wojennych nie było.

(*Podług J. Tretiaka.*)

Czem zgrzeszyli chłopcy? — Porywczosć wyrządza nam często szkody i przykrości; trzeba się uczyć panować nad sobą.

Jakie to były wojny w czasach dzieciństwa Mickiewicza?

108. Pani Twardowska.

B a l l a d a.

Jedzą, piją, lulki ¹⁾ palą,
Tańce, hulanka, swawola,
Ledwie karczmy nie rozwałą,
Cha, cha! chi, chi! hejże! hola!
Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki, jak basza ²⁾,
— Hulaj, dusza! hulaj!—woła,
Śmieszy, tumani³⁾, przestrasza.
Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potraça,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.
Na patrona⁴⁾ z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską ⁵⁾ pomału:
Z patrona robi się kondel⁶⁾.
Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął ⁷⁾ trzy rureczki,
Cmoknął, cmok! i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.
Wtem gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał—
Patrzy na dno:—Co u licha!
Po coś tu, kumie, zawitał?

¹⁾ Fajki. ²⁾ Basza—wysoki urzędnik turecki. ³⁾ Zwodzi. ⁴⁾ Patron z trybunału — obrońca sądowy. ⁵⁾ Worek do pieniędzy. ⁶⁾ Pies podwórzowy. ⁷⁾ Przytknął, przystawił.

Djablik to był w wódce na dzień:
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Sklonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

 Z kielicha aż na podłogę
 Pada, rośnie na dwa łokcie.
 Nos jak haczyk, kurzą nogę
 I krogulcze¹⁾ ma paznogie.

— A, Twardowski!... witam, bracie!—

To mówiąc, bieży obcesem:

— Cóż to, czyliż mnie nie znacie?

Jestem Mefistofeilesem ²⁾.

 Wszak ze mnąś na Łysej Górze
 Robił o duszę zapisy:
 Cyrograf³⁾ na byczej skórze
 Podpisałeś ty i bisy⁴⁾.

Miały słuchać twego rymu:

Ty, jak dwa lata przebiegą,

Miałeś pojechać do Rzymu,

By cię tam porwać, jak swego.

 Już i siedem lat uciekło,

 Cyrograf dalej nie służy;

 Ty, czarami dręcząc piekło,

 Ani myślisz o podróży.

Ale zemsta, choć leniwa,

Nagnała cię w nasze sieci:

Ta karczma *Rzym* się nazywa—

Kładę areszt na waszeci.

 Twardowski ku drzwiom się kwapił

 Na takie *dictum acerbum*⁵⁾;

¹⁾ Krogulec—ptak drapieżny. ²⁾ Mefistofeles—djabeł kusiciel.

³⁾ Cyrograf—umowa. ⁴⁾ Djabły. ⁵⁾ *Dictum acerbum*—ostre słowa (po łacinie).

Djabeł za kontusz¹⁾ ułapił:

„A gdzie jest *nobile verbum* ²⁾?”

Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

— Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,
Będę miał prawo trzy razy
Zaprząć ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.
Skręć mi przytem biczek z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.
Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku³⁾,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

Patrz, oto na miarę ćwieczek:
Cał gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziarneczek
Wbij mi takie trzy bretnale⁴⁾.—

¹⁾ Dawny strój polski. ²⁾ *Nobile verbum* — słowo szlacheckie (po łacinie). ³⁾ Krępak — góra. ⁴⁾ Bretnal — wielki gwóźdź.

Mefistofel duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy
I już w gotowości stoi.
Twardowski dosiadł biegusa¹⁾,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa—
Patrzy, aż i gmach już gotów.
— No, wygrałeś, panie bisie!
Lecz druga rzecz nieskończona:
Trzeba skapać się w tej misie—
A to jest woda święcona.
Djabieł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot po nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi:
Skapał się biedak po szyję.
Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie:
— Teraz jużes w naszej mocy,
Najgorętszą odbył łaźnię.
— Jeszcze jedno—będzie kwita:
Zaraz pęknie moc czartowska!
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.
Ja na rok u Belzebuba²⁾
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.
Przysiąż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda na nic.

¹⁾ Konia. ²⁾ Belzebub — król djabłów.

Djabel do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki,
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.
Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.
Adam Mickiewicz.

Czy przyjemna musiała być pani Twardowska?

109. Zielona panienka.

I.

Za górami, za lasami był kraj, a w tym kraju panna król dzielną i rozumną. Kochała go sąsiedzi i poddani, żonę miał dobrą, skarbów i złota—ile chciał, jednak wciąż był smutny. Nieraz przechadzając się po wspaniałym pałacu lub po lesie, gdzie złote rybki pluskały się w strumieniu i słowiki śpiewały mile, wzdychał ciężko.

Oto martwił się o swoją córkę jedyną. Królewna śliczna była jak aniołek, zdrowa jak rybka, wesółka jak ptaszek, ale, oprócz rodziców, nikt jej nie mógł kochać.

Ślicznotka, ufna w swą piękność, kapryśna była i uparta, nieraz zachciewało się jej rzeczy, których nikt dać jej nie mógł. To żądała gwiazdki z nieba, to śniegu w lecie, to księżycy w dzień; a gniewała się i dokuczała wszystkim naokoło, jeżeli nie dostała tego, czego żądała.

Mijały lata, królewna rosła, a coraz kapryśniejszą się stawała, codzień bardziej dumną ze swej piękności. Największą jej przyjemnością i jedynym zajęciem było przeglądać się w strumyku, stroić w kwiaty, lub leżeć na miękkim mchu, słuchając śpiewu słowika.

Napróżno ptaszki namawiały ją, żeby się od nich śpiewać nauczyła, pajaczków zachęcał, żeby prząść spróbowała, a pszczołki chciały uczyć ją roboty miodu i wosku.

Ślicznotka śmiała się i mówiła:

— Po co mam pracować? po co uczyć się? jak zechcę, to wszystko zrobię. Ale nie chcę.

Pewnego dnia, swoim zwyczajem, siedziała królewna nad strumykiem, przeglądała się w wodzie i stroiła w kwiaty. Wtem małeńka rybka wyskoczyła z wody, przypadkiem padła na brzeg, pokryty mchem, i nie mogła w żaden sposób dostać się napowrót do strumyka.

— Ach! poratuj mnie, piękna! — zawołała żałośnie, spostrzegłszy królewnę.

Ale Ślicznotka, która ludziom nigdy nie chciała żadnej oddać przysługi, a cóż dopiero zwierzętom, udała, że nie słyszy wołania rybki.

— Zmiłuj się! królewno, wrzuć mię napowrót do wody! — odezwała się znów rybka.

— Nie mam czasu! — odparła obojętnie Ślicznotka i dalej bawiła się kwiatami.

— Jakże mi tu źle... oddychać nie mogę... zgine tu... — skarżyła się biedna rybka, ale królewna nie spojrzała na nią.

Wtedy biedne stworzonko zebrało wszystkie siły, rzuciło się i wpadło do strumyka, a woda bryznęła w oczy Ślicznotki.

Królewna otarła twarz z wody, ale gdy znowu schyliła się nad strumykiem, krzyknęła z przestachu.

Co to jest? czy woda taka zmacona, że aż cała twarzyczka wydała jej się zielona, jak mech, co otaczał strumyk?

Napróżno ocierała i obmywała twarz. Ile razy spojrzała w wodę, spostrzegała dziwną, zieloną postać.

II.

Smutnie szła królowna do domu, żałując zepsutej zabawy, bo przecież trudno się przeglądać w zazielenionej wodzie.

Co dziwniejsza jednak, ludzie, których spotykała po drodze, uciekali z przerażeniem, ptaszki nawet, które zwykle siadały na jej ramionach i na głowie, odlatywały daleko.

Gdy weszła do pałacu, słudzy z trwogą rozstępowali się przed nią, a królowa, gdy ją ujrzała, krzyknęła i padła zemdlona.

Wtem wszedł król, ale zaledwie spojrzał na córkę, stanął jak wryty i załamał ręce.

I nic dziwnego: cała twarz Ślicznotki zielona była, jak trawa.

Na nic nie zdały się różne leki, których używano, żeby zmyć brzydki zielony kolor twarzy — królowna została zieloną.

Od tego czasu uciekała od strumienia, w którym mogłaby się przejrzeć, unikała ludzi, w dzień zamykała się w pałacu, a wieczorem dopiero wychodziła na spacer. Nudno jej też było i smutno, niczem się nie mogła zająć, bo nic nie umiała.

Pewnego wieczora smutna przechadzała się po ogrodzie, — wtem usłyszała śpiew słowika.

— Ach, gdybym ja tak śpiewać umiała! — zawołała ze łzami w oczach Ślicznotka.

— Spróbuj, królowno! — szepnął jakiś głosik wśród drzew.

Dziewczynka zaczęła śpiewać wraz ze słowikiem. Odtąd co wieczór, chodząc po ogrodzie, śpiewała i niedługo dorównała słowikowi.

Kiedys znów, siedząc przy oknie, spostrzegła, jak pajęczek snuł swoją niteczkę.

— Gdybym ja tak snuć umiała, utkałabym sobie cieniutką zasłonę, żeby się ukryć przed ludźmi — pomyślała biedna Ślicznotka i zaraz spróbowała prząść cienkie niteczki.

W kilka tygodni królewna w dzień przechadzała się po pałacu, okryta cieniutką zasłoną własnej roboty.

Od pszczołek wyuczyła się robić słodki miód z kwiatów i rozdawała go ubogim dzieciom.

Dzieci z początku uciekały od niej, ale wkrótce przyzwyczały się do dobrej Zielonej panienki, do jej miłego głosu i pięknych piosenek, jakie im nieraz śpiewała.

Ślepy dziadek opowiadał Ślicznotce stare powieści o królach i rycerzach, a ona powtarzała je potem dzieciom.

Uboga babka nauczyła ją rozpoznawać zioła i lekarstwa z nich przyrządzać, i od tego czasu królewna stała się opiekunką chorych w całej wsi. Chodziła do chat, leczyła, wspomagała, pocieszała, i opuszczała je, obsypała podziękowaniem i błogosławieństwem.

Królestwo pogodzili się z nieszczęściem, jakie ich spotkało, tem bardziej, że widzieli, jaka szczęśliwa zmiana zaszła w ich dziecięciu. I zbiegał czas przy pracy tak szybko, że ani królewna spostrzegła, kiedy trzy lata upłynęły.

III.

Pewnego dnia wybiegła królewna raniutko nazbierać ziół na lekarstwa, a gdy wracała do domu, spostrzegła na ścieżce koło strumyka zieloną żabkę, która przewróciła się nóżkami do góry i w żaden sposób podnieść się nie mogła.

— Biedaczko! — powiedziała królewna z litością — muszę cię poratować.

Przyklękła i ostrożnie podniosła żabkę.

Żabka poskoczyła wesoło, szepcząc: — Dzięki ci, dzieki, królewno! — i wpadła do strumyka, a kilka kropel wody prysnęło na twarz królewny.

Ślicznotka popatrzała chwilę w miejsce, gdzie zniknęła żabka, i wolnym krokiem udała się do domu.

Gdy weszła do pałacu, rodzice jej właśnie siadali do śniadania. Ślicznotka zbliżyła się do nich, chcąc im dzień dobry powiedzieć. Królestwo zaledwie spojrzeli na córkę, krzyknęli z radości. Królewna znów była biała i piękna, jak dawniej, ale odtąd pozostała słodką, dobrą, śpiewającą jak ptaszek, a pracowitą jak mrówka.

Marja Świdarska.

Piękna twarz staje się brzydką, jeśli niema w niej dobroci. Twarz brzydka staje się piękną, gdy wyraża dobroć. Czy tylko ludzi kochać można? Obojętnego na niedolę zwierząt i ludzka niedola nie wzruszy.

Co znaczy: kapryśna, strumyk, potok, rzeka; wskazać różnicę między wyrazami: prząść a tkać.

110. Paweł i Gaweł.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu:

Paweł na górze, a Gaweł na dole.

Paweł spokojny nie wadził¹⁾ nikomu,

Gaweł najdziksze wyprawiał swawole.

Ciągle polował po swoim pokoju:

To pies, to zając! Między stoły, stołki

Gonił i czekał, wywracał koziołki,

Trąbił i strzelał, i krzyczał do znoju²⁾.

Znosił to Paweł, nareszcie nie może,

Idzie do Gawła i prosi w pokorze;

— Zmiłuj się waćpan³⁾, poluj ciszej nieco,

Bo mi na górze szyby z okien lecą.

A Gaweł na to:—Wolność, Tomku, w swoim domku.

Cóż było robić? Paweł ani pisnął.

Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.

¹⁾ Przeszkadzał. ²⁾ Zmęczenia. ³⁾ Starodawne wyrażenie, zamiast: pan.

Nazajutrz Gawęł jeszcze smacznie chrapie,
Aż tu z powały¹⁾ coś mu na nos kapie.
Zrywa się z łóżka i pędzi na górę:
Stuk! puk! — Zamknięto. Spogląda przez dziurę
I cóż tam widzi? Cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
— Co waćpan robisz? — Ryby sobie łowię.
— Ależ, mospanie²⁾, mnie kapie po głowie.
A Paweł na to: — Wolność, Tomku, w swoim domku.

Aleksander Fredro.

Czy człowiek może robić, co mu się podoba? Coby było, gdyby nikt nie zważał na innych ludzi i robił, co mu się podoba? Czy mogliby wtedy ludzie żyć razem, pracować wspólnie, cokolwiek pożytecznego i dobrego zrobić?

111. List z Gdańska.

Gdańsk, 7 lipca 1897 roku.

Kochany Janku!

Zdaje mi się, braciszku, że zły zrobiłeś wybór, przekładając góry nad morze. Teraz, kiedy je zobaczyłam, jużbym nie zamieniła się z Tobą, i tylko ciągle, co chwila żałuję, że Ciebie tutaj niema. Ach, jakby nam było dobrze! Wszystko oglądalibyśmy razem, i o wszystkim tak wiele byłoby do powiedzenia. Rozmawiam z Mamusią, ale to co innego: Mamusi nie zajmuje tak bardzo żadna drobnostka; więc myślę o Tobie prawie bezustannie i muszę Ci choć w liście opowiedzieć to wszystko, co wiedziałam.

Pierwszą rzeczą, na której widok aż krzyknęłam, to był las masztów, widziany zdaleka, który zdawał się wy-

¹⁾ Pułap, sufit. ²⁾ Zamiast: panie.

rastać między miastem a morzem. Pomyśl tylko: prawdziwe maszty! prawdziwe okręty! dalej prawdziwe morze — nie malowane na obrazku — ja to wszystko widzę!

A z drugiej strony znów pod wzgórzami i lasem willa za willą, ogród za ogrodem, a wszystkie domy kryte czerwoną dachówką, wyglądają z pośród zieleni, niby krasne maki. Piękna, cienista aleja lipowa łączy te wille z miastem, które znowu przedstawia się zdaleka niby olbrzymie wojsko wież, wieżyc, wieżyczek, opasyanych murami i wysokim wałem. A te wszystkie wieże jakież rozmaite! Ta kwadratowa, wysoka i gruba, zakończona dachem jak dom, a koło niej osiem czy dziesięć wysmukłych wieżyczek pnie się w górę: to kościół Panny Marji. Tamta strzelista, cienka, jak najpiękniejsza sosna — to wieża ratuszowa. Ta znów ciężka, barczysta, dźwiga na sobie całą rodzinę wieżyczek, filarków, chorągiewek — to św. Katarzyna. Któż je policzy wszystkie?

Przez „Wysoką“ (ale naprawdę niską) bramę, ozdobioną kamiennym orłem, wjeżdżamy na koniec do miasta. Co prawda, przejechaliśmy bram kilka, nim stanęliśmy na głównej ulicy, która nazywa się *Długa*, a jest naprawdę krótka. Ale za to jakie domy! Każdy po dwa okna frontu, trzy najwyżej, a wysokie na 4, 5, 6 piątr, z wysokim, śpiczastym dachem i jednym oknem gdzieś bardzo wysoko. I nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie te domy piękne. Na każdym dachu jeszcze jakaś figura: człowiek, ptak, albo zwierzę.

Na placu zobaczyłam ratusz¹⁾ z bardzo wysoką wieżą i złoconą figurą Zygmunta Augusta na szczycie. Obok studnię, ogrodzoną piękną kratą, i kilka wspaniałych, ślicznie rzeźbionych domów.

¹⁾ Ratusz — dom, w którym obraduje zarząd miasta i mieszka burmistrz (prezydent).

‘ Wszystkich ulic jeszcze nie znam, ale wszystko takie inne, niż u nas, a piękne. A najpiękniejsze morze! Ach! Janku, Janku, czemu Ciebie tutaj niema, czemu razem ze mną nie możesz oglądać tych cudów!

W następnym liście opiszę ci port i wybrzeże. — Napisz mi co o górach. Jak Ci się podobają? Czy Ojczulek zdrow? Co robicie? Coś już widział?

Idziemy na wybrzeże! Do widzenia. Całuję Cię serdecznie, ucałuj ode mnie Ojczulka, i piszcie do nas często.

Kochająca córka i siostra

Zosia.

Gdzie leży Gdańsk? Czy widziałeś morze? Jaka jest woda w morzu? Jakie znasz ryby morskie?

Co to jest ratusz?

112. Jurata, królowa Bałtyku.

Dawno już, dawno temu panowała nad Bałtykiem złotowłosa królowa Jurata. Miała ona pałac z przezroczystego bursztynu, sto dziewięć w swoim orszaku i sto pięknych łodzi z konchy¹⁾ muszlowej na swoje rozkazy. Panowała bardzo sprawiedliwie i dobrze, opiekowała się z macierzyńską troskliwością swoim podwodnym państwem, a rybkom nie pozwoliła robić żadnej krzywdy. Sama lubiła najbardziej fląderki²⁾, ale litując się ich doli, kazała zawsze tylko połowę podawać na swój stół królewski, a drugą połowę wrzucać napowrót do morza. Z tej to przyczyny wszystkie fląderki wyglądają jak rozpołowione.

Razu jednego wypłynęła Jurata z orszakiem³⁾ swoich dziewięć na morze, a gdy łodzie z konchy muszlowej przybiły do lądu, spostrzegła królowa młodego rybaka cudnej

¹⁾ Skorupa. ²⁾ Gatunek ryby. ³⁾ Z gromadką, w towarzystwie.

urody, który po obfitym ryb połowie rozwijał sieci. Jurata, oburzona śmiałością rybaka, że śmie zakłócać spokój jej poddanych, ale zarazem olśniona urodą młodzieńca, podniosła bursztynowe berło i rzekła:

— Zbrodnia twoja jest wielka! Ośmieliłeś się chwytać moje najpiękniejsze rybki, zasłużyłeś więc na śmierć. Młodość jednak twoja budzi we mnie uczucie litości, przebaczę ci zatem winę, jeżeli mi zaprzysięgniesz dożgonną¹⁾ wierność i jeżeli się stawisz przede mną na każde moje zawołanie.

Rybak padł na kolana i zaprzysiągł wierność królowej Baltyku... Rok już mijał, a wierny swej przysiędze rybak stawał przed Juratą na każde jej skinienie, pełniąc we wszystkim wolę swej pani.

Lecz Perkun, potężny władca gromów, dowiedziawszy się, że królowa morza, zamiast ukarać, otacza opieką występnego śmiertelnika, srodze się na nią rozgniewał i zesłał piorun, który bursztynowy pałac Juraty roztrzaskał w kawałki, a Juratę zabił. Praamzimas, bóg nieba i ziemi, nieszczęśliwy ojciec królowej Baltyku, mszcząc się za śmierć córki, porwał rybaka i przykuł go żywcem na dnie morza do skały, u stóp ciała Juraty.

Odtąd, gdy wiatr zahuczy i wzburzonymi falami miotać pocznie, wydobywają się z morza głuche jęki: są to narzekania nieszczęśliwego rybaka. Szczątki zaś bursztynowego pałacu królowej Baltyku dotąd morze na brzeg wyrzuca.

J. Warnkówna.

Czy to jest opowiadanie, czy opis?

Co to jest Baltyk? Czy znasz bursztyn? Skąd się wziął bursztyn? Czy jest bardzo drogi? Do czego służy?

¹⁾ Do śmierci.

113. S t a r u s z k a.

Zima była niezwykle ostra, morze u brzegów zamarzło wybornie, mieszkańcy miasta umyślili sobie urządzić na lodzie zabawę.

Uprzątnięto plac duży, otoczono go chorągiewkami, sprowadzono muzykę, miały być tańce i ślizgawka, iluminacja wieczorem, słowem niezwykła uroczystość.

W małej chatce na wybrzeżu mieszkała uboga staruszka. Mąż jej utonął dawno podczas burzy, syna straciła także, sama jedna była w chatce maleńkiej, pochylonej i bardzo starej. Usłyszawszy muzykę i wesołe głosy, usiłowała podnieść się z pośłania, aby zdaleka chociaż patrzeć na zabawę, cieszyć się weselem innych — ale sił jej zabrakło. Biedna, smutna starość! A tam wrzawa i radość, tam ludzie szczęśliwi.

Nakoniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale blady, bez blasku. Na lodzie zapalono kolorowe światła, migały cienie, rozlegał się śmiech dźwięczny, śpiew, okrzyki, muzyka.

Staruszka z wysileniem usiadła na łóżku i patrzała — patrzała... I ona niegdyś była także młoda... i ona się bawiła — jak tamci, szczęśliwi... Wtem spojrzała na niebo. Daleko, daleko, gdzie się brzeg morza na niebie opiera, płynął biały obłoczek z czarną pośrodku plamą. Staruszka zapomniała o chorobie, jej przerażone oczy stały się ogromne — ach, przecież od lat tylu patrzała na niebo i morze...

A obłoczek płynie, płynie coraz większy, a czarna plama... Nagle zrozumiała wszystko: zna tę chmurę i wie, co niesie! Burzę i śmierć, A tamci bawią się wesoło!

Całe miasto na lodzie: starcy, młodzi, dzieci, śmieją się, tańczą, słuchają muzyki, nie wiedzą, co ich czeka.

— Jak ich ostrzec? — myśli staruszka. Tam nie nie widać, zresztą zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. Gdyby była silna, mogłaby pobiec — blisko, — ale... nogi ciężkie, jakby z ołowiu, ręce jej się trzęsą... Otwiera okno z największym wysiłkiem, próbuje krzyknąć — wrzawa ją zagłusza; buchnął śpiew i okrzyki, zabrzmiała muzyka — a biały obłok płynie coraz większy, i czarna plama... Już zajął pół nieba.

Krzyknęła z całej mocy — nikt nie słyszy. Zadaleko. Co począć? Czyż ma patrzeć na ich zgubę? O Boże, Boże, każda chwila droga, każda chwila im grozi!

A wtem Bóg natchnął ją myślą szczęśliwą: podpali chatę, — niech będzie im znakiem, — niech będzie krzykiem trwogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia ludzi?

Nie miała zresztą czasu do namysłu, — rzuciła spiesźnie ogień na posłanie i chciała wyjść z izdebki. Za progiem jednak upadła na ziemię i już nie mogła powstać. Ogarnął ją szum, płomień; niby przez sen widziała ogniste języki, wybiegające z okien, skaczące po dachu, we drzwiach, tuż nad nią.

Nagle z nad morza rozległ się krzyk potężny i wszyscy w mgnieniu oka rzucili zabawę, aby spieszyć na pomoc ubogiej staruszce, która się mogła spalić w swojej chatce. A w tejże chwili zaszumiało morze, lód pękł z łoskotem, podobnym do strzału, ziemia i niebo zmieszały się razem w ciemność i burzę... ale na lodzie nie było już nikogo.

I nikt nie zginął, wszyscy ocaleli, tylko biedną staruszkę znaleziono martwą, chociaż z uśmiechniętą twarzą. Widziała ich na ziemi, wszystkich, wszystkich — ocalonych, i umarła szczęśliwa.

(Podług Andersena.)

Jak nazwiecie czyn staruszki?

114. Litwa.

Tam na północ, hen, daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką;
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły ¹⁾, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Niebo bledsze, trawy rzedse,
Rojsty ²⁾ grząskie, groble wąskie,
Ryby, grzyby i wędliny,
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie.
A na pański stół łakocie:
Lipce ³⁾ stare, łosie chrapy ⁴⁾
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina ⁵⁾.
Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera ⁶⁾.
Wół za rogi orze zgłiszczę ⁷⁾,
W ostrym żwirze socha ⁸⁾ świszczę,
A za drogą gdzieś w postronne
Ciagną wózki jednokonne.
Koń obłączny ⁹⁾ w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami ¹⁰⁾ płasko krytych,
Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,

¹⁾ Niski. ²⁾ Rojsty — bagna, trzęsawiska. ³⁾ Młody lipcowe.
⁴⁾ Nozdrza. ⁵⁾ Giedymin — książę litewski, który założył Wilno.
⁶⁾ Przeziera — przegląda. ⁷⁾ Miejsce po pożarze, szczątki. ⁸⁾ Socha —
gatunek pług. ⁹⁾ W obłoku czyli półkolu nad uprzężą. ¹⁰⁾ Dra-
nica — deszczulka, zwykle z drzewa sosnowego.

I zapytać go chęć zbiera:
— Co ci to, Litwinie?
Ale Litwin nie wygada,
Bo w tej duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity;
Kiedy szczery — jak воск topnie,
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie!
Choć kraj jego niebogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie ¹⁾,
Ale myśli o zapasie —
I dobytek ²⁾ w dom gromadzi,
I „o jutrze” wiecznie radzi.

W. Pol.

Co znaczy puszcza, pasieka, rojsty, socha, dranica? Jaka jest różnica między puszczą a pustynią? Jaka jest różnica między wyrazami: puszcza, bór, las, gaj, zagajnik?

Opowiedz według tego wiersza, jacy są Litwini.

115. Sen Giedymina.

I. Puszcza prastara, głucha, nieprzebyta. Tutaj zapewne miały „swoje dwory: dawny tur ³⁾, żubr ⁴⁾ i niedźwiedź, puszczeniacy ⁵⁾”, bo człowiek nie wdarł się jeszcze w te knieje i nie zakłócił ich spokoju.

I oto dziś, o świcie, po raz pierwszy rozległ się tu nieznanym głosem rogów myśliwskich i zbudził dziwne echo,

¹⁾ Piękność. ²⁾ Zapasy. ³⁾ ⁴⁾ Zwierzęta dzikie, podobne do wołu. ⁵⁾ Władcy.

pod którego tchnieniem zadrżały stare dęby i mieszkańcy leśni. Okropna wrzawa zbliża się i rośnie: szczekanie psów, tętent koni, łamanie gałęzi, pęd wiatru—i znów cisza, i znów echo dziwne...

Słońce wysoko stało na niebie, a wrzawa nie ustaje, choć się nie zbliża tutaj. Nagle—trzask łomu, pęd, głuche chrapanie—i tur stary, olbrzymi, jeden z królów puszczy, błyskając dziko krwawymi oczyma, z grzywą zjeżoną pędzi w szalonym popłochu. Coś świsnęło w powietrzu, drgnął groźny zwierz, przystanął, odwrócił się, czeka. Z gęstwiny wybiegł człowiek z żelaznym oszczepem¹⁾, z piorunem w oku. Walka trwała krótko: legł tur potężny,—zmęczony pogonią myśliwy rozejrzał się dokoła. Przed nim wysokie wzgórze w płaszczu starych buków, gdzieś w dole strumień szemrze, a słońce z wysoka rzuca przez gęstwę liści palące promienie. U stóp — zwierz pokonany.

Teraz dopiero uczuł niezmierne znużenie: od świtu przecież trwała ta zabawa. Spojrzał na niebo, na dąb rozłożysty, na pochyłości wzgórza, miękkie posłanie z mchu. Tak, odpocząć musi. Trzykrotnie zbudził echo głosem rogu, lecz odpowiedziało mu tylko dalekie szczekanie psów myśliwskich; wtedy, ulegając znużeniu, rzucił się pod dębem na chłodną murawę i wkrótce spał snem twardym.

II. Dzień miał się ku schyłkowi, gdy książę Giedymін zbudził się nagle i usiadł, nasłuchując z wyrazem zdumienia: czy rzeczywiście słyszy śpiew daleki, czy to sen jeszcze, w którym po tej kniei rozległ się głos wilka? Spojrzał przed siebie: wierni towarzysze łowów wraz z psami oczekiwali nad strumieniem, rychło li pan się przebudzi. Gdy ujrzeli postać księżęcą, wyniosłą, zbliżającą się ku nim, wraz stanęli gotowi do drogi.

¹⁾ Rodzaj ostrych wideł, broń myśliwska.

Ksiązę powitał ich życzliwem słowem:—Słyszę śpiewy kapłanów — rzekł z radością w oku, — sen miałem wieczny¹⁾, spieszmy do nich usłyszeć wolę bogów.

III. Stary Krywe-Krywejte w wieńcu zielonym na głowie, w białych szatach, otoczony kapłanami, stojąc przy świętym ogniu, słuchał mowy księcia.

— Na Turzem wzgórzu stanął przede mną wilk w żelaznej zbroi—opowiadał Giedymín.—Mierzyłem się z nim wzrokiem, ażeby odgadnąć, z czem przyszedł. Wtem zawył tak donośnie, że stare dęby pochyliły głowy, i las cały odezwał się stokrotnem echem. Potężne wycie napełniło knieję, jakby sto wilków wyło jednocześnie, ale ja w sercu nie doznałem trwogi. Przeciwnie, głos ten budził we mnie radość, uczułem taką siłę i potęgę, że zbudziłem się nagle, spojrzałem dokoła i usłyszałem wasze święte śpiewy. Wtedy pojąłem, że to był głos bogów, że przez was wolę swoją mi objawia.

Przez chwilę trwała cisza uroczysta, znicz²⁾ tylko płonął i rzucał iskrami. Nagle kapłan wzniósł oczy ku niebu, potem spojrzał na księcia.

— Bogowie wolę swoją objawili—przemówił z wielką mocą,—wysłuchaj ich rozkazu. Na miejscu, gdzie ujrzałeś wilka w zbroi, stanąć ma gród warowny i święte dla nich zapłonąć ognisko. A wycie wilka—to sława i potęga grodu, który zasłynie szeroko, daleko, a trwać będzie przez wieki.

Serce książece uderzyło silniej, gdy usłyszał te słowa, i zapragnął czempredzej spełnić rozkaz bogów. Wkrótce też nad doliną Swintoroga, na Turzej górze, błysnął płomień znicza i stanął gród Wilno, do którego ksiązę przeniósł swą stolicę. Dokoła grodu rozrosło się miasto, na miejscu puszczy zaległy pola uprawne, a sława nowej stolicy daleko rozeszła się po świecie.

¹⁾ Sen proroczy, zapowiadający coś. ²⁾ Wieczne ognisko w dawnej Litwie.

Święte ognisko znicza dopiero Władysław Jagiełło zagasił w Wilnie, gdy przyjął chrześcijaństwo, i na miejscu starej świątyni Perkuna zbudował kościół na cześć Zbawiciela.

Czy sny mają jakie znaczenie? Jak nazywamy ludzi, którzy w sny wierzą? Czy byłeś kiedy w Wilnie? Czy znasz Litwę? Jaka jest różnica między miastem a grodem?

Czy to jest opis, czy opowiadanie?

116. J e l e ń.

I.

Jeleń należy do rzadkich stworzeń, już prawie wytępionych w naszych lasach. Co prawda, gdzieby dziś mogła znaleźć schronienie ta pańska zwierzyna, kiedy nieprzebyte puszcze ustąpiły miejsca uprawnym polom? Choćby jej nawet nie wytępiono polowaniem, dzisiejsze lasy nie byłyby w stanie wyżywić tak wielkich stworzeń. Nikt nie zaprzeczy, że są to zgrabne i miłe stworzenia, bardzo malowniczo wyglądające, gdy się pasą na leśnej polance, albo gdy przemykają się rączo i zgrabnie między drzewami.

Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Niby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy, wpadłszy, gaśnie między lasem.

Ale żeby to byli użyteczni mieszkańcy lasu, tego o nich, niestety, powiedzieć nie można. Szkodniki to wielkie: póki lasów było dużo i póki zajmowały znaczne obszary, mogły znaleźć w nich schronienie i pożywienie te najokazalsze i najpiękniejsze z naszych zwierząt ssących, gdyby się jednak rozmnożyły w dzisiejszych niewielkich i rzadkich lasach, zniszczyłyby je wkrótce doszczętnie.

Szkody, wyrządzane przez nie, tem bardziej dają się uczuwać, że tak jelenie, jak i sarny należą do zwierząt towarzyskich i trzymają się zawsze mniej więcej licznymi gromadami. Wyjątek stanowią stare jelenie, ozdobione olbrzymiemi, rozłożystymi rogami, o 8, 10, a nawet i 12 gałęziach; wolą one pędzić życie swobodne i niezależne, chodzą też zwykle osobno. Taki silny, a przytem rączy zwierz potrafi sam sobie dać radę w niebezpieczeństwie. Jeżeli nie może zwyciężyć wroga rogami, zarzuca wtył wspaniałą głowę, aby nie zaczepić o gałęzie, i rusza napród lotem strzały. Warto widzieć, jak zgrabnie i lekko mknie przez gęstwinę ścigany jelen: nie biegnie, lecz leci! z jaką zręcznością przeskakuje przez krzaki i rowy. A gdy woda zagrozi mu drogę, rzuca się w nią i wpław dostaje się na drugi brzeg. Dopiero w pościgu jelen może okazać wszystkie swe zdolności szybkobiegacza i płwaka.

II.

Co innego bezrogię i łagodne łanie. Nie posiadają one ani cząstki tej siły, co ich mężowie, boją się więc ufać sobie, tem bardziej, że muszą jeszcze dbać o dziatwę, bo ojciec jelen nie interesuje się wcale jej losem. Z tego powodu łanie łączą się zawsze w stada, przy których się trzymają i młode jelenie, dopóki nie wzmogą się na siłach. Obierają sobie starą i doświadczoną samicę za dowódcę i zdają na nią troskę o bezpieczeństwo i dobrobyt stada. Łania-dowódca daje hasło do marszu lub spoczynku, wskazuje kierunek drogi, prowadzi stado, a wszystkie idą za nią ślepo.

W czasach, kiedy je mniej prześladowano, jelenie prowadziły tryb życia dzienny, ale oddawna zarzuciły już ten zwyczaj i na żer wychodzą jedynie w nocy. Cały dzień stado spędza ukryte w największej gęstwinie, śpiąc i odpoczywając, i dopiero, gdy słońce schodzi coraz niżej,

zrywają się na nogi, i całe towarzystwo rusza z miejsca. Wszyscy, porządnie wygłodzeni, biorą się z apetytem do wieczerzy, stół zaś jest zastawiony obficie: na drzewach wieczorny wietrzyk kołysze soczyste zielone listki, obok nich sterczą ponętne pączki, na dębach wiszą smaczne żołędzie, na bukach orzeszki, a pod nogami młoda trawka aż się prosi, żeby ją zerwać. Jest to jednak dopiero przekąska, właściwa zaś wieczerza odbędzie się na polu, a przynajmniej na dużej polance. Udaje się więc gromada w drogę, ale idąc, każde uszczknie¹⁾ po kilka grzybów dla zaostrenia apetytu. Marudzić jednak nie można, bo przed świtem trzeba być z powrotem w lesie, a noc letnia krótka.

Rozsypawszy się po polu, stado zaczyna się posilać. Przysmaków tam co niemiara: zielone posiewy, kapusta, groch lub fasola. Jeżeli zaś komu nie smakują zieleńiny, może sobie wygrzebać kopytami ziemniaki lub rzepę. Najadłszy się na cały dzień, kiedy już niebo na wschodzie zaczyna szarzeć, jelenie wracają do lasu w tym samym porządku.

B. Dyakowski.

Czem się jelenie żywią? Które ze zwierząt domowych są najbardziej zbliżone do sarny i jelenia? Jakie dostrzegasz między nimi podobieństwa?

117. Czyj jest las?

Ileż skarbów w gąszczach lasu!
Drogie przedze i klejnoty,
Płaszcz ze słońca szczerozłoty,
Stroje z pereł i atlasu,
Tęczowemi lśniące farby...
Czyjeż, czyje są te skarby?

¹⁾ Uskubnie.

Ptaszę śpiewa: — Ja tu rosnę,
Gniazdo zwijam, piosnki składam,
I echami, jak chcę, władam,
Budząc smutne lub radosne...
O wieczorze i nad ranem
Któż jest większym niż ja panem?
Owad brzęczy: — Traw pokłony
Las wybija na cześć moją,
A te kwiaty, co go stroją,
To stół dla mnie zastawiony.
Wśród słodkiego żyjąc wczasu¹⁾,
Czyż nie jestem władcą lasu?
Trawy szepcą: — W pierś olbrzyma
Wpuściłyśmy sieć korzeni;
Las tej sieci nie wypłeni,
Bo go pęt miljonem trzyma;
Mchów i trawek zastęp dziki,
To rząd leśnej republiki²⁾.
Słońce mówi: — Leśne cuda
To promieni moich dzieło:
Ze mnie wszystko byt swój wzięło,
Czem zakwita ziemska gruda;
Las bez ciepła mego zginie,
Ja więc władam w nim jedynie.
Drzewa szumią: — Czasu zimy
Stygnie słońce, więdną zioła;
A my zawsze dumne czoła
Ku niebiosom podnosimy.
Kiedy inni śpią nieczule,
My tu władcy, my tu króle.
Wreszcie kupiec głos zabierze:
— Długim trudem, nie zabawą,

¹⁾ Wczas — wypoczynek. ²⁾ Rzeczpospolita.

Jam do lasu zdobył prawo,
Prawo trwałe na papierze...
Nikt go dziś już nie odmieni,
Bo akt kupna mam w kieszeni.
A poeta pilnie zważa,
Co wasale¹⁾ gwarzą leśni,
Potem wszystko wkłada w pieśni
I w tych pieśniach las odtwarza²⁾.
Las z nim śpiewa, las z nim gada —
Czyż to nie on lasem włada?

W. Gomułki.

Objasnić każdą strofkę. Co mówi ptak, owad, roślina, słońce, ludzie? Kto ma słuszość? Rozkład. Co znaczy przysłowie: „Szedł lasem, a drzew nie widział“?

118. Jezioro w lesie.

Dokoła polanki, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur³⁾ ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu i, idąc w dal naksztalt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłukiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi koniec jego prawie że ginął w oddaleniu, i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach i wieżyczkę stojącego na drugiej stronie kościoła i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościołkiem horyzont⁴⁾.

Sosny z wysokich i piaszczystych brzegów przegłądały się w jeziorze, niby w zwierciadle, więc zdało się — drugi las jest w toni. A kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się w jeziorze; kiedy szumiał na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrz-

¹⁾ Wasale — poddani. ²⁾ Tworzy na nowo. ³⁾ Jak mur. ⁴⁾ Widozok.

nej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni każda igielka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko — w nieskończoność.

Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie, ze słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

H. Sienkiewicz.

Czy to jest opis, czy opowiadanie?
Zrobić rozkład.

119. Król puszczy.

I.

Dzikość i okrucieństwo charakteru, niezgrabność i ociężałość w ruchach stanowią główne cechy tego zwierzęcia. Niedźwiedź nie napastuje jednak człowieka pierwszy, ale postrzelony nie zna bojaźni, i biada myśliwemu, jeśli nie jest pewny swoich sił i broni. Dawne przysłowie mówi: „Kiedy idziesz na niedźwiedzia, szykuj sobie łoże“.

Pomimo to na Litwie, a nawet i w Polsce oswajano niedźwiedzie i używano ich do różnych posług lub zabawy. Na dworze Radziwiłłów zawsze było kilka niedźwiedzi, które grały rolę odźwiernych, w kuchni obracały różny, usługiwały do stołu, chodziły na dwóch łapach, tańczyły, mustrowały się, straszyły nieświadomych i lekkich gości, a posłuszne były na każde skinienie.

W Smorgoni, niedaleko Mińska, założono nawet „akademję“¹⁾, w której oswajano niedźwiedzie i uczono je tańczyć. Była tam izba z blaszaną podłogą, pod którą rozpalano ogień. Do izby wpuszczano niedźwiedzia, obu-

¹⁾ Szkołę wyższą (żartobliwie).

tego na tylne łapy w drewniane chodaki. Jednocześnie zaczynała grać muzyka. Podłoga pali, niedźwiedź podnosi się na tylne łapy, potem dla ochrony od gorąca przestępuje z nogi na nogę. To jego taniec. Po kilku takich lekcjach, na odgłos muzyki stawał na tylnych łapach i zaczynał tańczyć.

Dziś niedźwiedź w naszych lasach jest rzadkiem zwierzęciem, spotykamy go jeszcze w górach, pozostały o nim jednak liczne opowieści.

II.

Niedźwiedź nie jest wyłącznie mięsożerny, żywi się także roślinami, owocami, miodem. Górscy pasterze i bartnicy¹⁾ korzystają z jego łakomstwa i przed otworem barci zawieszają grubą, ciężką kłodę. Niedźwiedź usuwa ją na bok i pochyla się do otworu, ale kłoda powraca i uderza go w głowę. Zniecierpliwiony, odpycha ją silniej i otrzymuje wzamian silniejsze uderzenie. Nakoniec oduurzony powtarzającymi się uderzeniami, traci przytomność i spada na ziemię, gdzie go ludzie dobijają.

Pewnego razu, w górach, myśliwy, mając strzelbę nabitą tylko śrutem, spotkał niedźwiedzicę z małemi. Nie było czasu do namysłu, — zmierzył do jednego z małych i celnym strzałem mocno je zranił. Niedźwiedzica ryknęła straszliwie, stanęła na zadnich łapach i postąpiła kilka kroków ku bezbronnemu strzelcowi, — lecz nagle zawróciła, dopadła do tarzającego się we krwi niedźwiadka, zaczęła go przewracać, obwąchiwać, potem wzięła w pysk i uniosła w bezpieczne miejsce. Małe podążyły za matką, i strzelec uszedł szczęśliwie.

Mieszkańcy północnych krajów, Lapończycy, przypisują niedźwiedziowi nadprzyrodzone²⁾ własności: wierzą np.,

¹⁾ Pszczelarze; barć — siedlisko pszczół w drzewie. ²⁾ Nienaturalne, nadzwyczajne.

iż wie on i słyszy wszystko, cokolwiek o nim mówią, strzegą się więc odzywać w sposób lekceważący. Pomimo to polują na niego zawzięcie. Gdy odnajdą go w legowisku, budzą z drzemki i drażnią, wyzywając do walki. Najczęściej pozwalają schwycić się za lewą rękę, okręconą skórą, a prawą wbijają długi i ostry nóż w serce. Zabicie śpiącego zwierza uważają za czyn nieszlachetny. Po spożyciu mięsa, kości i wszelkie odpadki składają uroczyście w przygotowanym dole i zasypują starannie, bacząc, aby nie brakowało żadnej kostki. Wierzą oni, że jeśli szczątki tego mądrego zwierzęcia zostaną przyzwoicie do grobu złożone, wówczas niedźwiedź zmartwychwstanie i da się z największą przyjemnością powtórnie zabić temu samemu łowcy.

(Część przyrodnicza z Brehma.)

Opowiedz, co wiesz o niedźwiedziu. Wytlumacz przysłowie: „Kiedy gałązka na niedźwiedzia spadnie, to mruczy, a kiedy całe drzewo go powali—milczy”. Kogo nazywają niedźwiedziem? Rozkład.

120. Pieśń myśliwska.

Zagrajcie pobudkę¹⁾ — już dnieje, szarzeje,
Trop²⁾ łatwo na rosie zobaczym,
Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje
Potykać się z leśnym kudłaczem!
Dwururka przez plecy, a trąbka u pasa —
Niech krew się rozigra w nas żwawiej,
A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,
Niechaj się do pola zaprawi!
W dębowym, sosnowym ostępie³⁾, czy borze
Pocieszmy się dobrą nadzieją!
Nie idźcie za nami pudlarze⁴⁾ i tchórze,
Was lasy litewskie wyśmieją!

¹⁾ Zachęta; muzyka wzywająca do czegoś. ²⁾ Trop—ślad zwierzęcy. ³⁾ Ostęp—knieja, głąb boru. ⁴⁾ Ci, co pudłują, chybiają.

Bo z dziadów, pradziadów tu echo borowe
Strzał celny rozeznąć jest w stanie;
Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,
Ten zuchem odrazu zostanie.

Tu każdy powinien domowe znać knieje
I każdy znać pole od dziecka.
Zagrajcie pobudkę, już dnieje, szarzeje:
Ozwij się, drużyno strzelecka!

L. Kondratowicz.

121. Obiad św. Huberta.

I.

Jesień była porą tak zwanych „królewskich łowów“, to jest polowań na grubą zwierzynę: niedźwiedzie, dziki, rysie, łosie, jelenie, sarny. Zaczynały się od św. Michała, t. j. 29 września; w lasach gąszcze się już przeredziły, wszelka zwierzyna dobrze się wypała, w polach roboty zbliżały się ku końcowi — sam więc czas na rozrywki i na łowy. I patrona¹⁾ też swego obchodzą myśliwi w jesieni, mianowicie św. Huberta, 3 listopada. Wówczas też wydawano t. zw. obiad św. Huberta, do którego wszystkie dania musiały pochodzić z lasu, jak o tem głosi przysłowie:

„Kiedy swego czasu goły las nastaje,
Święty Hubert z lasu cały obiad daje“.

Obiad zaczynały wódki myśliwskie na leśnym smaku: topolówka, dębówka, naciągane na pączkach, oraz jałowcówka na jałowcu. Po wódkach szły przekąski: sadła borsucze, ozory jelenie, języki sarnie, głuszec z truflami²⁾. Właściwy obiad zaczynał barszcz na zającu. Po nim na-

¹⁾ Opiekun niebieski. ²⁾ Gatunek grzybów.

stępowały dania mięsne: dzik na głogowym smaku, jako sztuka mięsa, a osobno głowizna i nogi dzika. Na pieczone: pieczeń jelenia z grzybami i comber¹⁾ sarni ze świeżemi rydzami; a na zakończenie słonki²⁾. Po takim obiedzie nikt chyba nie był głodny, a ponieważ jadła była obfitość, można więc było darować małą niedokładność, że barszcz, chociaż na zającu, nie pochodził jednak z lasu.

Ale za to pod względem napojów nic już myśliwym nie można było zarzucić: nie pili oni w czasie obiadu wina, którego przecież las nie dostarcza, tylko naturalne trunki, maliniak, dereniak³⁾ i miód pszczoły leśnej. Na wety podawano tarki⁴⁾, borówki, orzechy laskowe smażone w miodzie, niezapreczenie leśne dary.

II.

Najwięcej zaś myśliwi się cieszyli, jeśli się udawało ściągnąć na obiad ś. Huberta jakiego fryca, t. j. niemyśliwego lub przynajmniej nowicjusza w tym zawodzie. Czyż można było pozwolić bezkarnie jeść ten czysto łowiecki obiad i zasiadać w gronie wytrawnych⁵⁾ myśliwych temu, kto nigdy nie stał oko w oko z niedźwiedziem, nie mierzył do dzika, pędzącego z łbem spuszczołym i nadstawionemi szablami?⁶⁾

Urządzano mu też figla, podając na osobnym półmisku pieczeń z wilka lub lisa. A gdy nie wiedząc, co to jest, nabierał z półmiska i chciał skosztować, otwierały się nagle drzwi, i myśliwi zaczęli trąbić we wszystkie rogi na znak, że w sali znajduje się fryc, który się złapał na taką pieczeń. W dodatku zgromadzona umyślnie

¹⁾ Grzbiet. ²⁾ Ptaki. ³⁾ Dereniak — trunek wyrabiany z jagód derenia. ⁴⁾ Tarka, tarnina — krzew, który ma jagody kwaśnocierpkie koloru fioletowego. ⁵⁾ Doświadczonych. ⁶⁾ Szabla — tu znaczy kiel.

pod drzewem psiarnia, usłyszawszy głos rogów, wyła na zabój.

Nazywało się to frycowaniem i stanowiło ulubioną rozrywkę myśliwych w przerwach między jednym listopadowym polowaniem a drugim. Łowy królewskie kończyły się na Trzy Króle, jak mówi przysłowie:

„Sieć ostatnią na dąbrowie ¹⁾
Rozpinają Trzej Królowie“.

B. Dyakowski.

Wynaleźć wyrazy podobnego znaczenia, co: łowy, myśliwy, dar, szabla, drzwi.

122. Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano.
Ani pomyśleć o wyskoczeniu!
Chociaż wody nie było, i nawet nie grząsko,
Studnia na półczwarta łokcia:
Za wysokie progi
Na lisie nogi!
Zrąb²⁾ tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy³⁾,
Wołając gromu, ażeby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił:
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca wkoło zębem,
A patrzy wgórze. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem

¹⁾ Las dębowy. ²⁾ Brzeg. ³⁾ Nozdrze.

I patrzącego z ciekawością w studnię.

Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije:

Cmoka mocno, głośno chłepce

I tak sam do siebie szepce:

— Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!

Smak lodu, a czysta cudnie;

Chce mi się całemu splukać,

Ale szkoda mi jej zbrukać.

Szkoda!

Bo co też to za woda!

Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać,

— Ej! — krzyknął z góry — ej, ty ryży kudła,

Wara ¹⁾ od źródła.

I hop, w dół! Lis mu na kark, a z karku na rogi,

A z rogów na drąg — i w nogi.

A. Mickiewicz.

Jaki jest sens tej bajki? Co znaczy: „Każda liszka swój ogon chwali”?

123. L i s i ę t a.

Sławny z przebiegłości i fortelów lis bardzo starannie wychowuje swoje potomstwo.

W początkach maja można znaleźć w norze 5—9 małych, jeszcze ślepych, wielkości szczura, które matka starannie pielęgnuje. Po kilku tygodniach wyprowadza z nory szczenięta, bawi się i igra z niemi, przynosi im ptaszki, jaszczurki, żaby, chrabąszcze, koniki polne, myszy, młode zajączki i uczy je łowić i pożerać tę zdobycz. Gdy dorosną do połowy wielkości kota, wtedy lubią zrana i wieczorem leżeć przy wejściu do nory, oczekując powrotu rodziców.

¹⁾ Precz!

Niełatwo podpatrzeć igraszki lisiej rodziny. Samica jest nadzwyczaj czujna i za najmniejszym szelestem kryje się do nory, unosząc szczenięta w pysku, albo zwołuje je cichem skomleniem. Już w lipcu lisięta odważają się na samodzielne wyprawy i starają się o zmroku schwytać zajączka lub wiewiórkę, napaść w gnieździe na jarząbka lub kuropatwę, a choćby przepiórkę albo mysz,— najmniejsze poprzestają na robakach i świerszczach. Zachowują się wtedy zupełnie na podobieństwo starych: długi, śpiczasty pyszczek pilnie wietrzy po tropie, delikatne uszki podniesione są do góry, małe, szaro-zielone, ukośne, iskrzące oczki bystro patrzą dokoła; miękka, puszysta kita¹⁾ wlecze się za śladem cicho stąpających łapek. W jesieni młode opuszczają macierzyńską norę i pędzą życie pojedynczo, we własnych norach.

(Z *Brehma*.)

Jakiego człowieka nazywają lisem? Co to są „farbowane lisy?” Co znaczą wyrazy: fortel, łup, znienacka?

124. Zmyślność i roztropność dzieciołów.

I.

Dziecioły są to ptaki pospolite w naszych krajach. Bywają pstre, czasem zielone²⁾, najrzadziej czarne; wszystkie mają czerwoną łatkę na głowie. Przynoszą wielki pożytek przez wyjadanie gąsienic owadów, niszczących drzewa.

Ptaki te są bardzo ostrożne. Jeżeli podejdziemy do drzewa, na którym kuje dziecioł, odlatuje on na niezbyt odległe drzewo, albo wprost chowa się na drugą stronę pnia i stamtąd spogląda jednym okiem. Jeżeli obejść drzewo, dziecioł wraca na poprzednie miejsce i znów zer-

¹⁾ Ogon. ²⁾ Dziecioła zielonego i czarnego nazywają też żołą.

ka jednym okiem z za pnia lub gałęzi; albo też odleci niepostrzeżenie i dopiero z pewnej odległości daje znać o sobie, odzywając się wesołym, jakby drwiącym głosem.

W taki sposób bawią się nieraz dzięcioły między sobą, jakby w chowanego.

Wogóle odznaczają się wielką ruchliwością i wesołem usposobieniem. Napracowawszy się i zaspokoiwszy głód, skaczą i łażą po drzewach tylko dla własnej przyjemności.

II.

O wesołości dzięciołów i ich zamiłowaniu do zabaw przekonali się najlepiej ludzie, hodujący je w niewoli. Dzięcioł, schwytany za młodu, oswaja się łatwo, a nawet przywiązuje do człowieka. Chociaż przy pracy nie znosi on towarzystwa współbraci i wypędza ich ze swego okręgu w lesie, nie lubi jednak zupełnej samotności w chwilach rozrywek i odpoczynku. Jeżeli zostawić dzięcioła samego w klatce na czas nieco dłuższy, zaczyna odzywać się głośno i kuje hałaśliwie, póki ktoś nie przyjdzie. Wówczas z wielką uciechą rozpostarłszy skrzydła, podbiega ku ścianie klatki, okazując całem zachowaniem się wielką radość. Oswojone dzięcioły lubią, aby się z nimi bawiono, chowają się za nogi stołów dla zabawy, zupełnie tak, jak to czynią na swobodzie, i wogóle wyprawiają tysiące figlów.

III.

Pewien badacz trzymał w mieszkaniu dzięcioła tak oswojonego, że ptak ten latał swobodnie po wszystkich pokojach, zawsze towarzyszył mu do obiadu i próbował rozmaitych potraw. Gdy pan jego czytał książkę przy stole, dzięcioł siadał obok i zaczynał przewracać jej kartki, podnosząc językiem po kilka razem, a po przewróceniu przybijając je zawsze dziobem.

Największą uciechę sprawiało mu, jeżeli mógł przerwrocić wszystkie kartki. Wówczas podnosił okładkę i potężnem uderzeniem dzioba zamykał książkę.

Dzięki swej ruchliwości i zgrabności ptaki te pędzą życie dość bezpieczne i nie dają się byle czem nastraszyć. Ktoś, trzymając dzięcioła w mieszkaniu, przekonał się, iż ten nie obawiał się żadnego ze zwierząt domowych, a psa, gdy się do niego zanadto zbliżył, uderzał dziobem i odpędzał. Raz tylko przeraził się nadzwyczaj widokiem raka, i to zapewne dla jego dziwacznej, nieznanej mu postaci i ogromnych nożyc. *(Z B. Dyakowskiego.)*

Czem się dzięcioł żywi? Jaki mamy z niego pożytek? W jaki sposób chodzi po drzewie? Jak inaczej nazywamy dzięcioła?

Które jeszcze zwierzęta objawiają usposobienie towarzyskie?

125. N a s z l a s.

Pójdziem sobie wczesnym rankiem
w las stary,
Będzie śpiewu i wesela
bez miary.
Co za cuda, co za cuda
w tym lesie!
Wiatr pieśń dziwną po konarach¹⁾
wciąż niesie.
Drzewa, ptaki, wszystko śpiewa,
co żyje,
A kum-dzięcioł w tej orkiestrze
takt bije,
Błyszczą w słońcu mchy, paprocie
od rosy,
I wietrzykiem kołysane
drżą wrzosa²⁾.

¹⁾ Wielkie gałęzie. ²⁾ Roślina leśna, kwitnąca w jesieni.

A od rzeki idą w górę
Srebrną gazą przysłaniając
opary,
te czary.
J. Chrzęszczewska.

126. Walka węża z jaszczurką.

I.

Z pośród gęsto rozrośniętych paproci jakiś wąż czerwono-szary wyslizguje się na polankę. Posuwa się dość szybko i zgrabnie, uniósłszy do góry głowę i wysunąwszy długi, widlasty język, którym nieustannie kręci na wszystkie strony i wszystkiego po drodze dotyka¹⁾.

Wszystkie węże lubią bardzo ciepło i w południe wyłazą ze swych kryjówek na miejsce oświetlone przez słońce, żeby się nagrzewać rozkosznie w jego promieniach.

I nasz wąż nie w innym celu opuścił kryjówkę. Wypełzłszy na słoneczne miejsce, zwinął się na trawie w kłębek i leży bez ruchu. Śpi, albo nie śpi — kto to może zgadnąć, w każdym razie nie rusza się.

W lesie nigdy nie jest zupełnie spokojnie: wąż niby to zasnął, a za to nieopodal wybiegła z gąszczu para jaszczurek i zaczęła się uganiać za owadami. Zgrabne stworzonka kręcą się i zwijają szparko, a co chwila to jedna, to druga otworzy pyszczek i połknie muchę lub żuczka²⁾. Od trawki do trawki, od listka do listka — jedna z nich dobiegła aż do węża. Dobiegła i stanęła zdumiona; nie podobało się jej to długie stworzenie, więc się zawahała, co ma robić. Wtem wąż podniósł głowę

¹⁾ Język węża zowią zwykle żądłem — niesłusznie, bo wąż nim nie kłuje. Służy mu on jedynie jako organ dotyku i jest niezwykle czuły, dlatego to węże wysuwają go tak ciągle. ²⁾ Owad o twardem pokryciu.

nagłym ruchem i rzucił się ku niej, rozwarłszy szeroko paszczę. Jaszczurka odskoczyła i zaczęła uciekać, ale napastnik nie zapał sprawy i pomknął szybko za nią.

II.

Gonitwa nie trwała długo: wąż dopędził biedaczkę, silnem uderzeniem przewrócił ją na grzbiet i przygniół mocno. Z pod jego sprężystych zwojów wystaje już tylko zielony ogon i głowa z otwartym pyszczkiem, którym jaszczurka stara się koniecznie ugryźć napastnika. Wąż otwiera również paszczę, jak może najszerszej, chcąc uchwycić jaszczurkę, ale niełatwa to sprawa: maleństwo ma się na baczności i, choć przyciśnięte, pilnie śledzi ruchy węża, podstawiając mu ciągle zęby, ostre jak szpileczki.

Wreszcie wąż zdecydował się na krok stanowczy: zbliżył szeroko otwartą paszczę tuż do swej ofiary i zamknął ją nagle, mając zapewne nadzieję, że tym razem zdoła schwycić jaszczurkę; ale zgrabne stworzonko zdążyło w ostatniej chwili wykręcić głowę i wpiło się zębami w dolną szczękę węża. Pokpiłeś sprawę, panie napastniku! nie oderwiesz już za nic jaszczurki od swojej wargi, chociażbyś nie wiem jak wił się i rzucał. Krew broczy paszczę węża, który już puścił ofiarę i stara się jedynie uwolnić od jej ostrych ząbków: to kłębi się całym ciałem, to stara się ją znów oplątać i zdusić, to wstrząsa silniej głową, jakby ją chciał precz odrzucić. Właśnie w czasie takiego ruchu jaszczurka nagle sama otworzyła pyszczek i naraz znalazła się o kilka kroków od niego. Zerwawszy się, w jednej chwili umknęła jak strzała, nim rozwścieczony wąż zdążył ją pochwycić. Zasycał więc tylko gniewnie, podniósłszy głowę i wysunąwszy język, zły, że mu się ofiara wymknęła.

(Z B. Dyakowskiego.)

Czem są wąż i jaszczurka? Wskaż między niemi podobieństwa i różnice.

127. Królestwo grzybów.

I.

Gdzieś w świecie, daleko, rósł sobie las. Jakie kto tylko chciał drzewa, mógł tam znaleźć: i dęby, i sosny, i brzozy, i wierzby, a wszystko silne i zdrowe.

Do drzew tuliły się krzaki, czepiały mchy wilgotne, różnobarwne powoje i chmiel dziki po gałęziach pięły się w górę do słońca. A tak się ta zieleń posplatała, poskręcała razem, że w niektórych miejscach w lesie przejść nie było można.

Więc też i nikt nie przechodził. Ludzie prawie wcale tego lasu nie znali. Za to zwierzęta znały go bardzo dobrze. Lisy miały tam swoje nory, wilki legowiska. Po brzegach zające chrupały młode pędy¹⁾. W dziuplach²⁾ siedziały rude wiewiórki, a czasem też i kuna przemknęła po grubym konarze.

A co ptaków mieszkało w tym lesie! Niechno nadzedł ranek, niechno wyjrzało z chmur słońce — dopieroż to były świergoty, a śpiewy, a kukania!

Czy kwiaty tam rosły — pytać nawet nie potrzeba, dość było choć przez chwilę posłuchać brzęku owadów.

Najwięcej jednak rośło grzybów. W środku lasu, na zielonej polance między mchami była ich stolica. W stolicy królował grzyb potężny. Był on już stary, popękany, podobno robaczywy nawet. Nazywał się borowik tysiączny. Nic ta robaczywość borowikowi nie szkodziła, bo rządził dobrze, i wszystkie grzyby go słuchały. Dobrze było grzybom pod rządami mądrego króla, często też mówiły do siebie:

— Żeby tylko żył jak najdłużej!

¹⁾ Wyrostki. ²⁾ Głębokie otwory w wypróchniałych drzewach.

Bo stary grzyb nie miał syna. Było to wielkie zmartwienie dla niego; to też biedak myślał nieraz: — Kto będzie pilnował po mnie mojej dziatwy ukochanej?

Aż raz jak zaczęły padać deszcze, jeden tydzień, drugi, trzeci — tak obudziły w ziemi nawet najgłębiej leżące nasionka grzybie. Wstaje ze snu jednego ranka król stary, patrzy: tuż przy nim pękła ziemia, a z ziemi wygląda śliczny, maleńki, cały wilgotny jeszcze grzybek.

Radość z narodzin królewicza była ogólna. Liljowe dzwoneczki i konwalje zaczęły zaraz dzwonić i głosić wielką nowinę: — Dyń, dyń, dyń! Królewicz nam się narodził! — rozlegało się wokoło.

II.

W gronie przyjaciół rósł sobie młody grzybek, aż miło. Był silny, jędrny, biały. Stary ojciec nacieszyć się nie mógł jedynakiem. Odwiedzali go różni goście i ciekawe opowiadali nowiny.

Pewnego poranku przyleciała pszczoła. Stary król grzecznie prosi, by na różowej firletce¹⁾ spoczęła i słodkim pożywiła się miodem, lecz pszczołka pokręciła główką:

— Nie, nie, dziękuję. Gdzież mi tam o miodzie teraz myśleć! Wielkie stało się nieszczęście. Już po naszym spokoju: do lasu sprowadził się leśnik.

— Leśnik? — powtórzył stary król zdziwiony.

— On sam podobno niezły człowiek — mówiła dalej pszczołka, — ale ma dwoje dzieci. Ach, od tych dzieci większych niszczycieli chyba niema na świecie! Wyobraź sobie, królu, cały dzień biegają po lesie, zbierają jagody, rwą kwiaty, psują krzewy...

Stary król był tak dobry, że próbował dziatwę usprawiedliwić przed pszczołką.

¹⁾ Polny kwiatek, odmiana gwoździka.

— To jeszcze nic tak złego, że tam trochę jagódek zjedzą, czy wianek z kwiatów uwiją; przecież jagody zbierać, a kwiaty zrywać można.

— Aha! nic złego! aha, ładne mi trochę! — zawołała pszczołka.—Dobrze to mówić, kto nie widział ich roboty. Różne się rzeczy słyszy, ale jeszcze nie widziałam, żeby najgłupsze stworzenie umyślnie coś niszczyło. A one... ach, królu, co te dzieci wyrabiają! połowę jagód rozdepczą, a kwiaty, powąchawszy, dalej o ziemię! Niczemu nie darują: zbierają nawet grzyby!

— Nawet grzyby! — jęknął król.

Nastąpiła cisza. Otrzymana wiadomość przeraziła wszystkich. Wszyscy wzdychali...

Wtem zadudniała ziemia, zachrzęściały gałęzie, dwie jasne główki wychyliły się z poza liści i dwa radosne rozległy się okrzyki:

— Co tu grzybów! Co tu grzybów!

Postawiły dzieci koszyk na ziemi i nuż zbierać, pakować znalezione grzyby, gdzie które mogło: w założoną sukienkę, na wierzch koszyka, do torby przewieszzonej przez ramię. A ile przytem nagnietli i namarnowali!

Stary król, milcząc, patrzył na zniszczenie swego królestwa, ból srogi ścisnął jego serce grzybie. Myślał biedny, że mali najeźdźcy nie dostrzegą może młodego grzybka, przytulonego do boku ojca. Gdzie tam! próżna nadzieja!

— Patrzno, Wojtusi, jaki tam śliczny grzybek! — zawołała dziewczynka.— O, nie ujdiesz mi, kochanku!

Poskoczyła i wyrwała.

Lecz gdzie go włożyć? Wszędzie pełno. Więc rzucała grzybek między mchy zielone.

— E, co mi tam po nim! Zostań tu sobie.

Tak, zostań, ale nieżywy, wyrwany z ziemi. Obejrzała się dziewczynka dokoła.

— Wojtusi! — zawołała, — patrz, cośmy zrobili. Jak tu teraz smutno! O Boże!

Uciekły dzieci z lasu, jakby kto gonił za niemi.

J. Chrzęszczewska.

Czy można zrywać kwiaty, owoce, grzyby? Czy dobrze robi ten, kto zrywa kwiaty, żeby je za chwilę rzucić? Czy rośliny i zwierzęta istnieją dla przyjemności człowieka? Czy człowiek jest przyjacielem natury? Czy powinien nim być? Dlaczego? Każdy kwiat, zwierzę ma prawo żyć dla siebie, zarówno jak człowiek. Złe czyni ten, kto za dobro matki-natury płaci zniszczeniem bez celu.

128. O s i n a.

Stoi w lesie wylękniona
osina,
Wciąż do ziemi swe gałęzie
nagina;
Dziwują¹⁾ się leśne drzewa
niemało,
Co tej biednej osiczyńie
się stało?
Tak żałosna cichych szumów
jej nuta,
A nikt nie wie, że to kara,
pokuta:
Matce Boskiej z Dzieciąteczkiem
osika
Dla osłony swych gałęzi
umyka²⁾.
A choć to już dawno temu,
lat tyle,
Drzewo drży wciąż, nie odpocznie
na chwilę.
Or - Ot.

¹⁾ Zamiast: dziwią się. ²⁾ Cofa, nie daje.

129. Pogrzeb szczura.

I.

Szczur polny zginął dnia pewnego, nie wiadomo z jakiej przyczyny. Padł nieborak wśród pola, przewrócił się do góry łapkami i leżał tak z otwartym pyszczkiem, z wystawionemi zębami.

Przyjaciele szczura opłakiwali go przez cały ranek, a krewni przez cały dzień. Najbliższa rodzina przyszła kilka razy odwiedzić martwe szczątki, ale nikt nie chciał się zająć pogrzebem, i biedny szczur pewnieby do tej pory leżał wśród pola, gdyby...

W tej samej okolicy mieszka pod małym pagórkiem liczna rodzina grabarzy. Ci grabarze nie mają wprawdzie nosków, ale na główce ich sterczą małe różki, a temi czują zdaleka trupa, który potrzebuje pogrzebu. Wówczas liczną gromadką ruszają w tę stronę; wszyscy ubrani są w mundury szare z czerwonym, bo czerwony kolor zapewne oznacza u nich żałobę.

Owady te blisko są spokrewnione z chrabąszczami, a jednak znacznie się od nich różnią usposobieniem i sposobem życia: to też, pomimo podobieństwa, nigdy chrabąszcze nie poufała się z niemi.

Dnia pewnego, we trzy dni po zgonie szczura, stary grabarz zawołał, przebudziwszy się raniutko:

— Coś mi się zdaje, że będziemy mieli robotę w tej stronie, nad strumykiem. Zalatuje mnie zapach jakby szczura.

— Szczura?—odezwał się młodszy grabarz — a mnie się zdaje, że wyraźnie czuć kreta, a nie szczura.

— Cicho bądź, młokosie!—krzyknął starszy—będziesz mi tu uczył takiego doświadczonego grabarza, jak ja!

Tamten umilkł zawstydzony, i cała gromadka ruszyła w stronę strumienia, gdzie leżały szczątki szczura. Przybywszy na miejsce, grabarze obejrzelі dobrze grunt.

— Ho, ho!—rzekł jeden—za dużo tu jest kamyków, nie damy sobie z nimi rady; trzeba to zwierzę dalej przenieść.

I wszyscy grabarze znikli w jednej chwili pod szczątkami szczura, który zaczął posuwać się powoli, niesiony na barkach całej tej gromadki. Wreszcie przystanęli wszyscy,—tu już zapewne grunt był stosowniejszy, i grabarze zabrali się do pogrzebu, siedząc ciągle pod tułowiem szczura i grzebiąc ziemię przednimi łapkami, a odrzucając ją tylnymi.

II.

Pochować dużego szczura to nie tak łatwa sprawa dla takich małych owadów, i niemało na to czasu potrzeba.

To też młodzież zmęczyła się prędko, żaden jednak nie śmiał się odezwać, bo starsi dobrze pilnowali robotników i groźnie na nich spoglądali. Jednakże dwom roztrzępańcom udało się jakoś wymknąć i wleźli na grzbiet szczura, gdzie ich nikt spostrzec nie mógł.

— Mnie już się ta robota uprzykrzyła — mówił jeden do drugiego, — kurcze mam w przednich łapkach, a i tylne mnie bołą. Nie rozumiem, do czego to jest potrzebne; po co ja mam koniecznie grzebać tego szczura? Co mnie to ma obchodzić? Niechby rodzina zajęła się pogrzebem.

— Zapewne — rzekł drugi, — już z godzinę pracujemy ciężko, a starzy powiadają, że to może potrwać do nocy. Wiesz co, lepiej wybierzmy się na spacer, mam wielką ochotę spróbować skrzydeł. Już mi się znudziło ciągle chodzić po ziemi.

— Zgoda, lećmy! — zawołał tamten, podniósł rogowate pokrywki, wy dobył skrzydełka prawdziwe, rozwinął je i miał już pofrunąć, gdy usłyszał głos dobrze znany.

— Poczekajcie-no chwileczkę—mówiła tuż przy nich sędziwa babcia, której nie spostrzegli.—No, no, nie bójcie się, nie będę was łajała; nie zabraniam wam lecieć na spa-

cer, powiem tylko w kilku słowach, dlaczego to my grzebiemy tego szczura. Słuchaj-no, wnuczku kochany, czy ty pamiętasz, gdzie byłeś i co się z tobą działo, gdyś po raz pierwszy ujrzał światło dzienne?

— Zdaje mi się, że wydobyłem się z pod ziemi—rzekł młody grabarz.

— A ja jestem tego pewny—mówił drugi,—pamiętam, że mi tak strasznie było nudno pod ziemią.

— A cóżeście wy tam jedli? — pytała babcia.

Malcy nie umieli na to odpowiedzieć.

— Aha! żarłoki małe! wyście zjadali mięso żabie.

— Żabie mięso! — powtórzyli ze zdziwieniem dwaj młodzi grabarze.

— A widzicie!—prawiła dalej staruszka—rodzice wasi pogrzebali żabę, mama złożyła na niej jajka, a gdyście się z nich wykluli, znaleźliście gotowe pożywienie. Widać po was, żeście nie zaznali głodu, bo wyglądacie doskonale. Teraz już wiecie, dlaczego sprawiamy pogrzeb szczurowi: żoneczki wasze poskładają w tym grobie jajka, a dziatwa, która z nich wyjdzie, będzie miała zapas smacznego mięsa. Czyście zrozumieli wszystko?

— Rozumiem—rzekł jeden z malców,—nie mam jednak wielkiej ochoty do tej pracy i wolałbym sobie pofruwać.

— No, no, pofruwajcie sobie trochę, jeszczeście tacy młodzi, — powiedziała babcia.

Malcy natychmiast skorzystali z pozwolenia, rozwinęli skrzydełka i pofrunęli wesoło; bujali w powietrzu przez dzień cały i o zmierzchu dopiero powrócili do swojego pagórka.

— Czy robota skończona? — zapytał stary grabarz kaleka, który nie mógł już pracować i zawsze w domu zostawał.

— My nie byliśmy teraz przy robocie — odpowiedział jeden z malców; — odbyliśmy bardzo wesołą wycieczkę.—

A gdy stary grabarz spojrział na niego surowo, dodał spieszenie: — Babcia nam pozwoliła.

Gromadka robotników powróciła dopiero dnia następnego około południa. Wszyscy byli zmęczeni niezmiernie, bo pracowali bez odpoczynku przez dwadzieścia cztery godziny. Samiczki grabarzy poskładały jajka w grobie szczura, i wkrótce z tego grobu wyszła liczna gromadka młodych owadów, a te prowadziły dalej rzemiosło swoich rodziców i dziadów tak, jak je po nich prowadzić będą ich dzieci, wnuki i prawnuki. Wszyscy z ojca na syna są grabarzami.

M. J. Zaleska.

Objasnij znaczenie wyrazów: roztropny, sędziwy, młokos, czuły, tułów, skrobogryz.

130. Żołądź i dynia.

Pewien chłop, Marek z imienia,
Patrzył się pełen zdziwienia
Na dynię, której tak cienka łodyga
Tak ogromny owoc dźwiga.
— Widać jest ¹⁾ — rzecze, — że Stwórca pobłądził;
Ja byłbym rzecz tę inaczej urządził,
Tak naprzykład porządkował:
Byłbym tam w owej gęstwinie
Po wszystkich dębach porozwieszał dynie,
Owoc do drzewa stosował;
Tę zaś żołądź, lichą, drobną,
Tak do dębu nie podobną,
Podły ²⁾ pokarm świni,
Byłbym dał dyni.
Szkoda, mój Marku, żeś tam w dawne lata
Nie był przy stworzeniu świata:

¹⁾ Formy równorzędne orzeczenia: widoczną jest rzeczą, że...; lub: widoczna, że... ²⁾ Lichy.

Niejedną radę byłoby się dało,
I pewno lepiej, niżli teraz działa.
Gubię się w wielkim myśli moich tłumie,
Zasnąć nie można przy takim rozumie.—
Kiedy tymczasem pod dębem usiada,
Kiwa się, chrapie... a wtem żołądź spada
Z tego dębu właśnie,
I tak srodze i okrutnie
Prosto w nos go utnie,
Że aż z bólu wrzaśnie.
— Cóż to jest? — rzecze —
Krew mi z nosa ciecze!
Maleńka żołądź, a tak mi dojadła!
Cóżby to było, gdyby dynia spadła?
Żle coś mówiłem: próżna to otucha
Poprawiać Stwórcę nawet w lichej dyni.
Wie Bóg, co robi, a najlepiej czyni,
Że głupich Marków nie słucha.

Franciszek Morański.

Jaką wadę maluje ta bajka?
Czy to jest opis, czy opowiadanie?
Co to znaczy: „Poznać głupiego po śmiechu jego?”

131. B i a ł o w i e ż a.

Białowieża leży w samym środku puszczy. Jest to ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości, zamożna, zamieszкана przez Mazurów, Litwinów i Rusinów. Nazwę swoją zawdzięcza zapewne wieś, jak i cała puszcza, jakiejś białej wieży, która niegdyś musiała się tu wznosić. Kiedy? — Nikt nie pamięta i, o ile mi wiadomo, niema również żadnych śladów piśmiennych¹⁾.

¹⁾ Papierów z opisami staremi.

Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworów wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty i oświecony. Podania tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącej na drodze do Browska, dochował się starożytny budynek, w którym niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i szerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie.

Cała wieś Białowieża jest to polny czworobok, otoczony ścianą lasów. Południowa strona stanowi brzeg uroczyska ¹⁾, zwanego Browsk. Być może, iż nazwa ta jest skróceniem nazwy Bobrowsk, od bobrów, które dawniej licznie zamieszkiwały puszcę. Obecnie i pamięć o nich zaginęła.

Czarny bór, otaczający Białowieżę, stanowi starodrzew ²⁾ wyniosły, ale zdrowy i jędrny. Pod spodem czysto: knieja nie podszyta ³⁾, powietrze przesyczone balsamem żywicznym. Jest to jedna z najpiękniejszych części puszczy, musi być jednak pilnie strzeżona od ognia, gdyż bór łatwiej podlega pożarom, niż las liściasty. Wracając z zamczyska, widzieliśmy w lesie olbrzymią kłodę, buchającą płomieniem. Ogień wydrążył ją i potworzył sobie wyloty, któremi strzelał wysoko w górę. Zdaleka jeszcze widzieliśmy wśród mroku łunę, jakoby z kuźni w lesie ukrytej.

W puszczy Białowieskiej żyją jeszcze stada żubrów, których już nigdzie więcej w Europie niema.

H. Sienkiewicz.

Zrób rozkład.

¹⁾ Uroczysko — rodzaj ogromnego kopca czyli mogiły. Sypano je w czasach przedhistorycznych i tu się zbierano na rady i różne obrzędy. ²⁾ Stare drzewa. ³⁾ Brak krzaków.

132. Mnie wszystko tak cieszy.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili,
I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?
Nad żonę, co w białej len przedzie świetlicy? ¹⁾
Nad ziemię, co zboże mi rodzi?
Nad gwiazdkę, co w czystej kąpie się krynicy?
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi?
I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?

T. Lenartowicz.

133. J a d w i g a.

Młoda dziewica cudnego lica
Na polskim tronie zasiada:
Lecz białe czoło chyli tęsknica,
Twarzyczka mieni się blada.
Bo tam daleko, w zagórskim kraju ²⁾
Wilhelm pozostał kochany,
Według starego przodków zwyczaju
Na oblubieńca jej dany.
Lecz, wnuko Piastów, spojrzysz przed siebie
Po starej Lechów krainie!
Zaliż ³⁾ głos żaden nigdy do ciebie
Nie szeptał w dumań godzinie?
Oto nad Wisły falą błękitną
Płynie cień Wandy powiewny,
Śnieżyste lilje jak cudnie kwitną

¹⁾ Izba widna z oknem. ²⁾ W Austrji. ³⁾ Zaliż — azaliż, czyż.

Na złotych kosach ¹⁾ królowny!
Ona uciekła w głąb jasnej wody
Przed cudzoziemca objęciem:
Twój Wilhelm piękny, twój Wilhelm młody
Obcej jest ziemi dziecięciem...
Tak do płaczącej w murach Wawelu
Mądra odzywa się rada;
Aż wstała w mężnej dumy weselu
Dziewica drżąca i blada.
Bo już Jagiełło, książę Litwinów,
Za świętym czeka jej progiem,
Aby wśród Polski pobożnych synów
Przed prawym skłonił się Bogiem.
A Polska z Litwą w bratnim uścisku
Za ich przykładem złączone,
W wielkich chwil szczęściu, w złego uścisku
Szły, jak dwie siostry rodzone.

Marja Ilnicka.

Ile lat miała Jadwiga, gdy została królową polską? Dlaczego czcimy jej pamięć? Czy Jadwiga żyła dla siebie i swego szczęścia? Nie myśl, że królem być to wielkie szczęście i chwała, — to wielki trud i obowiązek. Niełatwo być dobrym królem.

134. Koronacja Jadwigi.

Obrząd koronacyjny odbył się już w kilka dni po przybyciu młodej królowej, jak się zdaje, w sam dzień świętej Jadwigi, w niedzielę, 15 października.

Zgromadzili się dnia tego z rana w zamku krakowskim wszyscy dostojnicy koronni, najprzedsniejsi panowie świeccy i wszelkie obecne w Krakowie duchowieństwo.

Po zmówieniu wstępnej modlitwy i pokropieniu Jadwigi wodą święconą, wyruszył dwór cały w uroczystym

¹⁾ Warkoczach.

pochodzie ku pobliskiej katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za nimi panowie duchowni: opaci z pastorałami w infulach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski z arcybiskupem-kardynałem węgierskim. Po nich postępowali dygnitarze koronni z insygnjami władzy królewskiej: koronę niósł zwyczajnie kasztelan krakowski; berło — wojewoda krakowski, jabłko i szczyrbiec — inni wojewodowie.

Tuż za temi godłami, pod baldachimem złocistym przez resztę panów i urzędników trzymanym, szła czterastoletnia królowa w stroju koronacyjnym: w kapiańskiej albie ¹⁾, tunice ²⁾, dalmatyce ³⁾, w sandałach złocistych, w kapie czyli płaszczu królewskim, z rozpuszczonymi włosami. Przy boku młodocianej królowej znajdowało się kilka niewiast dostojnych, mianowicie jedna i druga z ksień i przeoryszek krakowskich. Towarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonemi świecami, a zamykało go liczne grono trębaczy i flecistów, przygrywających ochoczo pochodowi.

Za wniściem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono insygnja królewskie na ołtarzu. Królowa, otoczona orszakiem dworskim, pozostała u stopni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem Ewangelji przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup, zapytał jej czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu.

Odpowiedź królowej: „Chcę, tak mi, Boże, dopomóż”! — miała wagę przysięgi. Poczem Jadwiga uknęła, a arcybiskup w oleju świętym namazał palec wielki, aby namaścić krzyże i prawe ramię królowej. Zastosowana do

¹⁾ Biała długa suknia, wdziewana przez księży pod ornat.

²⁾ Część ubioru kobiecego, pokrywająca suknię. ³⁾ Rodzaj stroju uroczystego, bogatego, używanego przy koronacjach.

tego suknia koronacyjna odchyliła się z łatwością dokoła ramion.

Skończywszy tę ceremonję, wziął arcybiskup koronę z ołtarza i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiwały wszystkie trąby i fletnie, wzniósł się stugłówny okrzyk na cześć nowej królowej. Po odczytaniu Ewangelji odprowadzono ją znowu do tronu, usłanego z kosztownych złotogłowiów ¹⁾, gdzie Jadwiga usiadła. Aby ciężka, dużemi kamieniami wysadzana korona nie gnioła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powietrze i trzymali ją tak przez cały czas ponad głową.

Wysoka korona na głowie osobliwszym uderzała kształtem. Składała się ona najprzód z szerokiej, kamieniami wysadzonej obrączki, z której wysokimi łodygami wystrzelały dokoła lilje rozkwitłe. Pomiedzy każdą parą kwiatów tkwił niższy pręcik liljowy, zakończony pączkiem zamkniętym. Roztworzyste kielichy wyższych lilij unosiły się ponad niemi nadobnym wieńcem u góry. Z pod korony spływały dokoła, według francuskiej onego czasu mody, długie, szerokie wstęgi. W prawej ręce trzymała królowa wysokie berło, rozkwitające podobnież liljowym w górze kielichem.

W dalszym ciągu mszy, przy ofertorium, zstąpiła królowa z tronu i w szczerozłotem naczyniu złożyła chleb i wino na ołtarzu. Za przykładem królowej każdy z panów ofiarował, co łaska. Poczem wróciwszy na tron, pozostała tam Jadwiga aż do komunji kapłańskiej. Wtedy udała się jeszcze raz do ołtarza i, ukłękawszy w pokorze, przyjęła Ciało i Krew Pańską. Był to ostatni akt ceremonji kościelnej. Na zakończenie ozwał się znów gwarny chór trąb i fletni. Przy ich ciągłym od-

¹⁾ Złotogłów — materja przetykana złotemi nitkami.

głosie wrócił cały orszak koronacyjny tym samym porządkiem w bramy zamkowe. Czekala tam wszystkich świetna w obecności królowej uczta.

(Podług Karola Szajnochy.)

Co znaczą wyrazy: dygnitarz, sandały, alba, tunika, dalmatyka kapa?

135. Ranni na polu pracy.

(Opowiadanie ucznia.)

Wzruszył mię bardzo okropny widok, na któryśmy dzisiaj patrzyli. Było to tak:

Wyszedszy ze szkoły, przystanęliśmy na chwilę z ojcem, kiedy nagle w głębi ulicy ukazał się tłum ludzi, spieszenie idących, zafrasowanych, przełękłych, mówiących półgłosem.

Wśród tłumy widać było straż miejską, a za nią dwóch mężczyzn, dźwigających nosze. Chłopcy biegli ze wszystkich stron, a tłum zbliżał się ku nam.

Na noszach leżał wyciągnięty człowiek, blady jak trup, z głową zwieszoną na ramię, z rozwichrzonemi i zakrwawionemi włosami, a krew dobywała mu się z ust i z uszu. Przy noszach szła kobieta z dzieckiem na ręku, która wyglądała jakby obłąkana i co pewien czas krzyczała:

— Nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Za kobietą dreptał mały chłopczyna z książkami pod pachą i głośno płakał.

— Co się stało? — zapytał mój ojciec.

— A to mularz — odrzekł ktoś z bliżej stojących, — z czwartego piętra spadł przy budowie domu.

Tymczasem ludzie, idący z noszami, stanęli, a wiele osób odwracało oczy, nie mogąc znieść straszego widoku. Wtem ktoś mnie łokciem trącił.

Był to mój kolega, mularczyk, blady i cały drżący. Niezawodnie musiał myśleć o swoim ojcu. I ja pomy-

ślałem także zaraz o nim. Ja przynajmniej, siedząc w szkole, mogę być spokojny, bo wiem, że mój ojciec jest w domu i pisze przy swoim biurku, zdala od wszelkiego niebezpieczeństwa; ale iluż to moich kolegów drżeć musi, wiedząc, że ojcowie ich pracują w tymże czasie na najwyższych rusztowaniach, albo w pobliżu rozpędzonych kół jakiejś maszyny, i że jeden ruch, jeden krok nieostrożny może ich o śmierć przyprowadzić! Zupełnie, jakby byli synami żołnierzy, bijących się na wojnie.

Mularczyk tymczasem patrzył, patrzył i drżał coraz mocniej; spostrzegł to mój ojciec i rzekł:

— Idź do domu, chłopcze! Idź prędko do ojca, przekonaj się, że jest zdrow i cały. Idź, dziecko!

I mularczyk poszedł zwolna, oglądając się za każdym krokiem.

Ale tłum poruszył się znowu, a nieszczęśliwa kobieta przy noszach wołała rozziewającym głosem:

— Nie żyje! Umarł! Nie żyje!

— Ale żyje! Nie umarł! Nie! — mówili ludzie, żeby ją pocieszyć. Wszakże kobieta nie zważała na to, targając włosy w rozpacz.

Wtem usłyszałem głos oburzony:

— Śmiejesz się?—i w tej chwili zobaczyłem jakiegoś pana z brodą, który patrzył prosto w twarz Frantego, a Franti uśmiechał się jeszcze.

Wtedy pan z brodą krzyknął:

— Odkryj głowę, hultaju, kiedy niosą ranionego przy pracy!

A tłum oddalił się już, i widać było w pośrodku ulicy długą smugę krwawą.

E. Amicis.

Którzy robotnicy najczęściej narażają życie przy pracy?

136. Kochajmy się, bracia.

Kochajmy się, bracia moi!
Niech nam zgoda serca spoi.
Od pałaców w chatki kmieci
— Kochajmy się!—niech głos leci.

Jakaż bieda mi dobodzie,
Gdy z mym bratem żyję w zgodzie?
Gdy z nim smutki i wesele,
Chleb i mienie, życie dzielę?

Kochajmy się tylko wzajem,
Każdy kącik będzie rajem:
Bo gdzie wzrasta miłość, zgoda,
Tam jest szczęście i swoboda.

Siła nie ma ani połowy tej potęgi, co miłość. Każdy czuje się szczęśliwy wśród tych, których kocha. Czy miło być z tymi, którzy nas nie lubią?

137. L a t o.

Bławatki, kąkole zbiegały od słońca,
Gdzieniegdzie się tylko niebieszcza,
A polne koniki we zbożu, bez końca,
Zwyczajną piosenkę szeleszcza.

Maleńka przepiórka już woła z pod prosa:

„Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć! co żywiej,

Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,

To potem się słońce sprzeciwi“.

Bóg zapłać, przepiórko, twój głosik kochany

Wesoło przypada mi w ucho;

Pójdź, koso, z komory, pójdź, sierpie, ze ściany,

Bo w chacie wieśniaka już krucho¹⁾.

¹⁾ Brak chleba, ubogo.

Pocieszcie się, dzieci, chleb będzie, chleb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar Boży,
Matuchna upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy.
Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
Chłopaki, dziewczęta jak róże.
O chwałaż ci, Boże, za nowe, za latko,
Hej, chłopcy, dziewczęta, a nuże!
Brzęk-brzęku, brzęk-brzęku, pośpiesznie, a chyłkiem,
Śmiech słychać: spłoszyli zającą.
I oto się biela nad rannym posiłkiem
Pod gruszą, co chroni od słońca.
A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe,
A w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził:
Czerwone, niebieskie i białe.

T. Lenartowicz.

Jakie pożyteczne i przyjemne zajęcia mogliby mieć uczniowie podczas wakacyj?

138. Mała żniwiarka.

Lato było, upały. W mieście gorąco i duszno, ale i na wsi jak w gorącym piecu. Słońce pali, bo też to ogień Boży, bardzo potrzebny, żeby wszystko dojrzewało, żeby się przygotował posiłek dla ludzi na długą i ciężką zimę.

Zuzia kąpała się w słońcu, jak ptaszek; w ogromnym kapeluszu cały dzień w ogrodzie,—a za ogrodem pole. Pole żółte od zboża, błękitne od chabrow, a czerwone od maku. Ach, bukiety, bukiety! Tak lubiła je zbierać. Idzie brózdą i zrywa chabry, maki, już nie może objąć, taki pęk ogromny, więc czerwona, spalona powraca na ganek i układa: to dla mamy, to dla babci, to dla panny Jadwigi, a tamten dla siebie.

Jak wesoło, kiedy bukiet jest w pokoju, — ale duży ogromny!

Raz wybiegła na ogród, jak zwykle na pole, a tutaj żeńcy stoją z sierpami, śpiewają, ścinają kwiaty i dojrzałe zboże i kładą je na ziemi, jak nieżywe.

Zuzi żal się zrobiło kwiatów i zboża, lecz podobą jej się praca żeńców. Przecież nie była już taką malutką i wiedziała, że zboże zżąć trzeba koniecznie na chleb dla ludzi. Bez chleba żyć nie można.

Więc się rozweseliła i zaczęła patrzeć, jak żniwiarze pracują. Była tam jedna dziewczyna nieduża; Zuzia przy niej stanęła i widziała, jak żniwiarka ujmowała zboże lewą ręką, prawą błysnęła sierpem, i już garść leży na ziemi. I tak szybko i szybko, coraz dalej.

Zuzia nagle pobiegła co tchu do ogrodu, do mateczki, która siedziała pod drzewem.

— Mamo, ja też żąć będę!

Uśmiechnęła się mama i spojrzała na nią.

— Nie potrafisz, córeczko, to ciężka robota.

— Ach, bardzo łatwa, mamó, widziałam w tej chwili.

— Tak ci się zdaje, Zuziu — sierpa nie utrzymasz.

— Pozwól, mamó, chociaż spróbować, zobaczysz sama; choć chwilkę! choć trochę!

— Popróbuj, Zuziu, skoro masz taką ochotę; nawet jestem rada: przekonasz się, ile to trudu chleb ludzi kosztuje.

— A sierp, mateczko?

— Marysia ma nowy i nieduży, a nie poszła dziś do żniwa, poproś, niech ci pożyczy.

Za chwilę Zuzia z sierpem szła w pole. Taka była kontenta, taka dumna! Ho, ho! i ona żąć zboże potrafi.

Stanęła na ostatku, przy dziewczynce niebardzo dużej, schyliła się, ujęła garstkę kłosów małą rączką, ale musiała aż przykucnąć, aby je ściąć sierpem.

Żniwiarze się rozśmiali, a Zuzia poczerwieniała, lecz pomyślała sobie, że to tak pierwszy raz tylko.

Ale i drugi ciężko. Siedząc na ziemi, byłoby daleko łatwiej, — chociaż tylko się zdaje, bo i tak ciężko się schylić, a zboże się wyrywa zamiast ścinać, i takie jest nierówne, poszarpane.

Prawda, że to niełatwo, ale się nauczy; zaraz będzie lepiej.

Wzięła większą garstkę, lepiej machnęła sierpem i ciach! — prosto w rękę.

Krew zaczęła kroplami jak deszcz spadać na ziemię, a Zuzia zbladła bardzo, ale się nie rozplakała: wstyd jej było. Dziewczyna, co przy niej żęła, owinęła jej rękę fartuskiem i powiedziała, że nie bardzo skaleczona. Więc stała, sama nie wiedząc, co robić: czy iść do mamy — czy jeszcze pozostać. Żać nie mogła, lecz stała i patrzyła teraz na schylonych żeńców. I oni zmęczeni byli, pot im spływał z czoła.

— Musisz być zmęczona — rzekła Zuzia do dziewczyny, która obok niej żęła.

Dziewczyna się rozśmiała i otarła czoło.

— O, zmęczona, panienko, ale to nic nie szkodzi; choć się człowiek zmęczy przy pracy, to mu miło, kiedy wie, że z niej będzie coś dobrego. A z tego będzie chlebek! Dobrze ludziom, kiedy chleb mają. Oj, dobrze! Toć każdy kocha za to tę matulę-ziemię, co go dała taki piękny! toć za taką łaskę nie żał i pracy dla niej, dla tej naszej karmicielki.

Zuzia słuchała zdziwiona.

— To ty kochasz tę ziemię? — zapytała.

A dziewczyna aż głową pokiwała.

— A jakże jej nie kochać, panieneczko? Toć na niej żyjemy, toć od niej wszystko mamy z woli Boga: ona od wiosny do późnej jesieni karmi nas, i obdarza, i dogad-

dza, a tylko co pod śniegiem troszkę zaśnie na wytchnienie, — więc jakże jej nie kochać? Oj, niewdzięczne to dzieci, coby takiej matuli nie kochały!

Kto najbardziej ziemię kocha? Dzieci miejskie prawie nie wiedzą o tem, że ziemię kochać można, i nie rozumieją tego. A wieśniacy kochają ziemię, jak matkę karmicielkę. Czy lekka jest praca żniwiarza?

139. Pieśń dożynkowa.

Otwórz nam, panie, dziedziniec,
Niesiemy ci piękny wieniec,
Plon¹⁾ niesiem, plon!
Otwórz nam, panie, nowe wierzeje²⁾,
Bo się na polu już kłós nie chwieje,
Plon niesiem, plon!
Idzie chmureczka czarna, nie biała,
Idzie gromada, duża, nie mała,
Plon niesiem, plon!
Otwórz nam, panie, szerokie wrota,
Niesiem wianeczek z szczerego złota,
Plon niesiem, plon!
A wyjdźże, panie, na ten ganeczek,
Przyjm od dziewczyny z plonu wianeczek,
Plon niesiem, plon!

140. Na wodzie.

I.

Chłopcy postanowili dziś popłynąć na bezludną wyspę. W przeciagu kwadransa zdobyli zapałki, zabrali suchary, makuchy³⁾, kompas, wydostali ze „schronienia” łuk, nóż

¹⁾ Zbiór zboża. ²⁾ Wrota z dwóch połów złożone. ³⁾ Placek z wytłoczn maku lub siemienia.

i siekierę-tomahawk¹⁾. Z łódką mieli więcej kłopotu: stała ona w małej zatoce, ocienionej olszyną i wierzbami płaczącymi, przytwierdzona na łańcuchu, zamknięta na kłódkę.

Podczas gdy Piotruś silił się zamek oworzyć, Mieczysław błądy, wystraszony, siedział na dnie łódki i patrzył, jak brat starszy napróżno w zamek stukał, gwóźdź w dziurkę od klucza wsuwał. Chciał nawet skobel oderwać, ale łódź, gwałtownie pchnięta, zaciągnęła łańcuch, a kłódka otworzyła się sama. Kołysząc się łagodnie, wypłynęli z zielonej pieczary na słońce. Chyży prąd porwał ich natychmiast i uniósł na środek rzeki.

— Wiosło!... wiosło!... zakładaj na miejsce wiosło!... — krzyczał Piotruś.

Mieczysław chwycił ciężką łopatę i podniósł ją w górę; ale pod ciężarem jej zachwiał się i potoczył do burty²⁾, o mało nie wpadł w wodę. Wówczas Piotruś kazał mu zachować się spokojnie, sam wiosło założył i łódź z wielkim trudem zwrócił we właściwym kierunku. Ale z wiosłowaniem poradzić sobie nie umiał; łopaty za głęboko w wodę pogrążał, łódź zwolna posuwała się naprzód.

Mieczysław siedział, jak skamieniały, stopniowo jednak się ośmielał.

— Mój Boże, jak to już daleko jesteśmy od brzegu, a naokoło, jak okiem rzucić, tak jasno i woda pluska; słyszysz, jak ona pod deskami szeleści i łódź naszą łaskocze?... Sądzę, że od tego można dostać morskiej choroby.

— Głupis, siedź cicho! Nie szanuję cię: przekonałem się, że jesteś tchórz! Jaka tam morska choroba na rzece! Lepiej zaczerpnij wody czapką i daj mi się napić, gdyż wiosła wypuścić nie mogę, rozumiesz przecie?

— Rozumiem... doskonale rozumiem.

¹⁾ Topór wojenny indyjski. ²⁾ Burtą — krawędź statku lub łodzi.

— Tylko nie przechylaj łódki i nie wpadnij do wody. Wiesz co: przesuń się na sam dziób¹⁾, tam łódź zawsze mniej się kołysze!

Mieczysław ostrożnie powędrował na kolanach na wskazane miejsce, dostał wody, zaniósł bratu i sam się napił.

Tak mu się podobało w dziobie statku u burty, że już tam pozostał. Zwiesił rączkę nad wodą i bawił się, bryzgając dokoła perłowemi, mieniącemi się kroplami.

— Piotrusiu, jak cię kocham okropnie!... Tu wszystko takie ładne... Patrz: ryba! doprawdy ryba z ogonem!...— wołał co chwila z zachwytem.

Piotruś rzucił wiosła i wytarł spotniałe czoło. Nęciło go zobaczyć rybę, ale czuł jednocześnie, że nie mógł zostawić „samopas” statku. Najmniejsze niedbalstwo mogło spowodować rozbicie. Więc obejrzał się tylko za siebie, na przeciwny brzeg, gdzie na stoku wzgórza wśród zieleni parku białał ich dom. Jaki on teraz inny! a jaki śliczny! U samej wody siedział Cezar i żałośnie poszcze kiwał, potrząsając długimi uszami.

— Szkoda, żeśmy go nie zabrali. Byłby nam się przydał na polowaniu.

Stało się. Wracać już było zadaleko. Błyszcząca lazurowa szyba pochłaniała ich, jak przepaść. Drobne żyłeczki prądu i migotliwa łuska płytkich fal ogarniały ich ze wszystkich stron.

II.

Łódź kołysała się ruchem miarowym, jak swobodnie puszczona huśtawka. Zielone brzegi uciekały w dal. Góra białe chmury karawaną dążyły ku słońcu. Między dwoma przestankami błękitów ukazała się nagle upragniona wyspa tajemnicza i chyżo zbliżyła się ku nim po śliskiej kryształowej toni. Można już było rozpoznać pojedyncze

¹⁾ Dziób — przednia część statku.

drzewa jej lasu, ogniste pnie i konary niebieskawych sosen, blade kolumny brzoź z żółtawymi liśćmi i brunatnymi wiciami gałązek, ciemne, kędzierzawe kopuły ¹⁾ olszyn. Bliżej u samej wody, kołysane wiatrem, chwiały się smukłe, pozłociste i jak trzcina drżące zarośla. Miały listki kiściaste, podługne i popielate.

— Patrz, Mieczysiu: napewno „rokita”.

— Więc to jest rokita?! Jaka cudna!

„Rokito, rokito, co ci oczko podbito”...

zaśpiewał Mieczys i dygnął jej tak ładnie, że o mało łódki nie wyrzucił.

— Ostrożnie, niezgrabjaszu! Rozbijesz statek! Cała sztuka w tem teraz, żeby wylądować. Będę wiosłował, kierował, a ty łap i skacz na brzeg z łańcuchem.

— Co łap?

— Co się da.

— Doprawdy, jesteś dziwak. Mam łąpać, kiedy nie wiem, co.

— A więc dobrze! Daj mi spokój!...

Piotruś zaczął manewrować łodzią, uderzając jednym wiosłem, to drugim; nagle silne wstrząśnienie zachwiało statkiem. Mieczys upadł na dno jak długi, Piotruś zleciał wtył ławki.

— Co się stało? pewnie skała podwodna!

Starszy chłopiec podniósł się, ale natychmiast przysiadł i oczy zasłonił. Uczuł w nich silny ból od słonecznego blasku, i wydało mu się, że pędzą z szaloną szybkością, gdy tymczasem stali na miejscu, a tylko wartki²⁾ prąd kłębił się i pianą przelewał mimo łodzi.

— Ławica! — zawołał znacząco Piotruś. — Siedliśmy na mieliźnie.

¹⁾ Tutaj: sklepienie, utworzone z gałęzi. ²⁾ Szybki, bystry.

— A co! A ty mówiłeś: łapaj! Co tu łapać, kiedy jeszcze nic niema, prócz nieba i wody?

— To nic, tu płytko.

— Więc co? Mówisz zagadki, a tu przecież i o moje życie chodzi.

— Tak, ale ty nic nie rozumiesz! Mielizna nie jest rozbiciem okrętu. Wyspa jest blisko, możemy się uratować, zbudowawszy tratwę z ławek i wiosł.

— Doskonale.

— Wcale nie. Najprzód spróbujmy łódkę zepchnąć z mielizny; tak wszyscy robią. Siedź i pilnuj rudla¹⁾, a ja zdejmę buty!

— I ja zdejmę buty.

— Zdejm, a tylko uważaj i łap, za co się da, gdy się zbliżymy do wyspy.

III.

Wody miał po kolana; była ciepła, czysta, a płynęła tak wartko, że muł, poruszony na dnie, uciekał z pod stóp, jak kłębuszki dymu, unoszone wiatrem. Piotruś miał wielką ochotę zatrzymać się dłużej w tem miejscu, zaledwo jednak dotknął łodzi, gdy, porwana prądem, popłynęła dalej. Mieczysław, rzuciwszy rudel, musiał go wciągnąć do łódki. Gdy wreszcie znaleźli się na miejscu, ogarnął ich nagle cień, zaszeleściły gałęzie, a dziób łodzi znowu o coś potracił, przyczem czapka Mieczysława upadła na dno.

— Trzymaj!... łapaj!...

Dzieci wyciągnęły ręce, ale wszystko uciekło im z pod palców.

Prąd omijał wyspę, zaczerniało ostatnie wysokie podmywisko z pochyłą nad wodą garbatą wierzbą, w głębi zaiskrzył się od słońca obszar otwartej rzeki. Piotruś

¹⁾ Rudel — ster.

stanął na przodzie łodzi, zebrał siły i wpił się palcami w zielone warkoczce starej czarownicy.

Pęd rzucił go na dno, ale chłopak wierzby nie puścił, łódka pochyliła się, fale zawrzały u burty i przycisnęły statek do samego brzegu. Mieczys pomógł bratu zaczepić łańcuch o pień wierzby, poczem klapnął ją po zmurszałym¹⁾ garbie i rzekł pieszczotliwie:

— Pocziwa!

Wacław Sieroszewski.

Jacy byli ci chłopcy?

141. P o w ó d ź.

Smutny to widok!.. Szarpiąca fala
Zalewa wioski i pola,
Drzewa wyrывa, chaty rozwala —
Gorzka, och, gorzka swawola!
Jak sięgnąć okiem, woda i woda,
Spieniona, brudna, zmacona,
Ni się w niej przejrzy słońca pogoda,
Ni też gwiazdeczka złocona.
Zalane chaty, — ponad topielą
Strzech tylko widać poszycia,
Wąskim się pasem ścian skrawki biela,
I nigdzie dźwięku, ni życia.
Na resztkach chaty pies płynie głodny,
Słucha, lecz nikt go nie woła...
Boże, daj prędzej błękit pogodny,
Boże, zbudź życie dokoła!

Zofja Zacharkiewiczówna.

142. F i g i.

Pewien ogrodnik posłał Buffonowi, znakomitemu naturaliście²⁾, dwie piękne figi, jako wspaniałe okaz pierwszych fig, dojrzałych w Paryżu.

¹⁾ Spróchniały. ²⁾ Uczony badacz natury.

Mały Zano, któremu polecono odnieść figi, nigdy nie widział tego owocu. Wziął figę z koszyka, oglądał ją, podziwiał i... zjadł.

Uczony, widząc w koszyku dużo liści i jedną figę, domyślił się prawdy.

— A druga figa? — zapytał.

— Druga?... ja nie wiem... — odpowiedział chłopak przerażony, ze łzami w oczach.

— Zjadłeś ją! Pierwsze figi! Chluba ogrodu! Owoce, godne królewskiego stołu! A ty, nicponiu, pozwoliłeś sobie wziąć jedną! Jakżeś to zrobił? Jakżeś to zrobił? — mówi Buffon zirytowany.

Wystraszony chłopczyzna z płaczem bierze drugą figę i, patrząc w oczy panu, kładzie ją w usta:

— Tak zrobiłem, proszę pana...

143. Młodość Jagiellonów.

I.

Jeszcze była noc głęboka, rozświetlały ją tylko gwiazdy, iskrzące się na przezroczystym niebie, i śnieg na ulicach i dachach, od srogiego mrozu stężały; jeszcze ubogi wyrobnik zapominał we śnie o zimie i pracy, milczały dzwony kościołów, a już na krakowskim zamku w dwóch oknach przez zamarzniete drobne szybki migało słabe światło.

W rogu długiej i wysokiej izby, na której nagich ścianach krzyż Zbawiciela, kropielnica srebrna i dyscyplin kilka wisiało, z łóżka żelaznego powstał był mąż, blisko czterdziestoletni; skrzesał ognia, zapalił żółtą woskową świecę, ubrał się co prędzej w czarną odzież kapłańską, potarł palce o stężalą święconą wodę, namazał nią czoło, odmówił z pokorą i gorliwością krótką modlitwę, a stanąwszy w środku komnaty, krzyknął wielkim głosem:

— Dzieci, wstawajcie! Niech będzie Bóg pochwalony.

W mgnieniu oka z pod ściany przeciwległej ozwały się głosy młode, pełne i odpowiadały prawie razem: — „Na wieki“, a czterech dziarskich chłopaków, powstając co żywo na nogi, jęło się do ubioru. Najstarszy z nich mógł mieć lat 15, najmłodszy lat 10; spali pokotem¹⁾, kolejną starszeństwą; dębowa podłoga, skóry niedźwiedzie, kozuchy zwinięte w trąbkę — łóżem, posłaniem, przykryciem, wezgłowiem²⁾ im były. Pozdrowili z uszanowaniem kapłana, sobie nawzajem dobrego dnia życząc; przebąknawszy coś o wznowionym mrozie, owinęli nogi szmatami, grube skórznie³⁾ na wierzch wciągnęli, odzież spodnią parcianą⁴⁾ przewiązali rzemiennym pasem, a potem z kolei szli do wielkiej marmurowej miednicy, pod oknem w ścianie umocowanej. Tam każdy podawał głowę pod leżącą się za odkręceniem śrubki zimną wodę, zanurzał twarz i ręce w obmarzłym naczyniu, tarł kark i uszy pływającymi bryłami lodu, poczem, podskakując wesoło, biegał po izbie, by mu prędzej oschły włosy, twarz i ręce i wyszła z nich kurząca się para.

— Dosyć tego — zawołał kapłan, widząc, że najstarszy do psot się bierze i najmłodszemu kawałek lodu na kark za koszulę chce wpuścić, dosyć; kozuchy na się i do pacierza.

Chłopcy, nie odrzekłszy ni słowa, wzięli natychmiast leżące na posłaniach zwinięte kozuchy, włożyli je na siebie i uklękli na środku izby, obróceniu twarzami ku krzyżowi. Kląkł przed nimi kapłan, wszyscy złożyli dłonie i odmówili głośno i wyraźnie Modlitwę Pańską, Pozdrowienie anielskie, Skład wiary, Dziesięcioro przykazań, zanucili pieśń „Bogurodzica“, a powtarzając słowo po słowie za kapłanem, modlitwę przed tron Przedwiecznego zanieśli.

¹⁾ Jeden obok drugiego na podłodze. ²⁾ Poduszka. ³⁾ Skórznie — buty. ⁴⁾ Z grubego płótna.

II.

Wnet wszedł służbowy pacholik, a zabierając się do śpiesznego uprzątnięcia izby i do rozpalania ognia na ogromnym kominie, oznajmił, że król pan przed wyjazdem na łowy śniadać z królewiczami przybędzie.

Bo te chłopcy tak rano budzone, w zimnej izbie na twardem posłaniu śpiące, tak surowo chowane i tak posłuszne, byli to starsi synowie króla polskiego, Kazimierza Jagiellończyka: Władysław, Kazimierz, Jan i Aleksander, a kapłan, wychowanie ich prowadzący — Jan Długosz.

Zastawiono w srebrnych naczyniach litewski kapuśniak z wędliną i zrazy koronne z kaszą. Na pierwszym miejscu było kosztowne nakrycie dla króla, obok podobne dla Długosza; przy nich gąsiorek ¹⁾ wódki i jasne kołaczki ²⁾, a na końcu stołu—cztery jednakie miski iłżeckie ³⁾, łyżki drewniane i po kawale razowego chleba. Stali książęta jak wryci przy tych nakryciach swoich, czekając, rychło król wejdzie; smaczny i ciepły zapach potraw rozchodził się po izbie, apetyt mieli niezmyślony, lecz czekali w milczeniu.

Klementyna Hoffmanowa.

Czy dziś tak chowają rodzice synów? Zastanówcie się, czem dzisiejsi ludzie różnią się od tamtych podług tego opowiadania. Ilu synów miał Kazimierz Jagiellończyk? Kto ich wychowywał? W jaki sposób? Kto był Długosz?

144. Najpracowitszy.

Kmiecie z pewnej wsi zamierzali podać prośbę do króla Zygmunta Augusta. Napracowawszy się wielce nad samą prośbą, jeszcze większy mieli kłopot, jaki tytuł nadać królowi; byli to bowiem ludzie prości, którzy nigdy ani samego króla, ani jego dworu nie widzieli.

¹⁾ Duża butelka. ²⁾ Pieczywo ³⁾ Wyrabiane w Iłży.

Gdy się tak frasują i głowę łamią, stary kmieć rzekł:

— Dajmy królowi ten przymiot, który jest najlepszym przymiotem w człowieku.

Rada w radę—jedni chcieli go tytułować najbogatszym, drudzy najmożniejszym, inni najpotężniejszym, ale zawsze wydawało im się, że ani bogactwo, ani możność, ani potęga nie są najlepszymi przymiotami człowieka. Na koniec starzec jeden rzekł:

— Nazwijmy go najpracowitszym, bo prawdziwie, kto jest pracowity, ten wart więcej, aniżeli wszyscy bogacze i mocarze tego świata.

Rada trafiła do przekonania wszystkim, napisali więc na prośbie: „Do najpracowitszego króla naszego”—i jeden z nich zaniósł ją do Krakowa, na zamek królewski.

Gdy król w obecności panów i senatorów prośbę odebrał i tytuł przeczytał, wielce się ucieszył, lubo panom wydało się to obrażą.

— Nie zgrzeszyli—rzekł—poddani nasi, gdy mi ten tytuł napisali. Proszę, panie kanclerzu, prośbę ich spełnić, i to prędko. Zaiste żadnego snąć króla tak nie uczczono, jak ja dzisiaj uczczony zostałem.

Tytuł ten słusznie zresztą należał się Zygmuntowi Augustowi, gdyż istotnie był to król bardzo gorliwy w wypełnianiu swoich obowiązków. Pomimo wątłego ¹⁾ zdrowia, na obrady sejmowe pilnie uczęszczał; nieraz będąc chory, gdy nie mógł iść, z łóżem do izby sejmowej ²⁾ wnosić się kazał, a w ostateczności senatorów i posłów do sypialni swojej powoływał, żeby mu zdawali sprawę z porad i uchwał ³⁾ sejmowych. Nie żałował też trudu na podróże po rozległym państwie litewsko-polskiem dla załatwiania ważnych spraw i łagodzenia zatargów.

(Z „Upominku“.)

¹⁾ Słabego. ²⁾ Radzono, sejmowano; sejm—rada. ³⁾ Postanowienia.

Jaka jest wada, przeciwna pracowitości?

Wytłumacz przysłowia: „Bez pracy nie będzie kołaczy”, „Pańskie oko konia tuczy”, „Nie ma chleba ości, gdy się kto przepości”, „Kijem tego, co nie pilnuje swego”.

145. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
Był dyskurs¹⁾: jaki przymiot w zwierzu doskonały?
Słoń roztropność zachwalał; żubr mienił powagę;
Wielbłądy—wstrzemięźliwość; lamparty—odwagę;
Niedźwiedź — moc znamienitą; koń—ozdobną postać;
Wilk—staranie przemyślne, jak zdobywszy dostać;
Sarna—kształtną subtelność²⁾; jelen—piękne rogi;
Ryś—odzienie wytworne³⁾; zając—rączne nogi;
Pies—wierność; liszka⁴⁾—umysł w fortele⁵⁾ obfity;
Baran—łagodność; osieł—żywot pracowity.
Rzekł lew, gdy go się wszyscy o zdanie pytali:
— Według mnie, ten najlepszy, kto się najmniej chwali.

I. Krasicki.

Co to znaczy: pyszałek?

Kto się łatwiej doskonali: człowiek pyszny, czy skromny?

146. Urszulka Kochanowska.

I.

Już temu dawno, bardzo dawno, bo 300 lat z górą, kiedy żyła Urszulka Kochanowska.

Rodzice jej mieszkali w ładnej wiosce Czarnolesiu, w ziemi Sandomierskiej. Byli to bardzo zacni ludzie. Ojciec Urszulki, Jan Kochanowski, był najslawniejszym poetą swego czasu. Małenka Urszulka też umiała już mówić do wiersza, i to tak sama z siebie, choć nie miała jeszcze trzech lat.

¹⁾ Dyskurs — rozmowa. ²⁾ Wysmukłość. ³⁾ Bardzo piękne, wyszukane. ⁴⁾ Lis. ⁵⁾ Fortel — podstęp.

Było to dziecię śliczne, a dobre jak aniołek, rozkosz całego domu i największa pieśczęta i pociecha ojca. Z wesołą, uśmiechającą się twarzyczką biegała po domu, śpiwając, wyciągając do ojca rączki, kiedy zbliżył się do niej.

Pewnego razu przyjechał do Czarnolesia Jan Zamojski, wielki hetman ¹⁾ i kanclerz ²⁾, przyjaciel Stefana Batorego i pierwsza w kraju po królu osoba.

Po serdecznych przywitaniach i rozmowie prosił Kochanowskiego, by mu dzieci swoje pokazał. Matka namawiała Urszulkę, aby sama poszła przywitać hetmana jakim ładnym wierszykiem. Opowiadała Urszulce o nim różne rzeczy: jaki to możny pan i bogaty, jakie ma śliczne pałace i zamki, jak jest szanowany i ceniony przez króla, a jaki dobry, jak dzieci kocha, ale sam nie ma ani jednego, choć bardzo pragnąłby syna. Urszulka jakby tego wszystkiego nie słuchała, tylko obiecała być grzeczną. Matka wzięła ją za rękę i przyprowadziła do Zamojskiego.

Kiedy ją hetman ujrzał, wyciągnął do niej ręce i zawołał: — A czemużeście mi prędzej nie pokazali tego aniołka! — Wziął Urszulkę na kolana i pieścił ją czule. Ona mu w oczy patrzyła, potem oglądała drogie jego suknie, dotykała rączką pięknych pierścieni i klejnotów, a gdy jej Zamojski spytał, czy to piękne, odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie,
Ale gdyby-ć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.

Hetman zdumiał. — Któż cię takich wierszyków nauczył? — zapytał. — Nikt — odpowiedziało dziecię — ja sama

¹⁾ Najwyższy dowódca w dawnej Polsce. ²⁾ Najwyższy urzędnik królewski.

z siebie mówię wierszyki. — A to ja nie będę szukał innych dzieci — mówił hetman, — jeno sobie będę miał Urszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę do Krakowa.

Ale ona odrzekła:

Nie, jam dziewczyna,
Tobie trzeba syna;
Mnie weźmie ktoś inny—
Aniołek niewinny;
Ja poproszę Boskiej Matki
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Rozrzewniony ¹⁾ hetman ucałował mądrą dziecinę i oddał matce z życzeniem, aby ją Bóg zdrowo chował.

II.

W jakiś czas potem znowu zjechali się goście do Jana Kochanowskiego, a on staropolskim zwyczajem gościnnie ich podejmował. Gdy wszyscy się bawili, ojciec przywołał Urszulkę, pocałował ją w główkę i mówił:—Słowiczku mój, odezwij się nam. — Urszulka oparła się na ramieniu ojca i mówić zaczęła ślicznie, ale bardzo smutnie.

Wszyscy goście z zadziwieniem jej słuchali, ale ojciec bardzo się także zasmucił jej słowami, oddał dziecinę matce i zamyślił się głęboko.

Wieczorem goście się rozjechali, dzieci spać poszły. Matka, okrywając Urszulkę, dostrzegła, że główka jej i ciało bardzo rozpalone. Dobra dziewczeczka zachorowała. Matka niezmiernie się przestraszyła, całą noc nie spała i siedziała przy Urszulce, której coraz było gorzej. Mówiła słowa bez ładu, bez związku, a rodziców i sióstr nie poznawała.

¹⁾ Wzruszony, rozczulony.

Przystawiono jej pijawki do główki, okładano zimnemi, mokremi chustami, dawano różne lekarstwa—nie nie pomagało. Urszulka coraz większą miała gorączkę, leżała bez przytomności, chwilami szeptała sobie jakieś wierszyki, to znów, obracając się do matki, całowała jej ręce i mówiła:

Nie płacz, matko, proszę,	Twoja luba córka
Ja idę do nieba	Oblecze się w piórka,
Na czyste rozkosze,	Z aniołkami siedzie.
Mnie zazdrościć trzeba.	Matko, złeż ci będzie
Mieć swego aniołka?	

Potem zaczęła płakać i przywołała siostry; żegnała się z niemi, zwłaszcza z najmłodszą Hanusią, żegnała się ze służbą, ze wszystkimi. Matkę i ojca pociągała do siebie, całując im ręce i mówiąc żałośnie: — Już ja wam służyć nie będę; już nie zasiadę mego miejsca za stołem: muszę jechać w ciemną i nieznaną drogę, muszę pożegnać wasz dom na zawsze.

Przez trzy dni choroba się wzmagała, czwartej nocy nad ranem Urszulka zawołała głośno: — Jezus, Marja, Józef! — umilkła i skonała, a jej czysta duszyczka poszła prosto do nieba.

Oj, smutno było w Czarnolesiu po śmierci Urszulki! Zapłakany ojciec chodził i powtarzał sobie żałośnie: — „Już niema wdzięcznej dziewczeczki mojej, ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany”.

Ten wielki smutek i żal po śmierci Urszulki wypowiedział w pięknych wierszach, a tak żałosnych, że się na płacz zbiera, kiedy się je czyta. Nazywają się treny.

E. Estkowski.

Jak się nazywa człowiek, który pisze piękne wiersze? Jakich znasz poetów? Kogo uważamy za największego poetę polskiego?

147. Tren VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo¹⁾, tym zniknięciem swoim:
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszystkie²⁾ mówiła, za wszystkie śpiewała,
Wszystkiś w domu kąciki zawsze³⁾ pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcę myśleniem zbytniem głowy psować⁴⁾,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając⁵⁾
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu;
Z każdego kąta żalność człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje!

Jan Kochanowski.

148. Trybunał⁶⁾ lubelski.

Miasto Lublin należy do najpiękniejszych miast polskich. Otaczają go malownicze i żyzne okolice, domy ma piękne, ulice szerokie, starożytne kościoły i wiele zabytków przeszłości.

W ratuszu np. jest wielka sala, w której od czasów Stefana Batorego odbywały się sądy czyli trybunały. Dziś jeszcze pokazują w niej krzyż z odwróconym do ściany Chrystusem i z napisem łacińskim: „Będę sądził sprawiedliwość waszą”, i takie opowiadają o nim podanie:

Uboga wdowa wytoczyła sprawę bogaczowi, który zagarnął cały jej majątek. Sędziowie dobrze wiedzieli, że

¹⁾ Tak pisał Kochanowski. Wszystkie—mówiono zamiast wszystkich. ²⁾ Zawsze. ⁴⁾ Łamać, psuć. ⁵⁾ Obejmując. ⁶⁾ Sąd wyższy.

wdowie stała się krzywda, ale bogacz sypnął złotem i sprawę wygrał. Gdy odczytywano ten wyrok, biedna wdowa nie chciała wierzyć własnym uszom, a wkońcu, uniesiona gniewem, na cały głos wyrzekła:

— Żeby mnie djabli sądzili, sprawiedliwszy wydaliby wyrok!

Ale sędziowie udali, że nie słyszą tych wyrazów, i rozjechali się do domów. Pozostali tylko na miejscu pisarze.

Noc zapadła, pisarze składali papiery, gdy na ulicy dziwny dał się słyszeć hałas: karety zajeżdżały przed trybunał, na salę wchodzi sędziowie, wszyscy strojni, zbrojni, o czarnych ognistych oczach i zwichrzonych czuprynach, z pośród których wyglądają małe różki, a z pod sukni za każdym widać długi ogon. Przybyli zasiadają na sędziowskich krzesłach, rozpierają się, zaczynają sądzić.

Pisarze potruchleli ¹⁾, z miejsca się ruszyć nie mogą.

Wtem djabeł, który zasiadł na najwyższym miejscu, każe powtórzyć sobie sprawę wdowy. Wystąpiło zaraz dwóch djabłów, niby adwokatów, na środek: jeden ze strony wdowy przedstawia rzecz całą, drugi broni bogacza. Wszyscy siedzący w krzesłach słuchają z uwagą, potem zaczynają się naradzać między sobą.

Ale niedługo to trwało. Szatan, siedzący na najwyższym miejscu, wezwał jednego z prawdziwych pisarzy, kazał mu usiąść za stołem, wziąć pióro i pisać, co mu podyktuje. Biedny człowiek, nawpół umarły ze strachu, posłusznie spełnił rozkaz, a djabeł słowo po słowie dyktował mu swój wyrok. I według djabelskiego sądu nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa miała słuszość.

¹⁾ Przerazili się, zdrętwieli ze strachu.

Wówczas to ukrzyżowany Pan Jezus, wiszący na ścianie sali, widząc, że szatani sprawiedliwsi są od ludzi-chrześcijan, że zgrozy twarz zasmuconą odwrócił do ściany.

Djabli wyrok podpisali, wycisnęli na nim pieczęć, położyli na stole i znowu z wielką paradą opuścili salę.

Wtedy dopiero pisarze, ochłonawszy ze strachu, uciekli na miasto i tam opowiedzieli, co się stało.

Nazajutrz, gdy sędziowie przybyli znów do trybunału, znaleźli na stole ów djabelski wyrok, a na ścianie spostrzegli Chrystusa z odwróconą twarzą.

I tak do dziś dnia pozostał.

Jak sędzia powinien sądzić?

149. Wilk i baranek.

Wilk i baranek, zdjęci¹⁾ pragnieniem,
Stanęli jakoś nad jednym strumieniem;

Wilk żłopał u góry wyżej,

Baran zdaleka pił niżej.

Wilk, szczerząc zęby na jagnię młode:

— Baranie — mówi, — macisz mi wodę! —

Baran, na takie złąkły się zdanie,

Z pokorą rzecze: — Wielmożny panie!

Nie mogę tobie macić tej wody,

Co z pod nóg twoich do mych ust płynie.

— A to ty — huknął, — pogański synie²⁾,

Beczałeś na mnie z swojej zagrody

Już przeszło temu, jeśli nie więcej,

Osiem miesięcy! —

A baran na to: — Lecz pan widzi przecie,

Że jeszcze wtedy nie byłem na świecie.

— To brat twój — rzecze — musi być nie

— Ale ja tylko jedynak. [inak!

¹⁾ Zamiast: zdjęte, to znaczy: przejęte, dotknięte. ²⁾ Zamiast: synu.

Czy ty, czy brat twój, czy tam kto inny,
Cały wasz naród dla mnie złoczyanny.

Darmo! nie ujdiesz śmierci.—
Zgrzytnął i rozdarł jagnię na ćwierci.

Franciszek Dyjonizy Książnin.

Co to jest postępowanie sprawiedliwe? Jakich ludzi można porównać z tym wilkiem? Nauka Chrystusa i sumienie każe opiekować się słabym. Kto gnębi słabszego, jest dzikim barbarzyńcą, choćby był uczonym i posiadał wszelkie talenty.

150. Miłosierny Samarytanin.

Pewien rabin zapytał raz Jezusa: — Nauczycielu, co mam czynić, aby dostąpić żywota wiecznego? — A Jezus odpowiedział: — Co napisano w zakonie? — On rzekł: — Miłuj Pana Boga twego ze wszystkiego serca swego, a bliźniego twego, jak siebie samego. — A Jezus rzekł mu: — Dobrześ powiedział, czyn to, a żyć będziesz. — Ale on chciał się usprawiedliwić i zapytał: — A któż jest mój bliźni? — Na to Jezus odpowiedział:

— Człowiek jeden, idąc z Jerozolimy do Jerycho, wpadł między zbójców, ci zranili go i nawpół umarłego zostawili. Szedł tą samą drogą kapłan, a ujrzawszy go, minął; potem Lewita¹⁾ przeszedł koło niego; lecz Samarytanin²⁾, który go spostrzegł, ulitował się nad nim, wlał wina i oliwy na rany jego i obwiązał je, a potem włożywszy go na bydlę swoje, zawiózł do gospody i pielegnował; odjeżdżając zaś, zostawił gospodarzowi pieniądze, aby miał i dalszą o nim pieczę³⁾. Któryż z tych trzech okazał się bliźnim owego, który wpadł między rozbójników?

A on rzekł. — Ten, który uczynił nad nim miłosierdzie.

A Jezus rzekł mu: — Idź i czyn podobnie.

Co znaczy ta przypowieść?

Ks. Serwatowski.

¹⁾ Zamiast: synu. ²⁾ Kapłan z pokolenia Lewi. ³⁾ Samarytanie odłączyli się od Żydów i uważani byli za obcych, ⁴⁾ Staranie, opiekę.

151. J a r m a r k.

I.

W ostatnim tygodniu wakacyj wybrali się wszyscy na jarmark.

Jarmark to uroczystość. Mieszkańcy miast wielkich tego nie rozumieją, bo dla nich codzień jarmark w każdym sklepie, ale wieśniak—czego nie kupi na jarmarku, na co tam nie popatrzy, tego już nie zobaczy i nie dostanie na wsi. To też jarmarki bywają w miasteczkach co tydzień, ale większe przypadają raz na miesiąc albo i jeszcze rzadziej, więc ludność zbiera się zdaleka, aby kupić i sprzedać, co komu potrzeba.

Nasza gromadka pojechała wozem, na którym usłano wygodne siedzenie. Kazio całą drogę powoził i śpiewał, Zosia mu wtórowała. Wesoło jej było pod tem jasnym słońkiem, choć w miasteczku ścisk, wrzawa, kurz i błoto, że przecisnąć się trudno przez ulicę.

Bo czego tutaj niema? Konie, krowy i ludzie—to jeden tłum zbity,— a tu gęgają gęsi, tam kwiczą przeraźliwie świnię i prosięta; kury zachowują się dosyć poważnie, o ile nie zaczepiają ich niegrzecznie, lecz nietrudno o wypadek najpoważniejszej kwoce: tu ją polano wodą nie wiadomo za co, a może i nie wodą,— tam upuszczono na nią jakieś drągi; — ludzie są gburowaci i niezgrabni.

A tam znów martwy towar: narzędzia rolnicze, kosy, sierpy, grabie, widły, motyki, łopaty, statki gospodarskie, kobiałki¹⁾ i kosze; przyodziewek: buty, chusty, perkaliki, stroje różnobarwne; wstążki powiewają z wiatrem; błyszczą obrazki w połocistych ramach; paciorki, świecidełka nęcą oczy dziewcząt, które patrzą na nie ze szczerem zachwytem.

¹⁾ Kosze z łyka plecione.

Alé niewiele można kupić takich skarbów!

Nie brak i spożywczych zapasów: chleb, bułki i kukiełki ¹⁾, cukierki, jakieś ciastka i pierniki, owoce i jarzyny,— masło, jaja i sery. A tam garncarz rozłożył kruchy towar: misy, garnki i rynki, piszczące kogutki i figlasy ²⁾ Tam żelazne wyroby — któżby wyliczył wszystko?

I porządek jakiś dziwny, „przeplatany”.

II.

Władzio co chwila upatruje miejsca, żeby przystanąć i szkicować³⁾ typy i sceny. To mu się wszystko przyda do przyszłych obrazów. Teraz usiadł na jakimś wozie i rysuje. Jedni się śmieją z niego, drudzy patrzą z ciekawością, lecz on na to nie zważa: co chwila coś nowego go pociąga, czego nie widuje w Warszawie.

Zosia i Kazio z zapałem kupują; takby chcieli obdarzyć wszystkich swych przyjaciół, z którymi rozstaną się wkrótce. Andzia im towarzyszy i kupuje także, ale chciałaby skończyć z tem co prędzej i powrócić do domu. Nie mówi tego, lecz w duszy żałuje, że przyjechała na jarmark. Co tutaj ciekawego i co za przyjemność? Zaduch, kurz, tłok, i po co na to patrzeć? Czy to piękne?

— Nietylko piękne rzeczy poznać warto — perswaduje⁴⁾ jej Władzio. — To bardzo zajmujące.

Władzio pewno ma słuszość, ale cóż? Andzia woli być w ogrodzie, niż w zakurzonej, spracowanej ciżbie ⁵⁾. Pomagałaby ludziom chętnie, lecz zdaleka.

Zosia inaczej czuje: różnaitość ją bawi, zgiełk podnieca wesołość, lada drobnostka pobudza do śmiechu. Tutaj chłopci targują krowę, która patrzy na nich wielkimi oczyma, jakby chciała wyrozumieć, co ją czeka; tam gospodyni siadła obok stołka, który jej ktoś odsu-

¹⁾ Bułki podługowate. ²⁾ Cacka. ³⁾ Rysować ogólny zarys.
⁴⁾ Przekłada, tłumaczy. ⁵⁾ Tłum.

nał; innej kaczką z ręki uciekła i maszeruje pod nogami ludzi; jedna cieszy się, druga wyrzeka.

W koszyczku Zosi aż się mieni od paciorków, obrazków i wstążek; Kazio wybiera co lepsze koziki, rzemienne pasy, biczyska i sznurki, znalazł także kilka książeczek, wydał wszystkie pieniądze i jeszcze pożyczył od Władzia.

Ba! kupowałby i droższe rzeczy, gdyby tylko miał za co.

A tymczasem spotkał dwu towarzyszy i razem obchodzą cały jarmark dokoła: oni najlepiej pokażą mu wszystko, co dla nich tu zajmujące i ciekawe; Kazik dzieli ich wesołość i zachwyty.

— To są *prawdziwi* ludzie — mówi Władzio, — nie po-przebierani, jak w mieście. Szkoda, że wracać trzeba.

— Co ja jestem? — pyta Andzia sama siebie, siedząc cichutko na trzęsącym wozie, który szybko pomyka drogą. Wszyscy rozmawiają swobodnie, wesoło, śmieją się, zadowoleni z nowych wrażeń, a ona nie znalazła tam nic przyjemnego.

Smuci ją to i chciałaby brak serca dla jarmarku wynagrodzić troskliwością o rodzeństwo: wybrała najgorsze miejsce, szal ciepły oddała Zosi, serdaczek Jan-kowi, piastuje sprawunki Kazia, dosyć ciężkie, i przyrzeka Władziowi, że po powrocie do Warszawy będzie podług jego wzorów szyła przez całą zimę stroje ludowe, chociażby dla lalek, lecz z zachowaniem wszelkich cech odróżniających w ozdobach, barwie i kroju.

Jeżeli nie jest dobrą, będzie się starała być chociaż pożyteczną.

Jakie były upodobania każdego z tych dzieci? Które ci się najbardziej podoba? Co to jest jarmark? Czy byłeś kiedy na jarmarku i jeżeli byłeś, co na nim widziałeś?

Napisz w zdaniach: wrzawa, hałas, zgiełk, wrzask, szwargot, krzyk, harmider.

152. W r ó b e l.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,
Ledwo się dotykał ziemi,
Tak był zhardział; rozumiał bowiem, iż nad niego
Piękniejszego
Natura wydać nie zdoła,
Nietylko wróbla, ale i sokoła.
Gdy więc wszystkimi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:
— Kto jest pierwszym wśród wróbli, nie jest pierwszym
[z ptaków.

I. Krasicki.

Jaki był ten wróbel?

Wymień wyrazy podobnego znaczenia, co: zrozumiąły.

153. Walenty Wąs.

Walenty Wąs był sobie chłop, jakich wielu, ale
chwat¹⁾, jakich mało.

Stefan Batory zwołał szlachtę na wojenkę, a Walenty
wskok bieży do swego dziedzica.

— Wielmożny panie, weźmij mię z sobą na tę po-
trzebę²⁾ — rzecz. — Mam-ci ja zdrową rękę, a jak mi
dacie jaką taką szablinę, nie pożałuję trudu, a skropię
Moskala jak się patrzy.

Podobało się to dziedzicowi, odpowiedział:

— Dobrzeby to było, mój Walenty, ale co to będzie
z twojem gospodarstwem a żoną?

— Wielmożny panie, pierwsze wezwanie królewskie
na obronę kraju, niż żona i gospodarstwo. Jużbym nie
wytrzymał w domu i muszę, jako drudzy, iść na wojnę.

— Tęgi z ciebie człek! — rzecz dziedzic — pójdz-
że sobie do stajni i wybierz konia dziarskiego; znaj-

¹⁾ Zuch. ²⁾ Wojna

dzie się i szablica, będzie co na drogę i do torby włożyć.

Pokłonił się Walenty Wąs panu do kolan i pobiegł co żywo do stajni, a nie minęła godzina, już siedzi na ognistym koniu i na wojenkę jedzie. Wąs mu się najeżył, czapka przekrzywiła, a szablisko brzęczy o żelazne strzemię.

Król Batory pędzi przed sobą Moskali, za królem ciągnie rycerstwo, żołnierze, a Walenty jest między tymi, co z samego przodu lecą. Moskał uchodzi, aż zatrzymał się w wielkim mieście, opasanem murem grubym a wysokim.

— Tu się nie damy! — powtarzają sobie — za murami nic nam i król Stefan nie zrobi.

Otoczył król Stefan miasto, ale mury grube, trudno je będzie zdobyć.

Suną zewsząd królewscy wojacy pod mury, a Walenty Wąs między piechotą idzie z toporem w rękę i zapaloną pochodnią.

— Hej, nie kryjcie się — krzyczy — za murami, ale wychodźcie w pole, jak się patrzy, bo was jak lisów z nory wykurzimy.

Lecz żołnierze moskiewscy na tę mowę nie zważają, nabijają strzelby, armaty i palą do wojsk królewskich. Świsnęły kule raz, drugi i setny, aż jedna dojechała Wąsa w prawą rękę. Zachwiał się na minutę, ale wnet większym gniewem się zapalił.

— Ha! — krzyknie — czy myślicie, że tylko jedną mam rękę?

I skoczy naprzód, położy pochodnię pod wrota, chwyci topór lewą ręką i rąbie wrota na drzazgi, żeby się lepiej zajęły, — aż buchnęły wreszcie płomienie. Próżno nieprzyjaciół broni się i strzela, rąbie, spycha z wałów i kłuje, nasze wojska nie ustępują, wałą w płonące

blanki¹⁾ i wdzierają się na nie. Wąs z ręką przestrze-
loną wszędzie pierwszy.

Aż poddało się miasto i ustała bitwa. Król Stefan
między szeregi jeździ na siwym koniu, dziękując
najprzód Panu Bogu za zwycięstwo, a potem żołnierzom
swoim za waleczność. Nagle przystanął przed Walen-
tym Wąsem i spojrzał nań jasnym wzrokiem.

Widziałem cię — powiada — podczas bitwy zawsze
pierwszego pomiędzy drugimi; widziałem, jak cię kula
uderzyła, a raniony szedłeś naprzód i bramę podpaliłeś.
Jak się nazywasz?

— Walenty Wąs.

— Szlachcic, bratku?

— Chłop, miłościwy panie.

— Odtąd jesteś szlachcicem, jak ja królem, boć
żaden lepiej od ciebie ziemi swojej bronić nie może.

Walenty ze wzruszenia i przemówić nie mógł, więc
tylko nisko skłonił się królowi, który tak dalej mówi:

— Kto ma siłę i odwagę bronić swego kraju, kto za
niego krew przelewa, nie żałując jej dla ojczyzny, szla-
chetną ma duszę, więc szlachcicem jest. Takich mi
właśnie rycerzy potrzeba. Herb²⁾ i ziemię ci nadam po
skończonej wojnie.

Tak mówił król Batory, a rycerstwo zawołało wiel-
kim głosem:

— Niech żyje król Batory! Niech żyje brat nasz,
Walenty Wąs, dzielny rycerz i obrońca kraju!

Co to znaczy: szlachcic, mieszczanin, chłop? Czem się zajmo-
wała dawniej szlachta, czem mieszczanie i czem chłop? Co to zna-
czy: stany?

¹⁾ Blanki. — palisada, grube belki, któremi obwarowywano
miasto. ²⁾ Znak szlachectwa.

154. Wesele Jana Zamojskiego.

Każdy naród cześci pamięć zasłużonych mężów, których życie powinno być dla nas przykładem. Do takich mężów należy Jan Zamojski. Służył on krajowi głową i ramieniem, t. j. walczył w jego obronie i prowadził go mądrą radą.

Życie upłynęło mu w boju i pracy, nie miał czasu dla siebie i nie myślał nigdy o własnych przyjemnościach. Gdy trzeba było gromić nieprzyjaciół, szedł zawsze pierwszy, nie żałując zdrowia, nie szczędząc własnych pieniędzy, dzieląc z wojskiem wszystkie trudy obozowe, chłód i głód nieraz, rany i zmęczenie. A gdy nie było wojny, myślał o tem, czego kraj potrzebuje, co dla niego zrobić można. Prócz wielu innych rzeczy, własnym kosztem założył w mieście swoim Zamościu Akademię czyli szkołę wyższą, aby młodzież polska miała się gdzie kształcić na rozumnych ludzi i kochających kraj obywateli.

Król Stefan Batory bardzo cenił Zamojskiego, ufał jego radom, wdzięczny mu był za pomoc w rządach i, chcąc okazać, jak go szanuje i kocha, dał mu za żonę własną synowicę, Gryzeldę Batorównę. Żebyśmy mieli wyobrażenie, jak wówczas odbywały się weselne gody, posłuchajmy opisu tej uroczystości przez współczesnych świadków.

Na weselu był król, królowa Anna Jagiellonka, wielu książąt i posłów cudzoziemskich, senatorowie i biskupi. Tydzień trwały uroczystości i obrzędy, a przez drugi tydzień pan młody w swoim już zamku wyprawiał przenosiny. Podczas tych przenosin były na rynku krakowskim „gonitwy”, to znaczy, iż rycerze walczyli z sobą tępą bronią, dla okazania siły i zręczności; a potem „maszkary”, czyli pochód masek w malowniczych i oryginalnych

nalnych kostjumach¹⁾. Król z królową i dwór cały patrzyli z okien na to widowisko.

Najpierw jechał na wozie pozłocistym jeden z możnych panów, przebrany za Murzyna, z całym dworem, w bardzo kosztownym stroju, a 8 trębaczy, też w murzyńskich szatach, trąbiło, stojąc na wozie.

Dalej szedł słoń ogromny, na którym była wieża, a z niej wyrzucano sztuczne ognie i rakiety.

Potem ukazał się wóz, ciągniony przez 24 godziny: 12 godzin były to dzieci biało ubrane, idące z prawej strony, a z lewej szło 12 w czarnych sukniach, usianych srebrnymi gwiazdami; wszystkie miały na głowach zegarki. Na wozie siedział Saturn, pogański bóg czasu, z siwą brodą i kosą w ręku, a za wozem szło Słońce i Miesiąc; wszystko to połączone srebrnymi łańcuszkami dla okazania, że stanowią jedną całość.

Następnie wyjechał wóz, ciągniony przez 3 orły, osłonięty białym obłokiem (z waty i bawełny). Na wozie siedział Jowisz, pogański władca nieba i piorunów, i rzucał błyskawice. Skutkiem tego zapalił się obłok bawełniany, i sam Jowisz uciekać musiał.

Teraz ukazała się najwspanialsza część pochodu: na Rynku stanęła brama triumfalna, a z niej zaczęło występować wojsko: piechota, trębacze, chorągwie, jazda i rycerze różnych pułków, giermkowie²⁾ i chorążowie³⁾, dalej trzy wozy wojenne, oznaczające trzy lata wojny, na nich wieziono podobizny zamków i miast zdobytych, zbroje i łupy wielkie. Ziemia Inflancka występowała w postaci kobiety z wieńcem zielonym na głowie,— potem wóz olbrzymi w cztery białe konie, otoczony niewolnikami i więźniami z ostatniej wyprawy, — wreszcie

¹⁾ Ubiorach. ²⁾ Młodzieniec, noszący oręż za rycerzem. ³⁾ Niosący chorągiew.

muzyka. Dokoła szły kobiety, niosąc lampy, w których płonęły wonności, — straż pochodu puszczała na cisnący się tłum strugi wody, zaprawionej pachnidłami.

Długo jeszcze ciągnął się ten wspaniały korowód ¹⁾, — dopiero z zapadnięciem nocy rozeszli się znużeni i zachwyceni widzowie, i opustoszał znów krakowski Rynek, świadek odwieczny tylu chwil wielkich, pięknych i szczęśliwych.

Kto był Jan Zamojski? Co o nim wiesz? Dlaczego szanujemy jego pamięć?

155. W e s e l e.

Od zapiecka do zapiecka
Idzie droga mazowiecka,
Od komina do komina
Na skrzypeczkach Stach wyrzyna!

Równem polem granie leci,
Wyszły na próg ze wsi dzieci,
Równem polem, niskim gajem:
— Kasię dzisiaj za mąż dajem!

— A któraż to panna młoda?
— Buzia u niej jak jagoda,
Gorset cudnie wyszywany,
Wianek rutą ²⁾ przewijany.

— A i któryż to pan młody?
— Ustąp z drogi! Nie mąć wody.
Trzos ³⁾ skórzany, ręka w biodra,
A u czapki wstążka modra!

¹⁾ Pochód. ²⁾ Roślina polna, używana przez dziewczęta na wianki. ³⁾ Trzos—worek skórzany nakształt pasa, do pieniędzy.

Na basetli Roch wygrywa,
Śliczna druchna cienko śpięwa,
Klaszczą swatki i z paradą
Drabiniastym wozem jadą.

M. Konopnicka.

Co znaczą wyrazy: ślub, wesele, oczepiny?

156. Szlachetna pomoc.

Pewnego wieczora w ogrodzie wiedeńskim biedny inwalida grał na skrzypcach, a wierny pies jego trzymał kapelusz do którego kiedyniekiedy ktoś z przechodniów rzucił kilka groszy. Ale czas był brzydki, spacerujący spieszył do domu, i pieniędzy w kapeluszu zebrało się niewiele.

Jakiś pan, elegancko ubrany, słuchał i ze współczuciem przyglądał się smutnej i wychudłej twarzy staruszka. Gdy ten, zmęczony, położył skrzypce na kamieniu i, ukrywając twarz w dłoniach, zapłakał, ów pan zbliżył się, dał mu złotą monetę i rzekł:

— Pożycz mi, proszę, skrzypiec.

Inwalida dał skrzypce, nieznajomy nastroił je starannie i powiedział:

— Bierz pieniądze, a ja będę grał.

I zaczął grać.

Przechodnie, których uderzyło wejrzenie i talent artysty¹⁾, stawali i słuchali. Liczba ich wzrastała. Wkrótce nie tylko miedź i srebro, ale i złoto sypać się zaczęło do kapelusza, który pies teraz z trudnością mógł utrzymać. Ktoś z publiczności zaproponował staruszkowi, aby wsypał pieniądze do torby. Kapelusz znów się napełnił.

¹⁾ Człowiek, znający jedną ze sztuk pięknych i władający nią doskonale.

Artysta zagrał melodję narodową, której wszyscy słuchali z odkrytymi głowami. Gdy skończył, położył skrzypce na kolana inwalida i zniknął w tłumie.

— Kto to jest? — pytano zewsząd.

— To znany skrzypek! — zawołał ktoś z tłumu — trzeba, żebyśmy teraz spełnili nasz obowiązek względem starego żołnierza.

Jeszcze sypnęły się datki. Staruszkowi znów popłynęły łzy z oczu, ale teraz były to łzy wdzięczności i ukojenia.

Jak nazwiesz tego artystę?

157. Nasza szkapą.



I.

Naszą szkapę niezmiernie kochaliśmy. Jak tylko zapamiętam, na świecie zawsze był ojciec, matka i szkapą. Felka potem dopiero bociany przyniosły, Piotrusia także, ale szkapą należała do rzędu tych istot, które są zawsze. Są, bo są. Wyobrazić sobie poprostu nie mogłem ani jej początku, ani też końca. Szkapą należała do nas, a my do niej; ani my od niej, ani ona od nas nie mogła się odłączyć. Było to tak naturalne, że m zgoła nie pojmował innego porządku rzeczy. Kogoby nam brakło w naszej gromadce, toby brakło, ale nigdy szkapy. Toć to była cała nasza uciecha.

Kiedy ojciec do domu wracał, wybiegaliśmy — gdzie! aż na pół drogi, byle prędzej szkapę zobaczyć. Co który miał, to jej niósł i do pyska wtykał: kawałek chleba, ziemniak, znalezioną w podwórzu skórkę cytryny.

I szkapą nas kochała bardzo. Zdaleka już rżała ku nam i przyspieszała kroku, strzygąc radośnie uszyna; a kiedyśmy ją po szyi, po bokach klepali, rozumiała wybornie tę pieśczętę i, zwiesiwszy łeb swój ciężki, skubała nas po włosach, po kurtkach. Piotruś zwłaszcza

był jej ulubieńcem: poprostu rżała na ojca, żeby go wzięła z sobą.

II.

Kiedy ją ojciec wyprzęgał, zaczynała się dopiero heca¹⁾! Natychmiast Felek wskakiwał na jej grzbiet kościsty, od starego chomąta obtarty, i kiedy szkapą zanurzała swój łeb ogromny w głębinach uwiązane go u jej karku worka z chudą sieczką²⁾, on, przykleknawszy na jedno kolano lub stanąwszy na jednej nodze, wywijał czapkę i krzyczał:

— A to jest sławny jeździec z suteryny, co nigdy nie traci³⁾ miny. Nazywa się Feliks Mostowiak, herbu⁴⁾ gnat! Je⁴⁾ chudy, ale chwyt! Kto da więcej?...

Na to: „kto da więcej“ — wybuchaliśmy tak piekielną wrzawą, że aż ludzie wybiegali z oficyn.

Po Felku gramolił się na szkapę Piotruś, aleśmy go ledwie podsadzić mogli, tak go przeważała rozdęta brzuszyna. Szkapę z Piotrusiem oprowadzaliśmy w triumfie po podwórzu, nie dając jej spokojnie sieczki owej spożyć, a Felek znów wywijał czapkę i wrzeszczał:

— A to jest Piotruś, herbu szczur! Ma dwie łaty i osiem dziur! Dwóch zębów nie ma na przedzie i na szkapie jedzie!... Kto da więcej?...

Skąd on tu „kto da więcej“ przyczepił, nigdym odgadnąć nie mógł. Felek sam utrzymywał, że to już tak jedno do drugiego pasuje. I znów wybuchaliśmy szatańską wrzawą, jakby nas nie trzech, ale ze trzydziestu było.

— Przypatrza się, moi ludzie — mówiła, stojąc we drzwiach, tłusta sklepikarka, — co też te bestje chłopaki Mostowiaków wyprawiają z tą kobyłą! A toć to czyste małpy z „meranzierji“⁵⁾.

¹⁾ Przedstawienie, widowisko. ²⁾ Rznęta słoma. ³⁾ Znak rycerski. ⁴⁾ Wyraz gwarowy, znaczy: jest. ⁵⁾ Przekręcono z „menażerji“.

I chwytając się za boki, trzęsąc się od śmiechu, aż jej oczy w tłustej twarzy zupełnie zginęły.

— O, batem, batem! — skrzeczała ojcu, albo: „powiem mamie“, albo: „powiem szkapie“. Tej pogroźki nie lekceważyliśmy bynajmniej, i często gęsto dostał Piotr jakiś kasek, szczególnie od Felka, byle tylko „nie powiadał szkapie“.

Nie mogliśmy bowiem znieść, kiedy patrzyła na nas smutnie jednym okiem, kiedy na drugim, ślepem i zbiełałem, powieka o siwej rzęsie podnosiła się i opadała zwolna, jak gdyby z wyrzutem.

— Słyszysz Wicek?—mawiał Felek—co ta szkapatakiego w tem ślepiu ma, co tak świdruje?.. A tobym ci wołał, żeby mnie ojciec paskiem przemierzył, niż kiedy ona tak patrzy... Do samego ci „honoru“¹⁾ człowiekowi sięga...

III.

Szkapę czyściliśmy codzień. Ale nigdy nie obeszło się przytem bez bijatyki o szczotkę i zgrzebło. Cośmy jej wtedy sierści nadarli! cośmy naplatali grzywę! Stała jednak szkapą cierpliwie, zmrużywszy zdrowe oko, i tylko kiedy niekiedy machała wypętlonym²⁾ ogonem, jakby się oganiała od baków.

Zaraz po Wielkanocy zaczynało się pławienie szkapy. Jeszcze woda zimna była jak lód, a my już zawijamy porcięta i dalej do rzeki! Jaki to był triumfalny pochód! Chłopaki z całej ulicy chcieli z nami lecieć, aleśmy ich odpędzali biczem.

Dopieroż szkapę wodą chlustać, dopieroż jej pęciny³⁾ i boki wycierać, dopieroż jej wygwizdywać, jakeśmy to

¹⁾ Zamiast: honoru (w znaczeniu sumienia). ²⁾ Pozbawiony włosów, spłowiały. ³⁾ Część nogi przy kostce, nad kopytem.

u ojca słyszeli. Największa bieda była, kiedy szkapa, dla uwolnienia się od nas i naszej opieki, kilka kroków w wodę dalej poszła.

— Utopi się! utopi! — wrzeszczał Piotruś i aż siniał i przysiadł na ziemię, obu się rękami brzucha własnego trzymając. Brnęliśmy tedy po nią i za ogon ku brzegowi ciągnęli, poczem zziązani, zmęczeni, wracaliśmy do domu, szkapa naprzód, my za nią, mokrzy, ociekający wodą, jak topielcy.

M. Konopnicka.

Jak można powiedzieć zamiast: szkapa?

158. Dwa żółwie.

Nie żałując sił własnych i ciężkiej fatygi¹⁾,
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi.
Nim połowę do mety drogi ubieżeli,
Spektatorowie²⁾ poszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka:—Lepiej się pogodzić:
Pierwej niżeli biegać, nauczcie się chodzić.

I. Krasicki.

Jaka myśl zawarta w tej bajce?

Co znaczy spektator?

159. Stefan Czarniecki.

Ni z soli, ni z roli, lecz z tego, co boli³⁾,
Zasłynął Czarniecki w narodzie;
Na trudy wytrwały, wśród szczęścia wspaniały,
Odważny w chwil ciężkich przygodzie!
Choć w dworku drewnianym, pod dachem słomianym,
W bielonej komnacie się rodził,
Po bojów plon krwawy, do zwycięstw i sławy
Książętom i panom przewodził.

¹⁾ Trudu. ²⁾ Spektator — widz. ³⁾ Nie z posiadania żup (kopalni soli), ani włości (dóbr), lecz z ran w służbie Ojczyzny.

Jak w mrozach północy wziął pierwszy hart mocy
Wśród chwały zwycięskich zapasów ¹⁾;
Tak ufny i wierny, miłością pancerny ²⁾,
Nie ugiął się w trwodze złych czasów.
A w służbie ojczyzny nic rany, nic blizny,
Nic postrzał nie boli go srogi:
Choć strugą krew płynie ³⁾, on pyta jedynie,
Czy Polska złamała swe wrogi.
I kiedy kraj cały wśród krwawej nawały ⁴⁾
Pod szwedzką się chyli przemocą,
On ducha nie traci: ukrzepia współbraci,
Aż łaska zstąpiła z pomocą.
Od Jasnej to Góry, jak słońce z za chmury,
Błysnęła nadzieja i wiara;
A męstwo i siła wraz z niemi wróciła,
Odwaga wróciła się stara,
I rycerz wytrwały w tryumfie już chwały
Zgromione rozpędza precz wrogi;
A kiedy w pogoni kord zadrżał mu w dłoni,
Toń morska nie zwróci go z drogi.
Lecz ciężkie to czasy, i krwawe zapasy
Wzywają do domu rycerza,
A wiek go nie łamie, nie nuży się ramię,
I serce młodzieńczo uderza.
Wtem, kiedy zwycięski przez trudy, przez klęski,
Stawiszcza gród stary zdobywa,
Twarz blednieć zaczyna, i widzi drużyna,
Że głowa pochyla się siwa.
Więc smutni go męże, złożywszy oręż,
Do chaty wieśniaczej unoszą:
A króla posłowie na słomy wezgłowie
Hetmańską buławę ⁵⁾ przynoszą.

¹⁾ Walka. ²⁾ Zbrojny. ³⁾ Pod Monasterzyskami, gdzie kula rozerwała mu podniebienie. ⁴⁾ Najazd, zalew. ⁵⁾ Znak władzy hetmańskiej.

Wśród śmierci już cienia błysk smutny spojrzenia
Z pod drżącej mu strzelił powieki;
Wtem zarżał koń wrony¹⁾, bohater strudzony
Snem cichym zadrzemał na wieki.

Marja Ilnicka.

Z kim walczył Stefan Czarniecki? Opowiedz, co wiesz o nim,
Czy można go nazwać bohaterem?

160. Szturm do Częstochowy.

Ledwie słońce zabłysło na niebie, rozpoczęła się walka: pierwsze zagrały działa²⁾ szwedzkie. Nieprzyjaciel nie myślał zrazu uczynić w murach wyłomu, by przezeń do szturmów się rzucić; chciał tylko przerazić, zasypać kulami kościół i klasztor, wzniecić pożary, podruzgotać działa, pobić ludzi, rozszerzyć trwogę.

Na mury klasztorne wyszła znów procesja, bo nie tak nie ukrzepiało walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawicę, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersi starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągało się nad klasztorem i kościołem.

Co za chwile, co za widok dla ludzi, którzy nigdy nie patrzyli w krwawe oblicze wojny! Ów huk nieustający, błyskawice, dymy, wycia kul, rozdzierających powietrze, straszliwy chichot granatów, szczekanie pocisków o bruki, głucho uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dyłowań³⁾, chaos, zniszczenie, piekło!

¹⁾ Czarny, kary. ²⁾ Armaty. ³⁾ Dyl—gruba tarcica, deska, bal. Dyłowanie — pomost z dyłków.

W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla wpół zduszonych dymem piersi, coraz nowe stada kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stonach twierdzy, kościoła i klasztoru.

— Pali się! wody! wody!

— Na dachy z bosakami¹⁾... płacht więcej!

— Wyżej działo, wyżej!.. Ognia!..

Około południa dzieło śmierci wzmoгло się jeszcze. Zdawać się mogło, że gdy dymy opadną, oczy szwedzkie ujrzą tylko stos kul i granatów²⁾ na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian, obitych kulami, wzbijała się i, mieszając się z dymami, przesłaniała świat. Wyszli księża z relikwjami egzorcyzmować³⁾ owe tumany, aby nie przeszkadzały obronie.

Huk dział stał się przerywany, ale tak gęsty, jak oddech zdyszanego smoka.

Nagle na wieży ozwały się trąby wspaniałą harmonją pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń, i słyhać ją było naokół, słyhać wszędy, aż na baterjach⁴⁾ szwedzkich. Do dźwięku tręb dołączyły się głosy ludzkie, i wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzechotania muszkietów⁵⁾ rozlegały się słowa:

Bogu Rodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!

Tu wybuchnęło kilkanaście granatów; trzask dachówek i krokwi, a potem krzyk „wody!” — targnął słuchem i — znów pieśń płynie dalej spokojnie:

U Twego Syna, Hospodyna,
Ziści nam, spuści nam!...

H. Sienkiewicz.

¹⁾ Bosak—drąg z kolcem i hakiem, osęka. ²⁾ Pociski armatnie, napełnione prochem. ³⁾ Egzorcyzm—zażegnywanie, wypędzanie złego ducha. ⁴⁾ Baterja—szereg dział, ustawionych w jednej linii. ⁵⁾ Muszkiet — rodzaj strzelby.

Co dało się zwycięstwa obrońcom Częstochowy?
Co to jest oblężenie, szturm, działo, dyl, bosak, baterja, muszkiet, egzorcyzm?

161. Obrona Wiednia.

Po wysłuchaniu Mszy świętej, równo ze wschodem słońca, król rozkazał wojsku, aby na koń wsiadało. Uderzono w kotły, trąby i bębny, a zastępy królewskie wychyliły się z lasów i każdy oddział zajął wyznaczone przez króla stanowisko.

Wtem Turcy dają znać dowódcy swemu, wielkiemu wezyrowi, że ukazały się wielkie wojska polskie.

Wezyr Kara Mustafa nie chciał temu wierzyć, wybiegł przed swój namiot, a poznawszy po chorągwiach, że mu prawdę doniesiono, załamał ręce i rzekł:

— O, królu polski, jakżeś mógł panu memu taką krzywdę uczynić!

I ze smutkiem zwiesił głowę na piersi.

Król na ten dzień włożył kontusz sukienny niebieski, żupan biały jedwabny, przepasany złotym łańcuchem, siedział na przepysznym bułanym koniu, który się nazywał Pałaszem, a przywoławszy dowódców wojska, wydał im rozkazy.

Królewicz Jakób, syn Jana III-go, miał na głowie hełm z blachy srebrnej, zbroję na piersiach, szablę u boku, a po lewej stronie pod siodłem długi miecz oboieczny.

Król wydał naprzód rozkaz Szczęsnemu Potockiemu, wojewodzie sieradzkiemu, aby on pierwszy uderzył na Turków, na czele swej skrzydlatej chorągwi husarzy¹⁾.

Wojewoda staje na czele: dawnym zwyczajem husarze schylają swe straszne kopje w pół ucha końskiego

¹⁾ Husarze — konnica w zbrojach ze skrzydłami orla lub sępa, odziani lamparciami lub tygrysiemi skórami.

i puszczają się cwałem na Turka. Chrząszczą skrzydła, szumią z fruwaniami długie u kopij chorągiewki, tętnią kopyta, brzęczą zbroje.

Jazda turecka nie dotrzymuje placu, konie spłoszone rozbiegają się na wszystkie strony. Ale wodzowie zbierają rozpierchniętych i uderzają zawzięcie na chorągiew Potockiego. Widząc niebezpieczeństwo ojca, syn jego Stanisław uderza bez rozkazu królewskiego na Turków i obadwaj Potoccy straszną rzeź sprawiają w szeregach tureckich, ginie jednak młody Stanisław.

Mimo rozgromu jazdy, piechota turecka najwaleczniejsza, zwana janczary, zasadziwszy się po winnicach, strzela i strasznie razi Polaków.

Dwa razy zastępy Jana III-go uderzają na okopy — napróżno, za trzecim zdobywają je i kładą trupem wszystkich, którzy im opór stawiali.

Tymczasem dają znać królowi, że niemieckie wojska od strony Dunaju, natarwszy silnie, prawą część obozu tureckiego zdobyły; tedy król mówi:

— Wołajcie mi tu pana Miączyńskiego, niechaj przychodzi ze swoim pułkiem.

Skoro Miączyński przybył, król mu powiada:

— Widzisz waszmość namioty wezyra?

— Widzę, miłościwy królu.

— Tedy idź wasze i zdobądź mi te namioty.

Miączyński dał znak, pułk cwałem ruszył, i już są przy namiotach wezyrskich, nic mu się oprzeć nie mogło, co nie pierzchło — zostało zrąbane szablą, obalone kopytą lub stratowane kopytem.

Wielki wezyr, widząc straszną klęskę swoich, rozkazał rozwinać chorągiew Mahometa, wielką świętość turecką, na której widok zawsze zwyciężali. Ukazanie się tej chorągwi wróciło męstwo Turkom, ale dzielna husarja najwaleczniej obala, chorąży padł, a ową cho-

ragiew zdobyta król Jan potem posłał w darze Papieżowi do Rzymu.

Widząc stratę chorągwi, wielki wezyr, choć mąż waleczny, począł płakać jak dziecię i zawołał chana tatarskiego: „Ratuj nas!“ — a chan na to:

— Wszystko napróżno! gdzie ten szatan, król polski dowodzi, tam opór nie przyda się na nic.

Wezyr raz jeszcze próbuje bitwy, ale gdy najwaleczniejsi polegli, sam uchodzi na bystrym koniu.

Tymczasem król, widząc, że Turcy uchodzą, a nikt im od strony Wiednia nie tamuje ucieczki, wpadł w srogi gniew i zawołał:

— Chyba nie będę królem, jeżeli nie każę Staremburga powiesić; ma 12 tysięcy wojska, a nie przeszkadza Turkowi uciekać.

Ale gdy król stanął w obozie tureckim, dopiero poznał, czemu Staremburg nie pomaga. Oto połowa janczarów, korzystając z zajęcia wojsk chrześcijańskich, rzuciła się ku murom i chciała gwałtem Wiedeń opanować; dzielny wódz Wiedeńczyków ledwie z największym męstwem odpierał dzikich janczarów, i dopiero ci, gdy ujrzeli, że główna armja pobita, sami poczęli uciekać.

Kiedy król Jan w środku gromił nieprzyjaciół, wojska niemieckie biły potężnie niewiernych po obu skrzydłach. Turcy uszli, a cały obóz stał się łupem chrześcijan.

Zdobyto bogate łupy. Oprócz namiotów, wozów, koni, nabrano mnóstwo szabel, kindżałów w złotych pochwach i sajdaków wysadzanych kosztownymi kamieniami, bogate rzędy na konie, naczynia złote i srebrne z tysiącami przepysznych koni. Turcy, uchodząc, wycinali w pień ludność chrześcijańską, która była w ich mocy.

Na drugi dzień, 13 września 1683 r., król Jan wjechał do Wiednia w triumfie, wysłuchał Mszy świętej, na której śpiewano hymn: „*Ciebie Boże chwalimy!*“ Lud,

wojsko załogi biegło, całując ręce i nogi króla Jana III, zowiąc go swoim wybawicielem. Miasto było bardzo opustoszone, pałac cesarski w gruzach, mury poszczerbione od strzałów; dla samego braku żywności już tylko kilka dni mogłoby się bronić.

Kazimierz Góralczyk.

162. Kartka z raptularza ¹⁾.

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— Ratuju, królu! giną Niemce!
Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom—księżyc w nowiu²⁾,
Naszym działkom—chrzest z ołowiu.
— Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy.
— My siłami niemieckimi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem—knechty³⁾ i rycerze...
Ratuju, królu-bohaterze!
Król się porwał rozgniewany:
— Wara—krzyknął—bisurmany!⁴⁾
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków⁵⁾ waszych śmieci!
Miecz mi dajcie!... Hej, trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!

¹⁾ Raptularz—zeszyt do notatek dorywczych. ²⁾ Znak wiary mahometańskiej. ³⁾ Knecht—piechur niemiecki. ⁴⁾ Niewierni, pogardliwa nazwa mahometan. ⁵⁾ Buńczuk—ogon koński, na drążku zawieszony, służył za chorągiew Turkom i Tatarom.

Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!
Niech husarja skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w rękę,
Luzak¹⁾ z koniem, koń w obłęku²⁾.
Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spoczną, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada.—
Posłyszała Polska króla:
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy:
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!
Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: — Wojna! Wojna!
.
Za trzy zorze i trzy noce
Polska wiara³⁾ Turków grzmoce,
Aż się szcerbi kosa śmierci
Na buńczukach z końskiej sierci...
Grzmiać harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stoją obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzają—jak to Polak bije.
Biały koń się prze pod Janem
Po tem polu, krwią zalanem,
Strzał tureckich błyski chwytą
Na wzniesione w skrach kopyta.

¹⁾ Luzak — sługa obozowy, ciura. ²⁾ Kabłąk nad szyją konia w zaprzęgu jednokonnym, duga. ³⁾ Wierni żołnierze.

Łysa-Góra¹⁾ we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki
Nie do świtu, lecz na wieki.
Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka boki bodzie...
— Hej! na obóz! Naprzód, wiara!—
Poszła koniom z nozdrzy para.
Jak grom lecą, jak grom wałą,
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą:
Koń kopytem, mąż ostrogą.

.

— Naprzód!
Wzięli namiot wroga.
Co miecz puścił, bije trwoga...
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

M. Konopnicka.

Stało się to w r. 1683.

163. Wydra pana Paska.

Drapieżne to zwierzątko, dość już dzisiaj rzadkie, poluje nie tylko na ziemi, lecz i w wodzie, co ułatwia jego budowa nóg i ciała. Zgrabne, zwinne i sprytne, przeważnie żywi się rybami. Pozwala się oswoić, jak to widzimy z Pamiętników Jana Chryzostoma Paska²⁾, szlachcica polskiego, który tak opisuje swoją wydrę:

„Najpierw ze mną sypiała w pościeli, a była tak ochędożna, że nie tylko w pościeli źle nie uczyniła, ale nawet pod łóżkiem nic, lecz poszła do jednego miejsca, gdzie

¹⁾ Kahlenberg pod Wiedniem. ²⁾ Żył za czasów Jana Kazimierza, w w. XVII-ym.

jej stawiono skorupkę. Po drugie—stróż z niej był taki: w nocy, Panie zachowaj, do łóżka przystąpić; chłopcu le-dwie pozwoliła z butów zzuć, a potem już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że się musiałem obudzić, choćbym najteżej spał. W dzień, rozwaliwszy się gdzie-bądź, tak spała, że choć ją na ręce wziął, to oczu nie otworzyła. Tak bestja konfidowała¹⁾ człowiekowi! Surowej ryby, surowego mięsa nie chciała jeść; nawet kiedy w piątek lub w post uwarzono jej kurczę albo gołębia, a nie włożono pietruszki, nie chciała jeść. Rozumiała też, jak owo i pies: „Nie daj ruszać!“ Kiedy mnie kto poszarpnął za suknie, a rzekłem: „rusza“, — to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknie, za nogi, równo z psem, którego też jednego kochała i od niego wszystkiego się nauczyła. Innych psów nie lubiła; jak który do izby przyszedł, zaraz go wycięła²⁾, choćby był i najroślejszy chart.

Przyjechał do mnie pan Stanisław Ożarowski. Miał z sobą charcicę piękną i rzecze do syna: — „Trzymaj tę charcicę, żeby wydry nie zjadła“. — Ja mówię: „Nie turbuj się waść, nie da sobie to zwierzątko krzywdy uczynić, choć małe“. A on rzecze: „Co? waść żartujesz, ta charcica wilka się chwyta, liszka³⁾ jej tylko raz ziewnie⁴⁾“. Jeno cośmy o czemciś poczęli mówić, aż wydra znowu wstała, co mi się układała była pod nogami, idzie cicho po podławiu i zaszła charcicy z tyłu; kiedy ją wytnie przez łydkę, charcica skoczy do drzwi, wydra za nią; gdy już widzi, że niema gdzie uciec, skoczyła na stół, chcąc w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi.

W drodze wielka z nią była wygoda. Kiedy w post jadę gdziekolwiek mimo rzeki, stawu, a wydra była, to i sieci nie trzeba. Zsiadłszy z woza, zawołam: „Robak,

¹⁾ Ufała. ²⁾ Tnąc zębami, wyganiała. ³⁾ Lis. ⁴⁾ Piśnie.

hul, hul!“—to poszła i wyniosła ryby, jakie ta woda miała, jedną po drugiej, aż było dość. Jużem tak nie przebierał, jak w domowym stawie, ale co przyniosła, to bierz, oprócz jednej żaby, bo i te często nosiła. Natenczas i ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasem i gość się pożywił, jak się to trafia, stojąc w jednej gospodzie z kilkoma gośćmi. Takie z nią tylko w drodze było uprzykrzenie, że gdzien jechał, wszędzie się dziwiono, i ludzie kupami schadzali się, właśnie jakby to było co z Indyj przywiezionego“.

Król Jan III, dowiedziawszy się o tej wydrze, prosił usilnie pana Paska, aby mu jej ustąpił. Z wielkim żalem rozstał się szlachcic z ulubionem zwierzątkiem i odesłał je do Wilanowa. Nie miał z niej jednak pociechy Sobieski, bo włączając się po ogrodzie ktoś zabił dla kosztownej skórki.

Do rzędu jakich zwierząt wydra należy? Czem się żywi? Czy przynosi jaką korzyść człowiekowi? Czy dużo jest tych zwierząt?

Jak można inaczej powiedzieć zamiast: ochędożna, wszak, gdziebądź, uwarzono, najroślejszy, liszka, jeno, staw?

164. Marcin Kątski.

Wśród smutnej doli za króla Sasa¹⁾,
Wśród nędz powodzi —
Nagle po kraju pierwsza radosna
Wieść się rozchodzi:
Znowu Podole i Ukrainę
Polsce zwrócono,
I w Karłowicach oddać Kamieniec
Postanowiono.

.

¹⁾ Augusta II.

Przyjechał Kątski¹⁾. Wita go wściekły
Turecki aga²⁾,
Dyplomatycznie³⁾ gniew i nienawiść
W sercu przemaga.
Przy oglądaniu twierdzy wstępują
Do ciemnych lochów,
Gdzie pod ścianami czernieją beczki
Drzemiących prochów.
Ogląda Kątski z oficerami
Groźne piwnice —
Śledzą go pilnie dzikie, płonące
Turka żrenice.
— No, chwała Bogu, — rzecze generał —
Zwycięża wiara:
Znowu powrócisz do swoich panów,
Warownie stara. —
Słyszac te słowa, zaśmiał się Turek...
Trzask... jasność blada...
Na beczkę prochu z ręki pohańca
Lont⁴⁾ nagle pada.
Zdrętwieli wszyscy na groźny widok,
Kątski się wzdryga,
A w mroku z głuchym, ponurym szmerem
Światelko miga.
Ku wyjściu bieży w strasznym popłochu
Pobladła świta⁵⁾...
Nagle generał ku beczce skoczy
I za lont chwyta;
Trzyma go w dłoni, choć kasa,
Do kości parzy,

¹⁾ Do Kamieńca. ²⁾ Dowódca oddziału piechoty tureckiej.
³⁾ Układnie, podstępnie. ⁴⁾ Lont — sznur napojony materiałem palnym, służy do zapalania armat. ⁵⁾ Orszak.

I stąpa dalej z głową wzniesioną
W głąb korytarzy.
Zbladł mściwy aga. Spuścił źrenice
I wbił je w ziemię,
I szepnął cicho: — Giaurze ¹⁾ przekłęty,
Lew w tobie drzemie.

Leon Rygier.

165. Dworskie łowy.

Jak żyję na tym świecie, nic podobnego nie widziałam i już podobno nie zobaczę; jakie te łowy były wspinałe! Wyjechaliśmy o godzinie dziewiątej zrana; aniby nikt nie zliczył mnóstwa sań i koni, nasze jednak były najpiękniejsze i zaraz za królewskimi jechały. Królewicz ²⁾ w myśliwskim stroju zielonym aksamitnym nadzwyczaj pięknie wyglądał. Pojechaliśmy daleko, daleko, za kościół Świętokrzyski: tam, między Szulcem ³⁾ i Ujazdowem, zsunawszy się z góry, na której leży cała Warszawa, jest równe pole ⁴⁾, zwykle zbożem zasiewane; to pole książę Radziwiłł ogrodzić kazał, i to ogrodzeniem prześlicznem, z herbami i napisami. W pośród tego pola wystawiono zieloną altanę żelazną, na wszystkie strony otwartą, rogatkami żelaznymi przeciw dzikiemu zwierzowi obronioną; wewnątrz, jak na dole tak w górze, zielonym aksamitem była wybita, a dno przedniemi krzyżakami ⁵⁾ wysłane. Tam wszedł król z królewiczem, dla przedniejszych panów było miejsce koło altany, niedźwiedziami zasłane, a dla dam i reszty panów amfiteatr, z obu stron ogrodzony; przyległe góry zupełnie okryte były ciekawym ludem. Tem piękniejszy był wi-

¹⁾ Niewierny; tak nazywali Turcy chrześcijan. ²⁾ Karol, książę kurlandzki, syn Augusta III. ³⁾ Nazwa Solca u ludu. ⁴⁾ Dziś Łazienki. ⁵⁾ Krzyżak — gatunek lisa, który ma na grzbiecie pręgi w kształcie krzyża.

dok, iż zostawiwszy plac wolny koło altany, dalej wysadzono drzewami ulic kilkanaście; wysokie sosny wizerunek ¹⁾ prawdziwego lasu przedstawiały.

Ledwieśmy przyjechali i zasiedli miejsca swoje, kiedy za danym znakiem z rogów i trąb myśliwskich, z miejsc, gdzie zwierzęta trzymali strzelcy księcia Radziwiłła, puszczone osiem łośów, trzy niedźwiedzie, wilków dwadzieścia pięć i dwadzieścia trzy dziki. Psy wyuczone napędzały zwierza pod altanę. Ani podobieństwo opisać tego ryku, tej psów i dzikiego zwierza zajadłości, krzyku niewiast, tej całej wrzawy. Król, strzelając z altany, sam ubił trzy dziki; pod wystrzałami królewicza padło kilkanaście zwierza, a niedźwiedzia jednego wziął na oszczep ²⁾, co jest rzadkiej siły i zręczności dowodem; skórę jego będę miała pod nogi! Przeciągnęła się ta zabawa aż do czwartej po południu; rozdawano mięsiwa, ciasta i różne rozgrzewające napoje. Strzelców i strażników księcia Radziwiłła było 84, w barwę jego suto przybranych, ze strzelbą i dzidami. Prawdziwie każdy z łatwością mógł poznać, że bogaty i wspaniały książę królowi swemu ucztę i zabawę wyprawia. Bardzo wiele wierszy polskich i łacińskich napisano na to polowanie.

Jak się dzisiaj zapatrujemy na takie zbytkowne zabawy? Czy to było prawdziwe polowanie? Jaki jest cel prawdziwego polowania? Czy jest dowodem odwagi strzelać z poza żelaznej kraty?

166. Jak to na góralach.

Nasi karpaccy bracia górale
Siedzą w dolinach, co się zwą hale ³⁾.
Pod modre niebo góry się jeżą,
Śniegi tam zimą i latem leżą.

¹⁾ Obraz. ²⁾ Oszczep—drażek z widłami żelaznymi, używany przy polowaniu. ³⁾ Hale—łąki w górach Tatrzańskich.

W nizinach szumią wody rozliczne,
Przy wodach bujne łąki prześliczne;
Po skałach ciemne świerki się chwieją;
Jak zajrzysz ¹⁾, góry w mgłach błękitnieją.
Tak ci tam rażno, tak nie nie trzeba,
Jakbyś naprawdę trafił do nieba!
Chłodne strumienie lecą w doliny,
Szumią po dołach, huczą jak młyny.
Kędyś przed chatą, w ciemnym wąwozie
Wesoły góral beczy na kozie,
Cygan włóczęga brzęczy na dromli ²⁾,
A pies przy nogach, dziwiąc się, skomli.
Nad Morskiem Okiem, nad stawem cichym,
Jest wielka góra, co zwie się Mnichem;
Kiedy w powietrzu ma się na burzę,
To góra we ómie, jak mnich w kapturze.
Ach, na góralach takie śliczności,
Że się przypatrzeć naszej piękności:
Za byłem góral w kawowej guni ³⁾,
Śpiewając, biegnie z toporkiem w dłoni;
Przez lato w górach barany pasie,
A zwierza strzela w zimowym czasie.
Góral nierady w dolinę schodzi:
Z tak pięknej ziemi wyjść się nie godzi.

T. Lenartowicz.

Czy widziałeś kiedy góry? Jakie góry są w Polsce?

167. Pozdrowienie.

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,

¹⁾ Gdzie okiem sięgniesz. ²⁾ Drumla — proste narzędzie muzyczne, na którym gra się ustami. ³⁾ Gunia, cuha — sukmana góralska biała lub brunatna.

Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! nad wzgórze, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinna moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków¹⁾ las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz,
I ludzi wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróc,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj.

K. Tetmajer.

Jakie uczucie ten wiersz wyraża? Czy górale bardzo kochają swój kraj?

168. Orzeł.

Orzeł, królem ptaków zwany, należy do najwspanialszych drapieżników. Ma ciało silnie zbudowane, głowę dużą i dobrze ukształtowaną. Dziób mocny i długi, górna szczęka opatrzona u nasady²⁾ żółtawą błoną, t. zw. woskówką, w której umieszczone są otwory nozdrzy; szczęka ta jest silnie zakrzywiona haczykowato. Oczy wielkie, żywe, głęboko osadzone. Skrzydła szerokie i długie, niektóre bowiem z lotek sięgają aż do końca ogona, a ten jest średnio długi, szeroko i równo ścięty. Nogi silne, aż do palców opierzone. Palce cztery, z których trzy zwrócone naprzód, jeden wtył; szpony wielkie, ostre i silnie zakrzywione.

¹⁾ Świerk górski. ²⁾ Podstawa dzioba w kościach głowy.

Największym i najsilniejszym z europejskich gatunków jest orzeł przedni, dosięga bowiem od 80 do 90 centymetrów długości. Szyja i kark tego ptaka są rdzawe lub płowe, reszta upierzenia białawo-brunatna, ogon najczęściej biały, ciemnobrunatnym pasem zakończony. Ubarwienie jednak tego orła jest zmienne, niektóre osobniki są całkowicie ciemnobrunatne.

Orzeł jest pospolicity w okolicach górzystych, przebywa także w lasach. Najbardziej lubi się osiedlać w miejscowościach, obfitujących w skały strome i niedostępne. Obrawszy sobie pewną okolicę, przez bardzo długi czas trzyma się jej uparcie. Żyje parami, parami też zwykle poluje na zdobycz.

Lot orła jest piękny i majestatyczny, chód atoli niezręczny. Ptak ten ma wzrok doskonały: z wielkiej wysokości spostrzega zdobycz i, upatrzawszy ją sobie, spuszcza się na dół po linii spiralnej¹⁾, zataczając coraz mniejsze koła. Na łup rzuca się nagle i z wielką siłą wpija weń potężne szpony. Napada zające, kuny, jagnięta, lisy i t. p., a także różne ptaki. Połyka wraz z mięsem pióra, włosy, kopyta i t. p. Części te nie ulegają strawieniu, lecz zbijają się w żołądku orła w mniejsze lub większe masy kuliste, które później są zrzucane; to samo spostrzegamy u sów i innych ptaków drapieżnych.

Orzeł zakłada gniazda w puszczech leśnych na wierzchołkach drzew najwyższych, w górach zaś najczęściej na szczytach skał niedostępnych; gniazdo buduje z gałęzi i chróstu, wyściełając je porostami, drobnymi gałązkami i t. p. Jest ono dosyć płytkie, ale średnica²⁾ jego dosięga od jednego do dwóch metrów, więc dochodzi stosunkowo do olbrzymiej wielkości.

¹⁾ W kształcie śruby lub ślimaka. ²⁾ Linja, łącząca przeciwległe brzegi okręgu koła.

Młode pisklęta, okryte gęstym szaro-białawym puchem, są bardzo niedołążne, przez dłuższy czas pozostają w gnieździe, a oboje rodzice przynoszą im pokarm i otaczają je wielką pieczołowitością.

Zrobić rozkład i opowiedzieć. Zwrócić uwagę na dokładność opisu.

Znaleźć wyrazy przeciwnego znaczenia, co: silnie, duży, dobrze, długi, górny, żywy, głęboki, szeroki, koniec; naprzód, ostry, biały, zmienny, pospolity, piękny, dół, nagle, olbrzymi, młody, pieczołowitość.

169. Orzeł i żóraw.

— Witaj—rzekł orzeł—żórawiu, z podróży,
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży;
Usiądź, żórawiu, na bliższych zagonach,
Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach.
Ci, co tak daleko lecą,
Zwykle korzystają nieco;
I z twojej pewnie będziem mieli łaski
Nowe poprawy, nowe wynalazki:
Jak żywność chować,
Gniazda budować,
Wroga unikać.
Jak się czubić... i jak zmykać...
— Stój—przerwie żóraw—stój, stary gaduło!
Cóż ci się we łbie usnuło,
Że się każdy trudzi lotem,
By was uczyć za powrotem?
Przeleciałem cudze kraje,
Bo tak nasze chcą zwyczaje,
A nie po to, by się męczyć,
Wszystko śledzić, siebie dręczyć;
Lecz mądrzej chodzę, rezolutniej¹⁾ krzyczę,
To umiem, tego uczyć ci się życzę,

¹⁾ Śmielej,

A poznasz wkrótce, że te wasze baśnie...
— Nie kończ!—orzeł wrzaśnie—
Niech cię sępy¹⁾ porwą w sztuki
Za te myśli i nauki;
Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,
Kto pamięć o nich na chwilę utracą;
Kto niebaczny ²⁾ na przykłady,
Przynosząc z sobą pozbierane wady,
Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawil—
O jakże wiele jest u nas żórawil!

Aleksander Fredro.

Kogo oznacza orzeł, kogo żóraw? Jakle jest znaczenie tej bajki?

170. Króliki starego Macieja.

Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia, usiadł przed domem i świsnął.
Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął:
Jako narcyzy, nagle wykwitłe nad trawę,
Bielą się długie słuchy, pod niemi jaskrawe
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny³⁾,
Gęsto wszyte w aksamit zielonej darniny.
Już króliki na łapkach stają, każdy słucha,
Patrzy:—nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca, liśmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.
On sam, biały jak królik, lubi je gromadzić
Wkoło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić;

¹⁾ Ptaki drapieżne, żywiące się padliną. ²⁾ Niezważający.

³⁾ Drogi kamień czerwonej barwy,

A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróblów. Spada z dachów krzykliwa hołota.

A. Mickiewicz.

Dlaczego króliki garnęły się do starego Macieja? W jaki sposób należy postępować ze zwierzętami, żeby je oswoić? Do czego tu poeta porównywa uszy królików? ich oczy? darninę?

171. Huta żelazna w nocy.

I.

Huta żelazna w Dąbrowie, widziana w pogodną noc księżycową, robi tak potężne wrażenie, że z żadnym innym widokiem porównana być nie może. Trzy piece, rzędem za sobą stojące, tworzą jakby jedną całość. Zdaleka, w kłębach pary, zdaje się ona być ogromną basztą wielkiego zamczyska. Okalające ją budowle — to jakby tu i owdzie pozostałe zręby po wspaniałych gmachach, dopełniających szkielet rycerskiego grodu. Szeroki kanał, napełniony wodą, otacza mury od strony północnej. Szukasz mimowolnie zwodzonych¹⁾ mostów, po których zbrojne hufce wjeżdżały do tego bajecznego zamku. Tumany mgły układają się w fantastyczne obrazy: złudzone oko widzi w nich wojska skrzydlatych postaci, smoki potworne. A całe zamczysko żyje, chociaż z za gęstych dymów i par życia tego widzieć niepodobna; żyje, bo jęczy, pryska, dzwoni, szczeka, jakby poza tajemniczemi osłonami odbywały się tam zapasy olbrzymów. I wygląda jak słup ofiarny, palący się przez wieki, ciągle, nieustannie. To nie jeden zamek, to sto zamków, tysiąc zamków, wszyscy rabusie znieśli tu ślady swych zbrodni, by je zniszczyć w piekielnem ognisku.

Nagle, od wschodniej strony zaczyna padać deszcz iskier, deszcz ten zamienia się w ognistą kaskadę²⁾; cały

¹⁾ Które można podnieść. ²⁾ Wodospad.

gmach¹⁾ drży, huczy, wstrząsa się, jak gdyby ziemia pochłonać go miała. Trwa to chwilę. Potem przychodzi uspokojenie: ofiara nasyciła potwornego smoka, — spoczywa on pozornie, bo ot! wybuchnął całą rzeką ognia, którą nagle zionął od północy. Rzeka płynie nieprzerwanym prądem, wzbiera, rozlewa się; płomień liże stopy olbrzyma, a olbrzym znów drży, znów szarpie swe wnętrzności i wybucha w górę taką kolumną ognia, że horyzont wkoło zabarwia się czerwono, światło księżyca blednie, i lekkie, mgliste postaci uciekają spłoszone. Potwór wyłania się z oparów i dymów, czar znika... Tak, to tylko huta, wielka fabryka żelaza, nie zjawisko zaczarowane, — a jednak czarowne, po tysiąc razy czarowne! ¹⁾...

II.

Druciarnia jeszcze ciekawszy przedstawia widok. Żelazo, doprowadzone do odpowiedniej cienkości, nawijane bywa na rodzaj motowidła i wyrzucane następnie w formie wielkich wieńców ognistych, które stygną, czekając na zabierające je wózki.

Huta drży, jęczy, dudni, parska. Wieńczą ją w górze płomienie i światła elektryczne, a tu z jej wnętrza wydobywa się naraz tysiąc ognistych węzów, jakby błyskawic, przerzynających powietrze. Biegną one świetlanemi zygzakami w różnych kierunkach. Domyślić się łatwo, że to drut rozpalony. Tak, to drut; a wśród ciemności nie widać robotnika, który dla ostudzenia pochwycił zwój i biega z nim, skręcając na motowidle²⁾. Dojrzyysz tylko nieć płomienną, jak wije się, kurczy, posuwa; za

¹⁾ Huta dąbrowska od tego czasu dużo straciła uroku przez zasypianie okalającego ją od północy stawu i przez wzniesienie budowli, które zasłoniły widok na zlew żelaza. ²⁾ Pałeczka do nawijania przędzy.

nią druga, dziesiąta, setna, we wszystkich kierunkach, załamując się w zygzaki; jest to jakby szalony taniec błyskawic, który się kończy wielkiem ognistym kołem. Kół przybywa, padają z brzękiem na ziemię, zamieniają się w olbrzymie cierniowe wieńce, odrzucane na bok z lekceważeniem; na ich miejsce przyjsć muszą nowe ogniste zwoje, aż i te szernieją kolejno.

Obok znów inna praca. Tu jakąś czarodziejską mają układać księgę. Karty jej zsuwają się z hałasem z walcowni¹⁾, olbrzymie, ogniste, jak wszystko, co z tego pieca wychodzi. Karta za kartą pada na ziemię, podnoszą je robotnicy obcęgami i podkładają pod wielkie nożyce, aby im nadać odpowiednie rozmiary. Nożyce, które lekko i łatwo krają te rozpalone arkusze, są poruszane siłą olbrzymiej maszyny parowej, bo przecinane kartki to żelazne blachy; sądzę, że nawet czarodziej Twardowski nie podjąłby się spisywać swych dziejów na tej rozpalonej księdze, a jednak zręczni robotnicy doskonale radzi sobie umieją z jej pojedyńczemi arkuszami.

Ale jest jeszcze trzeci budynek. Na pozór ciemno tam, i nie widać śladu pracy ludzkiej. Nagle z wnętrza czarnego potwora wysuwa się szereg gadów olbrzymich: pełzając nisko, to kurcząc swe olbrzymie cielska, to wydłużając je naprzód, czołgają się w jednym szeregu, długie, ziejące gorącem, bo całe rozpalone.

To tylko szyny rozpalonego żelaza, które siła pary wypycha z walców; ale szyny, blachy, druty stanowią razem całość tak wspaniałą, że nawet oswojone z tym widokiem oczy dąbrowskich mieszkańców z zachwytem patrzeć nań zwykły.

Z. Bukowiecka.

¹⁾ Walcownia — fabryka, wyrabiająca blachy.

172. S k a r b n i k.

(Opowiadanie górnika.)

I. Górnicy wierzą, iż każda kopalnia ma swojego skarbnika, t. j. ducha skarbów podziemnych, który czuwa nad swem bogactwem i pracującym w państwie jego ludem. Być może nawet, iż wszystkie kopalnie zostają pod władzą jednego skarbnika, o którym też opowiadają wiele podań. Przytaczamy z nich niektóre.

„Skarbnik wygląda jak zwyczajny człowiek, tylko że jedną nogę ma z końskim kopytem; tego każdy nie spostrzeże, a jeszcze w kopalni, gdzie jest ciemno. Czasem to on tylko mignie, jak niebieski ogień, albo zapuka w piętro; a to już zły znak: gdzie skarbnik puka, tam *pewnikiem* ¹⁾ numer ²⁾ się zrabuje ³⁾).

Skarbnik bardzo często pomaga górnikom, jeśli sobie z nich którego upodoba.

Raz było tak. Kuje górnik i kuje, aż mu pot oczy zalewa, a tu wciąż zamiast węgla kamień dostaje, i jednej porządnej bryły nie wyłamał. Wtem z pod ściany wyłazi żaba, wielka ropucha, jak te, co w kapuście siedzą. Jak świat światem, żab w kopalni nie bywa; to też górnik widzi, jako to jest jakaś nieczysta siła, — nie mówi nic, a *no* czeka. A tu żaba do niego ludzkim głosem skrzeczy i przykazuje, że ma tu a tu dziurę wiercić. Prochu ani dynamitu kłaść nie każe, a dziura sama i bez prochu wystrzeliła i odwaliła okrutny kawał węgla. Nie mógł go na wózek włożyć, ale jak żaba podsadziła się pod bryłę, tak bryła hoc! i już jest na wózku; aż się potem na górze dziwowali, skąd taką dużą bryłę wyrąbał. Tak on *tedy* górnik pięknie żabie dziękuje, a ona mu znów mówi, gdzie wiercić dalej; ale prochu to wcale

¹⁾ Na pewno. ²⁾ Część kopalni. ³⁾ Zawali.

nic nie *trza* było brać, bo góra i tak puszczała. Tak pracowali z żabą razem przez cały miesiąc. Jak przyszedł *geldtag* (dzień wypłaty), to żaba mówi do górnika: „Weź taczkę i jedź po pieniądze: powinni ci dać taczkę pełną, a po wypłacie przyjdź z taczką na szyb¹⁾“. Górnik się pięknie skłonił żabie i tak zrobił, jak kazała. Potem wtoczyli taczkę na szalę, a żaba powiada: „Dziel“. Tak on tak dzielił (a były wszystkie pieniądze jednakowe): „To mnie, to tobie, to mnie, to tobie“, — bo już był z tą żabą *spoufały*²⁾, to jej nawet nie *dwoił*³⁾. Aż tu na końcu został jeden pieniądz; tak górnik, niewiele myśląc, a po sprawiedliwości postępując, oddał go żabie. A ona tak powiada: „Jakoś jest człowiek sprawiedliwy, a na grosz nie chciwy, iż się rzetelnie ze mną podzieliłeś i jeszcze ten ostatni pieniądz mi oddałeś, tak ja ci wszystko daruję; będziesz miał tego *śrybła* na całe życie, tylko pamiętaj, żebyś już więcej nie pragnał, pod ziemię nie schodził, bo cię spotka nieszczęście“. Wszystkie pieniądze zsywał skarbnik, to jest niby ta żaba, do taczki, a potem zniknął“.

II. „Był znów raz młody chłopak. Na początek dali mu w kopalni taką robotę, że ładował węgiel na wózki. Ładował—to i ładował, choć do sądnego dnia, ale skarbnik upodobał go sobie i ulitował się nad nim. Chłopak był bardzo grzeczny, przyjemny, a do kopalni tak przystał, że pierwszy do niej zjeżdżał i ostatni wychodził, a na węgiel patrzył, jakby na własne dziecko.

Ulitował się więc skarbnik, i *jak nie stanie* raz przed nim i nie powie: „Chodź za mną!“ A był ubrany jak zwykajny sztygar⁴⁾, i chłopak myślał *se*, że to sztygar, i poszedł za nim. A skarbnik, to jest niby ten sztygar, pyta:

¹⁾ Rodzaj studni, prowadzącej w głąb kopalni. ²⁾ Poufały.

³⁾ Nie mówił: wy, tylko ty. ⁴⁾ Sztygar — starszy górnik, kierujący robotami.

„Masz olej w lampce?“—Mam.—„A chleb masz?“—Mam.—
„To chodź, pokażę ci kopalnię“. I poszli. Doszli do nowego numeru, a tu ściana się rozstępuje, i weszli w sam środek pokładu węgla. I szli tak pokładem, szli i szli, a sztygar pokazywał, gdzie jaka robota, gdzie węgiel najgrubszy, gdzie jaka woda; szli i szli, a chłopak myślał, że dzień cały chodzi, bo wystarczyło mu chleba i oleju w lampie, ale ładny to był dzień, ho! ho! takich dzionków niewiele człowiek naliczy. Nareszcie skarbnik wprowadził chłopca na podszybie¹⁾ i dał mu kartkę ze swoim podpisem, jako mają mu na górze wypłacić za cały czas, co on był pod ziemią; ale przykazał też, aby nie ważył się nigdy do kopalni wracać. Chłopak poszedł i kartkę oddał; tak *starszyczna*, widząc, że skarbnik podpisał, dalej szukać, kiedy taki a taki robotnik jest zapisany. Szukają a szukają i z *ledwością* znaleźli, jako on przed rokiem węgiel na wózki nakładał; tak *dopiero* chłopak poznał, *co sobie* okrągłutki rok pod ziemią siedział. *Starszyczna* okrutnie się *dziwowali* i nie wierzyli chłopcu, ale jak zaczął im opowiadać: tak i tak, gdzie co widział, gdzie węgiel najgrubszy, gdzie kopać trzeba, gdzie woda zaleje, tak zmiarkowali, że to nie jest cygaństwo, *ino* rzetelny skarbnika podpis, i za cały rok pieniądze mu wypłacili. A jakże wypłacić nie mieli, kiedy sami na tem *sprofitowali*²⁾, bo wiedzieli, gdzie czego szukać pod ziemią? Ale chłopak pół roku tylko wytrzymał, potem tak go bez węgla *cnioło*, taką do niego miał ciekawość, że *nijak i nijak* obejść się bez kopalni nie mógł. Aż raz nie wytrzymał i poszedł do kopalni. Ale *ino* co się spuścił, *ino* co z szali³⁾ wysiadł, a tu w szybie mały kamuszek w samą głowę go trafił. Mały był, ale z wielkiej wysokości spadł, to i na miejscu zabił“.

Z. Bukowiecka.

¹⁾ Miejsce, którędy się wychodzi z kopalni. ²⁾ Sprofitowali — skorzystali. ³⁾ Windą.

173. G ó r a l.

Góralu, czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych?
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych,
Góralu, czy ci nie żal?
Góral na lasy spoziera
I łązy rękawem ociera,
I rzekł:—Ha, darmo, kiej trzeba,
Dla chleba, panie, dla chleba!
Góralu, wróć się do hal ¹⁾,
W chacie zostali ojcowie;
Gdy od nich pójdiesz wdal,
Co z nimi stanie się, kto wie?
Czy ci tych starców nie żal?
A góral jak dziecko płacze:
— Och, może ich nie zobaczę!
Ha, darmo, panie, kiej trzeba,
Dla chleba, panie, dla chleba.
I poszedł z grabiami i kosą
W guńce starganej i boso,
Precz poszedł w doliny, wdal —
Góralu, żal mi cię, żal!

M. Bałucki.

Jeśli widziałeś druciarza, to opisz jego ubiór.

174. Góral i górnik.

(Porównanie.)

Sądząc według podobieństwa wyrazów: góral i górnik, możnaby mniemać, iż życie tych ludzi upływa w warunkach przynajmniej zbliżonych, a ich zajęcia są bardzo

¹⁾ Hale — pastwiska w górach.

pokrewne. W rzeczywistości jednak jest wcale inaczej, i wspólne pochodzenie tych wyrazów nie zbliża do siebie bynajmniej górala i górnika.

Zastanówmy się chwilkę nad każdym z nich z osobna.

Góral — to mieszkaniiec gór. Życie jego zastosowane być musi do natury, która go otacza i żywi. Jest ona zwykle piękna i wspaniała, lecz najczęściej uboga. Na znacznej wysokości nie dojrzewa zboże, niema licznych i wielkich osad ludzkich. Więc górala nie wyżywi rola, wydająca najczęściej owies i kartofle, niema blisko ogniska pracy fabrycznej i handlu. Ale za to na pięknych halach bujnie rośnie soczysta trawa, która pozwala mu wypasać stada krów i owiec, i oto jest podstawa jego bytu. Z konieczności pasterstwo stać się musi głównem zajęciem górala, dopomaga on sobie jedynie rolnictwem, z biedy wychodzi nieraz na pracę w niziny, ale do gór tęskni bardzo i powraca, jak tylko może. Potrzeby ma niewielkie, bo o zbytnią wygodę nie dba, więc poprzestaje na małym, a trudzić się nie lubi. Jest dość leniwy do pracy ciężkiej. Za to kocha piękno i lubi je widzieć koło siebie: malowniczo buduje chatę, rzeźbi ją i zdobi, zdobi chętnie strój i sprzęty, ma dużo artystycznego poczucia¹⁾. Oswojony od dzieciństwa ze stromymi ścieżkami, wdziera się na nie zręcznie, nie drży wobec przepaści i śmiało krąży nad nią. Piękne widoki pobudzają go do wesołości, nie lubi się troszczyć o jutro, żyje chwilą obecną, zadowolony z losu swego i szczęśliwy.

Jakże odmienne jest życie górnika! Gór często nie zna on wcale, i nie na wyniosłości prowadzi go praca, ale w głąb ziemi, w czarne, wilgotne otchłanie, którym wydziera skarby, ludzkości potrzebne. Zamiast jasnego słońca, pięknych krajobrazów, widzi przed sobą w czarnej,

¹⁾ Pocucie piękna.

zamkniętej przestrzeni drobne światełka towarzyszków pracy, i nic więcej. Nad nim sklepienie, dokoła ściany, czarne i wilgotne, i cisza, przerywana łoskotem narzędzi, dobywających węgiel, sól lub kruszec. Tutaj pracować musi bez światła, powietrza, narażony każdej chwili na śmierć lub kalectwo.

I ta ciężka i smutna praca nie zapewnia mu dobrobytu: skromnie wynagradzana, pozwala zaledwie na liche utrzymanie, — dziwnem więc nam zdawać się musi, że górnik przywiązuje się do swego zawodu. Jest on odważny i dumny, niebezpieczeństwem gardzi i poleca się Bogu: czuje się czemś wyższem od zwyczajnych ludzi, wie, że nie każdy zdolny jest do takiej pracy. Ma poczucie żołnierza podczas wojny.

Widzimy więc, jak bardzo różnią się od siebie tak bliscy mianem ludzi. Życie górala łatwiejsze, piękniejsze, lecz czyż posępna i surowa postać górnika nie budzi w nas głębszego szacunku i gorętszej sympatji? Wszakże łatwo ocenić, który z nich pożyteczniejszy?

175. Bitwa pod Racławicami.

Po drugim rozbiorze Polski naród porwał się do broni: wybuchło powstanie, a naczelnikiem jego z woli narodu został Tadeusz Kościuszko.

Po ogłoszeniu powstania wyruszył Kościuszko z Krakowa z wojskiem i kosynierami¹⁾, połączył się z oddziałem generała Madalińskiego i szedł na spotkanie wojsk rosyjskich, żeby osłonić Kraków przed ich napaścią. Maszerował w stronę Racławic.

Dnia 4 kwietnia 1794 r. na wzgórzystem polu pod Racławicami, o parę mil za Krakowem, napotkał Kościuszko

¹⁾ Włościanie uzbrojeni w kosy lub piki,

Moskali. O godzinie 3-ej po południu rozpoczęła się bitwa. Piechota i konnica polska ścierały się z nieprzyjacielem żwawo. Moskwa ustawiła 12 armat na wzgórku. Kościuszk^o przypadł na koniu do kosynierów i zawołał: „Zabrać mi, chłopcy, te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód, wiara!“

I puścili się „chłopcy“ pędem tak szybkim, że aż ziemia dudniała, i tylko migały ich stroje barwne, krakowskie, a Moskwa zdążyła jeno dwa razy wystrzelić. Z szaloną odwagą z rozmachem rzucili się kosynierzy na armaty, biorąc je prawie gołemi rękami. Pierwszy dopadł baterji ¹⁾ Wojciech Bartos, włościanin z Rzędowic, wsi z pod Krakowa. Zakrył czapką zapal²⁾ armaty, kanoniera ³⁾ zarząbał i wsiadł na armatę z uciechy wielkiej jak na konia.

Pod wieczór bitwa się skończyła. Moskale uciekli, zwycięstwo było zupełne. Kościuszk^o wobec starszyny i całego wojska pochwalił Bartosa, mianował go oficerem, uszlachcił i przezwiał Wojciechem Głowackim. Cały obóz polski brzmiał okrzykami na cześć Kościuszki, wojska polskiego i kosynierów.

Wielka była radość z tego zwycięstwa w całym kraju, dobra otucha wstąpiła w serca: pokazało się, że włościanin polski tak samo kocha ojczyznę jak szlachcic i równie jak on gotów przelać krew w jej obronie. Pokazało się żeśmy nie tacy znów słabi, że wspólnymi siłami możemy pokonać nieprzyjaciela. Kościuszk^o, żeby pokazać, jak szanuje i ceni stan włościański, przywdział po bitwie racławickiej białą sukmanę krakowską i tak przez cały czas powstania chodził ten nasz wódz ukochany.

C. B.

Co to znaczy kosynier, kanonier, baterja, działo, zapal armaty?

¹⁾ Armaty ustawione w rząd. ²⁾ Otwór w armacie, gdzie się zapala nabój. ³⁾ Żołnierz obsługujący armaty.

176. Marsz pod Racławice.

Maszeruje polskie wojsko
Prosto od wiatraku;
Czerwienią się chłopskie czapki,
Jakby nasiał maku.
Jedzie, jedzie nasz Kościuszko,
Pod nim konik siwy;
Co naczelnik — to naczelnik,
To już nasz, prawdziwy.
Polska dusza w polskim ciele
I w polskiej sukmanie,
Jedzie, wiedzie na Moskali
Krakowskie powstanie.
A lud za nim
Z przyśpiewaniem,
Jak pszczoły za matką...
.
Różni ludzie przychodzili,
Po drodze stawali,
Wedle stanu na Ojczyznę
Co mieli, dawali:
Szlachcic przywiódł konia z rzędem
Od srebra, od złota;
Na wojaka — jedynaka
Niewiasta sierota.
Pokłoniła się do ziemi
Przed starszymi wdowa,
Chciała gadać, rozpowiadać,
Zabrakło jej słowa;
Jedno tylko wymówiła,
Rzęsną łzą zalana:
„Lat szesnaście chłopiec skończy
Na świętego Jana“...

Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery,
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniery.
Idą, idą prostą drogą
Chorągiewki warczą,
Rwą się konie
Ku tej stronie,
Wstrzymać ich nie starczą.
Przypatrzże się, chłopię małe,
Tej polskiej konnicy,
Byś wiedziało,
Jak to śmiało
Patrzą wojownicy;
Jakie konie,
Jakie bronie,
Jaki przyodziewek;
Przeglądaj się polskim twarzom,
Ucz się polskich śpiewek.
Kosyniery —
Naród szczery,
Choć to nie żołnierze;
Ale u nas wszystko żołnierz,
Co broń w rękę bierze.

Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery,
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniery.

Teofil Lenartowicz.

177. Kościuszko i książę Józef.

Wielu bohaterów miała Polska w smutnej chwili, gdy musiała walczyć o życie. Nikt nie zna i nie wyliczy

tych jej wielkich synów, którzy chętnie oddawali krew i życie, by uratować Matkę.

Nikt nie zliczy rycerzy barskich, którzy pierwsi podnieśli oręż za wiarę i ojczyznę.

Nikt nie zliczy rycerzy kościuszkowskich, ani tych tysięcy, które ginęły w legjonach.

Zostało kilka imion mężnych wodzów, a na ich czele zawsze jaśnieć będzie Kościuszko i książę Józef Poniątkowski, których zwłoki spoczęły na Wawelu, między królami.

Tadeusz Kościuszko, syn ubogiego szlachcica, wychowany w szkole rycerskiej w Warszawie, po ukończeniu tejże szkoły wyjechał do Ameryki, aby wziąć udział w toczącej się walce o wolność. Tam zdobył wdzięczność, uznanie i sławę, poczem wrócił do kraju.

Książę Józef, bratanek króla, wychowany w Austrii, ponieważ jego ojciec był tam generałem, został wezwany przez króla Stanisława, ażeby wstąpił do wojska polskiego, kiedy konstytucja 3-go maja ustanowiła stu-tysięczną armję.

W obronie tej konstytucji Kościuszko i książę Józef stanęli obok siebie. Księcia Józefa król mianował głównym wodzem, a choć ten był młodszy i nie miał doświadczenia, Kościuszko chętnie służył pod jego rozkazami.

Gdy król kazał im broń złożyć, żaden nie usłuchał, woleli wystąpić z wojska i wyjechać za granicę. Książę Józef wyjechał w dalszą podróż, Kościuszko pozostał w pobliżu. Polacy już ocenili, że on powinien być wodzem i zwierzyli mu się w tajemnicy, że wbrew królowi walkę o wolność rozpoczną.

Na ich wezwanie przybył Kościuszko nagle do Krakowa i na rynku przysiągł bronić polskiej ziemi do ostatniej kropli krwi.

Na jego głos powstał do walki cały naród: szlachta i chłopci; niejedno odnieśli zwycięstwo, lecz pod Maciejowicami Kościuszko ciężko ranny dostał się do niewoli, i Polacy zostali pokonani.

Księżę Józef też walczył w tem powstaniu, ale Polacy mu nie dowierzali, bo nazywał się Poniatowski i był bratankiem króla.

Wypuszczony z więzienia, Kościuszko zamieszkał w Szwajcarji i żył ze swojej pensji amerykańskiej. Do ojczyzny w niewoli wrócić nie chciał, bo nie chciał być poddanym obcego monarchy. Napoleonowi nie wierzył i nie chciał mu pomagać.

Przeciwnie księżę Józef uwierzył Napoleonowi, że chce wskrzесиć Polskę, i służył mu wiernie, jako jeden z wodzów. Był z nim w Moskwie w r. 1812, nie opuścił go w nieszczęściu, bronił do ostatka i zginął pod Lipskiem, gdzie wraz z Polakami osłaniał odwrót Francuzów.

Raniony kilkakrotnie, ażeby się nie dostać do niewoli, skoczył na koniu w Elsterę i utonął.

Kościuszko przeżył go o cztery lata i umarł w mieście Solurze w Szwajcarji.

Czy wiesz co więcej o tych wodzach? Który ci się lepiej podoba i dlaczego?

178. Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków ¹⁾,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami
Białe z czerwonym proporce ²⁾ migają,

¹⁾ Znaki — tutaj znaczy: chorągwie, sztandary. ²⁾ Chorągwie.

Wstrzęsło się miasto ¹⁾ radości głosami:

„Nasi wracają!”

Niedługa radość! Każdy pyta chciwie:

— Kędyż jest wódz nasz, dzielny, okazały,

Co nam tak długo przywodził szczęśliwie

Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,

Których był niegdyś duszą i ozdobą;

Okryte orły, zbroje wojowników

Czarną żałobą.

Już go nie widać wpośród hufców dzielnych,

Gdzież jest?... Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?

Patrzaj, złożone na marach ²⁾ śmiertelnych

Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,

Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi;

Ciągną go wierni towarzysze boju

Pierśmi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny

Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję.

— Idź, koniu, smutnie! już pan twój bezpieczny,

Zamknął dni swoje!

Patrz, przed świątynią przy światłach gasnących

Porywa młodzież z wozu ciężar drogi

I wnosi wpośród grzmotu dział bijących

W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania

Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;

Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,

Wodzu waleczny!

¹⁾ Warszawa. ²⁾ Nosze dla zmarłych.

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody,
I zamiast słodkich nadziei ziszczenia —
Gorzkie zawody.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi,
Ten napis twarde zachowają głązy:
„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
I żył bez skazy”¹⁾.

Tu żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź twej tarczy,
Pewien, że przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

J. U. Niemcewicz.

Jakim żołnierzem i wodzem był książę Józef Poniatowski? Gdzie zginął?

179. Śmierć Kościuszki.

Tam w Szwajcarów wolnej ziemi
Żył Kościuszko długie lata
I obracał tęskne oczy,
Gdzie rodzinna jego chata.
Z Maciejowic w ranach wzięty,
Ciężką przetrwał on niewolę,
Nim, wygnaniec, w świat iść musiał
Na tułactwo, na niedolę!
A gdy poczuł, że śmierć blisko,
Ujął w ręce miecz swój dumny
I rzekł: — Walczył w świętej sprawie,
Włóżcie ze mną go do trumny!
I na północ spojrział rzewnie,
Twarz mu blaskiem się zajęła,

¹⁾ Bez plamy.

I konając, wyrzekł z mocą:
— Jeszcze Polska nie zginęła!

Jan Sawa.

Gdzie umarł Kościuszko? Dlaczego nie w swoim kraju? Jakie zostawił w Szwajcarji wspomnienie? Jakie znasz opowiadanie z życia Kościuszki?

180. Mogiła Kościuszki.

Kościuszko umarł w Szwajcarji 15 października 1817 r. Zwłoki jego złożono w grobach królewskich na Wawelu i zaczęto zaraz rozmyślać, jakim pomnikiem uczcić pamięć zmarłego wodza, tak drogą dla całego narodu polskiego. Widok odwiecznych mogił Krakusa i Wandy nasunął myśl wzniesienia mu podobnego grobowca.

W trzy lata po śmierci Kościuszki, w rocznicę jego zgonu odbył się uroczyscie obchód usypiania trzeciej mogiły pod Krakowem, na wzgórzu św. Bronisławy. Dzień był pogodny, niebo bez chmur, jasne, w oddali rysowały się wyraźnie Tatry. Całe miasto Kraków, okoliczne wioski i goście ze stron dalszych zajęli wzgórze pobliskie. Z obu stron Wisły brzegi czerniały od ludu, który grzmącym okrzykiem powitał zbliżający się wóz czterokonny, opleciony wieńcem dębowym; na wozie stała skrzynia z ziemią z pod Racławic i szczątkami poległych tam rycerzy. Za wozem postępowało duchowieństwo, biskup, senatorowie, Akademia, profesorowie i młodzież, uczniowie, uczennice, cechy z chorągwiami, wieśniacy w małowniczych strojach i lud nieprzeliczony.

Wśród uroczystej ciszy poświęcono miejsce, przeznaczone na mogiłę; jeden z towarzyszków broni, przyjaciel Kościuszki, wygłosił piękną mowę o życiu i czynach zmarłego, potem zagrzmiały działa i broń ręczna. Przy dźwiękach pieśni bojowej złożono, jako fundament

pomnika, na ziemi racławickiej i kościach rycerzy, marmurową skrzynię z opisem tej uroczystości, życia Kościuszki i jego portretem.

Prezes senatu zawiózł pierwszą taczkę ziemi i przykrył nią święte pamiątki, potem senatorowie, starcy, urzędnicy i dostojnicy państwa ubiegali się o pierwszeństwo złożenia choćby garstki ziemi na mogile. Wożono ją taczkami, noszono w połach sukien albo w rękę. I rosła góra wielka, jak cześć ludu, który w niej wypowiadał swe uczucia.

Urządzeniem i uporządkowaniem nasypu zajęły się następnie gminy, co kilka dni zmieniając się kolejno.

W następnym roku księżna Czartoryska przysłała w czarnej marmurowej urnie ¹⁾ ziemię z pod Maciejowic, którą z odpowiedniami napisami złożono również w kopcu.

Budowę kopca ukończono ostatecznie w roku 1860-ym.

181. A kto chce rozkoszy użyć.

A kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie do wojska służyć,
Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie,
Koledzy go nie żałują,
Jeszcze końmi potratują;
Jakże mają go ratować,
Kiedy muszą maszerować?
Rotmistrz z listy go wymaże,
Wachmistrz trumnę zrobić każe,
A za jego trud i pracę
Hejnał²⁾ zagrają trębacze.

¹⁾ Naczynia, służące niegdyś do przechowywania popiołów zmarłych. ²⁾ Hejnał — pieśń poranna.

Gdy go już w trumnę włożyli,
Trzy razy mu wystrzelili,
Trzy razy mu ognia dali,
Na trębacza zawołali.
Trąbka mówi: „Tratatata,
Ni ja ojca, ani brata,
Ni żadnego przyjaciela,
Tylko Boga Zbawiciela.“
Grudy ziemi zaburczały,
Chorągiewki zafurczały.
Śpij kolego, twarde łoże,
Obaczmy się jutro może;
Śpij kolego, a w tym grobie
Niech się Polska przyśni tobie.

182. S e n.

I.

Widziałem ogromne pole... To była niby wiosna, i skowronki śpiewały, i niebo było takie jasne, czyste... A na polu, jak okiem zajrzeć, jeden był tylko człowiek. Widziałem go doskonale: twarz miał ogorzałą, głowę odkrytą, ręce ciemne, spracowane; odziany był w siermięgę lnianą, a nogi to miał bose. Ten człowiek orał. Dwa siwe woły mozołnie¹⁾ pług ciągnęły, ale oracz, chociaż pot miał na czole, zgarbione plecy, śpiewał przecież pieśń, od której zdawało się, że mu sił przybywa.

Śpiewał w tej pieśni o czarnej ziemi, którą orał, a którą potem zasieje dobrem ziarnem. Śpiewał, jak cała niwa zazieleni się młodem zbożem, jak potem kłosa zaszumią, jak kosą ją zetnie, cepami wymłóci, jak potem chleb będzie z tej pracy... Śpiewał, jak ten chleb

¹⁾ Z trudem.

spożywać będą ludzie i jak nabiorą sił do innej pracy. A kiedy tak śpiewał, to i pług łatwiej szedł w ziemię, i woły raźniej szły, i samemu oraczowi prostowały się plecy schylone... A śpiew jego łączył się z pieśnią skowronka coraz, coraz bardziej, tak, że już potem rozróżnić nie mogłem, co było głosem ptaka, a co głosem człowieka.

II.

Nagle wszystko się jakoś zaćmiło, zmieszało razem, jakiś wichur przeciagnął polem i poniósł tumany piasku. Kiedy wreszcie opadła kurzawa, zobaczyłem, że drogą jedzie rycerz. Ten rycerz miał zbroję, błyszczący pancerz, kolczugę¹⁾, złożoną z drucianych ogniwek, i rękawice żelazne; w jednej ręce trzymał miecz, a w drugiej uzdę. Hełm okrywał mu głowę, na piersiach miał złotą blachę. Koń rycerza także pokryty był zbroją i stapał zwolna, rażno parskając. Rycerz jechał chwilę w milczeniu, a potem zaczął śpiewać. Głos jego był jakby szczęk żelaza i szum skrzydeł wielkich ptaków. Śpiewał o bojach, o zamku swoim, który ochraniać trzeba przed najeźdźnikami, o krzywdach biednych rolników, gnanych w jasyr²⁾, o pożarach, klęskach. A potem śpiewał o zdobyczy bojowej, o sławie. A kiedy tak śpiewał, zdawało mi się, że słyszę okrzyki i wrzawę, i głosy, trąb, i bicie w bębny, i wołanie o pomoc. Aż wszystko nareszcie zagłuszyły dzwony. A kiedy dzwony zaczęły bić, rycerz zdjął hełm z głowy, i ze zdziwieniem ujrzałem, że to był ten sam oracz, tylko jakby zmieniony nieco, w wojennym rynsztunku.

I biły dzwony, daleko, szeroko sławiąc rycerza i jego wielkie męstwo, aż nareszcie jeden z dzwonów pękł, zrobił się huk ogromny, a ja upadłem na ziemię i taki wspaniały obraz zobaczyłem, że coś dziwnego się dzieje.

¹⁾ Zbroja z kółek żelaznych. ²⁾ Niewola tatarska.

III.

Było zupełnie ciemno, ale w tej ciemności słyszałem stuk taki, jakby ktoś kuł w ziemi. Potem błysnęło światło, i zobaczyłem wielkie podziemie, którego ściany, podparte grubymi belkami, błyszcząły odbłaskiem różnych kruszców: tu złoto, tu srebro, tam miedź czerwona, ale najwięcej żelaza. A wpośrodku człowiek schylony kuje i kuje te ściany, a światła coraz przybywa, a z kruszczu добыtego rosną domy, kościoły, wieże—całe miasto. Już podziemia wcale nie widać, już do tego miasta płyną zdala okręty, a człowiek kuje i kuje. Ale nie jest to już kruszec surowy, który dobywa. On teraz kuje różne kółka, sprężyny, a przy tej pracy śpiewa. Śpiewa o bogactwie, dobytem z wnętrza ziemi, o morzach dalekich. o miastach wspaniałych, o narodach, które jedne drugim podają owoce swej pracy. A w miarę jak śpiewał, z głosem jego łączył się huk maszyn, świst pary, łoskot toczących się wozów, plusk wioseł, zgrzyt pił i brzęk pieniędzy.

A kiedy człowiek ten podniósł głowę od swego warsztatu, zobaczyłem, że to znów był ten sam oracz, o którym mi się na początku śniło.

IV.

Takem się tem zadziwił, że aż oniemiałem. A kiedy znów przyszedł do siebie, zobaczyłem wielką, sklepioną¹⁾ komnatę, a w niej mnóstwo książek. Nietylko w szafach i na stołach, ale nawet na ziemi leżały. Ściany tej komnaty ozdobione były ślicznymi obrazami; stały też tam posągi i popiersia z marmuru i bronzu. Tak byłem olśniony przepychem tej komnaty, że dopiero po chwili ujrzałem siedzącego nad wielką księgą człowieka. Czarno był odziany, na głowie miał płaską aksamitną czapeczkę, wkoło

¹⁾ Ze sklepieniem zamiast sufitu.

siebie szkła powiększające, flaszeczki, cyrkle i różne drobne narzędzia, których użytku nie znam. Naraz cudna muzyka rozbrzmiała w tej pięknej komnacie. Był to głos jakby organu, ale łączyły się z nim inne, słodkie dźwięki nieznanym mi instrumentów. Wtedy człowiek podniósł głowę i zaczął śpiewać. Śpiewał o tem, co piękne i dobre na świecie, co mądre i sprawiedliwe. Śpiewał o wielkich mężach, co zbudowali komnatę, malowali obrazy, napisali księgi, wyrzeźbili posągi i dobyli cudne dźwięki z narzędzi muzycznych. A kiedy śpiewał, robiło się coraz jaśniej w komnacie owej, aż w najwyższym blasku ujrzałem twarz jego... Był to jeszcze raz ten sam oracz, tylko że twarz jego była blada, a oczy paliły się ogromnem światłem. Krzyknąłem z zadziwienia i — obudziłem się nagle.

M. Konopnicka.

Dlaczego ten oracz, rycerz, rzemieślnik i uczony miał zawsze tę samą twarz? Co ten sen ma znaczyć?

183. Szlachetna дума.

Na dużym okręcie wielu jechało podróżnych, byli tam Anglicy, Niemcy i Francuzi, płynął też Włoch sierota, mały chłopiec, ubogi i zbiedzony. Odsyłano go do kraju, do krewnych, ale jak go przyjmą?

Smutnie siedział w kącie pokładu i patrzył łakomym wzrokiem na tych, którzy jedli. Był głodny, chudy, blady i w łachmanach.

Bogaci ludzie zaczęli się nad nim litować. Jakiś chłopczyk przyniósł mu kawał chleba z masłem, dziewczynka pomarańczę, jacyś panowie, którzy rozmawiali obok, rzucili kilkanaście sztuk monety.

Uszczęśliwiony chłopiec jadł, co dali, a pieniądze układał przed sobą na ławce i myślał, co z niemi zrobi.

Skoro go wysadzą na brzeg, kupi sobie lepsze ubranie. Nie nowe, ale całe. Będzie miał za co zjeść, nim odszuka krewnych. A może nawet kupi jaki towar i będzie nim handlował na ulicy. Krewni lepiej go przyjmą, jeżeli się zjawi nie z pustemi rękoma.

Wtem głośniejsza rozmowa zwróciła jego uwagę. Rozmawiali obcy panowie, którzy go obdarzyli pieniędzmi.

— Brudny, bo Włoch — rzekł jeden, — oni o czystość nie dbają. Kraj prześliczny, lecz naród brudny, głupi, ciemny.

— Oszusty i złodzieje — dodał drugi, — każdy stara się okpić podróżnego i wyłudzić od niego, co można.

Nagle grad srebrnych i miedzianych monet spadł na głowy rozmawiających. Mały Włoch stał przed nimi, zaczerwieniony, z płonącym spojrzeniem. Rzucił im pieniądze, które mu łaskawie dali, i zdawało się, że szuka wyrazów, żeby wypowiedzieć, co czuje.

— Nie potrzebuję waszych pieniędzy! — zawołał wreszcie. — Weźcie sobie. Powiecie, że was oszukałem, wyłudziłem. To wy jesteście oszusty — i brudni!

Wzruszył ramionami i oddalił się z dumą, choć łzy miał w oczach.

Naraz uczuł, że ktoś go obejmuje, ktoś przemawia do niego.

— Ja cię kocham, mały Włochu. Jestem Polak i kocham cię za to, że bronisz swoich rodaków.

(Myśl z Amicisa.)

Dlaczego mały Włoch rzucił pieniądze, które były mu bardzo potrzebne? Czy ci się podoba jego postępek? Czy powinniśmy bronić rodaków? Czy zarzuty obcych zawsze są słuszne? A jeżeli są słuszne, czy nie mamy obowiązku przypomnieć im dobre strony? Czy jest taki naród, któryby miał tylko zalety? Kto sądzi sprawiedliwie, ten ocenia jedno i drugie.

184. Do obywatela.

Jam jest ojczyzna i niedość mi tego,
Że się nazywasz mym synem,
Masz mi poświęcić siebie całego
I nie zmazać się złym czynem.
Gdy cię zawołam w twardym ucisku
Do wspólnej z bracią roboty,
Niechaj łakomy biegnie dla zysku,
Tobie nagrodą Twe cnoty.
Choćby po wielkiem i trudnem dziele,
Zawsze o sobie sądz mało;
Nie myśl, jak dla mnie zrobiłeś wiele,
Lecz co ci czynić zostało. *F. Karpiński.*

Co to znaczy obywatel? Jakim powinien być obywatel kraju?
Jaka to jest wspólna robota dla kraju? Czy prawdziwy obywatel
pracuje tylko dla zarobku? O czem powinien myśleć, pracując?

185. Historia o dobrym synu.

I.

Ubogi wieśniak miał syna wyrostka, dobrego, pracowitego chłopaka.

Pewnego dnia poszedł wieśniak orać pole daleko od chaty, bo aż za gęstym lasem położone. Odchodząc z pługiem, powiedział synowi, że będzie przed sobą naciął korę na drzewach, i to chłopcu oznaczy drogę, gdy do ojca z obiadem pójdzie.

Kiedy słońko wysoko już wzbiło się na południe, chłopak wziął dwojaki z obiadem, kawał chleba za pazuchę i ruszył żwawo przez las.

Idzie, idzie, a ogląda się po drzewach, żeby nie zbłądzić.

Aż tu w środku najgęstszego lasu ślady na drzewach zginęły.

Jasiek stanął i ogląda się wkoło, wreszcie przeżegnał się i ruszył wprost przed siebie. A tu las gęsty, coraz trudniej iść, krzaki mu podarły ubranie, gałęzie twarz i ręce podrapały. Nareszcie zaszedł w taką gęstwinę, że już ani kroku naprzód postąpić nie mógł.

— Mój Boże! co ja tu pocznę?—biadał chłopak—ojciec tam głodny, czeka na obiad, a to już dawno po południu.

Gdy tak rozmyśla, spojrzy na stronę, aż tu widzi dom ogromny, ukryty do połowy pod gałęziami drzew. Wchodzi więc śmiało na schody, ale zaledwie drzwi uchylił i zajrzał do środka, zadrżał ze strachu. W izbie około stołu siedziało dwunastu ludzi. Wszyscy mieli długie brody i wąsy, straszne oczy, a noże za pasem i miecze u boku.

Jasiek, przerażony, poznał odrazu, że to są zbójcy, o których nieraz słyszał, że się w tym lesie ukrywają. Już chciał zmykać ode drzwi, ale kiedy przypomniał sobie głodnego ojca, zebrał się na odwagę i zapytał pokornie o drogę, któraby go wyprowadziła z lasu. Na to odezwał się najstarszy ze zbójców:

— Już ty stąd, mój chłopcze, nie wyjdiesz, zostaniesz u nas, bo właśnie potrzebujemy posługacza. Biedy nie będziesz miał, ale pracować musisz. Codzień posprzątasz izby, rozpalisz ogień na kominie, a drzwi zamykaj dobrze na tę oto żelazną zasuwę i nie otwieraj nikomu, tylko nam. Ale przedewszystkiem nie waż się otwierać tych drzwi na łyeczko zamkniętych, bo cię nieszczęście spotka.

II.

Zbójcy chwilę jeszcze zabawili i ruszyli do lasu, a Jasiek usiadł w kąciку i zaczął płakać.

— Co ja pocznę, biedny sierota? Jak się tu wydostać z tego lasu? Co też tatulo powie, że mu obiadu nie przyniosłem? On tam głód mrze przeze mnie.

Wtem oczy jego przypadkiem zwróciły się na owe drzwi, łyczkiem związane. Ciekawość go wzięła zobaczyć, co się za niemi znajduje. Obejrzał się dokoła, rozwiązał łyczko i drzwi otworzył.

Ujrzał stajnię bardzo piękną, a przy żłobie ślicznego, karego konia. Koń, zobaczywszy Jaśka, odwrócił głowę i odezwał się ludzkim głosem:

— Siadaj na mnie, chłopcze, i weź te trzy jabłka, które leżą na oknie, a będziesz wolny i szczęśliwy.

Jasiek bez namysłu pochwycił jabłka, skoczył na konia i popędził przez las.

Kiedy wyjechali już z boru, Jasiek obejrzał się za siebie i z przerażeniem zobaczył, że zbójcy gonią za nim.

— Nie lękaj się niczego — rzekł wtedy koń, — rzuć tylko za siebie jedno jabłko.

Jasiek posłuchał, i wnet z jabłka powstał bór gęsty i ciemny.

Rozbójnicy przedarli się przez las i już, już dopędzali chłopca, ale ten rzucił drugie jabłko, i rzeka szeroka rozlała się między Jaśkiem a rozbójnikami.

Zbójcy rzucili się z końmi w wodę, przepłynęli i znów puścili się w pogoń.

Wtedy Janek ostatnie jabłko rzucił o ziemię, i w tej chwili buchnął z tego miejsca płomień szeroki, niepodobny do przebycia. A koń przemówił do Janka:

— No, jesteśmy już uratowani. Widzisz to wielkie miasto, gdzie wieże kościelne? Idź tam, udaj się do zamku królewskiego i przyjmij jakąkolwiek służbę. Kiedy zaś będziesz potrzebował pomocy, przyjdź tu oto do tego zielonego gaju i gwizdnij trzy razy, a wnet się ukażę.

Gdy dojechali nad brzeg zielonego gaju, zsiadł Janek z konia, pożegnał go i ruszył do miasta, do zamku królewskiego.

Wszedł na podwórze i spytał, czy nie potrzebują kogo do służby. Odpowiedziano mu, że właśnie potrzeba ogrodniczka do pomocy. Tego samego dnia jeszcze Janek wziął się do pracy przy królewskim ogrodzie.

Nieraz odtąd, kąpiąc lub podlewając kwiaty, wzdychał sobie cicho. Tęskno mu było do ojca i chaty rodzinnej, ale o powrocie nawet myśleć nie mógł, bo nie wiedział zupełnie, w którą ruszyć stronę, a w tym kraju, gdzie był, nikt mu drogi wskazać nie umiał.

III.

Tak przeszło parę lat. I zdarzyło się, że wybuchła wojna. Król z wojskiem ruszył przeciw nieprzyjacielowi. Jasek radby też poszedł na wojnę, ale mu nie pozwolili, bo nawet broni porządnej nie miał.

Gdy wojsko wyruszyło z miasta, usiadł Janek pod piecem i smutnie się zadumał nad swoją niedolą.

Nagle zerwał się z radością, klasnął w dłonie i pobiegł do gaju. Tam gwizdnął po trzykroć, i wnet ukazał się kary rumak osiodłany, a do siodła przymocowana była cała zbroja rycerska. Jasek ubrał się w zbroję, dosiadł rumaka i popędził na pole bitwy.

Tymczasem wojska królewskie już ustępowały przed nieprzyjacielem, król włosy sobie rwał z rozpaczy, mnóstwo żołnierzy leżało bez życia, inni zabierali się do ucieczki.

Wtem zjawia się rycerz na dzielnym rumaku, cały okryty zbroją, błyszczącą od złota i drogich kamieni. Rycerz ten zbiera żołnierzy wkoło siebie, zachęca do odwagi i sam pierwszy rzuca się na nieprzyjaciół, zwycięża ich i zmusza do ucieczki.

Nieprzyjaciele zwyciężeni, a dzielny rycerz, raniony w rękę, przywiedziony został do króla. Król, wdzięczny

za pomoc, sam zajął się rycerzem i owinał mu rękę swoją chustką. Wreszcie zapytał:

— Czego żądasz, dzielny rycerzu, za ocalenie tego kraju? Mów, czego chcesz, czego pragniesz, a wszystko spełnię.

— Królu mój i panie! — rzekł rycerz, przyklękając — nic nie pragnę i nie żądam, dość dla mnie szczęścia, żem ojczyznę od nieprzyjaciół uwolnił i ciebie, o królu, ocalił.

Rzekłszy to, rycerz powstał, skoczył na konia i zniknął.

IV.

Wesoło i radośnie było na zamku królewskim, gdy powróciły zwycięskie wojska.

O niczem nie mówiono, tylko o dzielnym rycerzu, i dziwiono się, gdzie tak nagle zniknął.

Jasiek-ogrodniczek słuchał wszystkiego, uśmiechał się, ale nic nie mówił i o nic nie pytał.

Na drugi dzień rano ogrodnik przyszedł budzić Jaśka i zobaczyć, że ten ma rękę owiniętą chustką z wyszytą koroną królewską.

— Skąd to masz? — krzyknął z gniewem — pewno ukradłeś!

— Nie gniewajcie się, panie, król sam mi ją darował — tłumaczył się Jasiek.

— To być nie może, chodź do króla, tam się usprawiedliwisz.

Przyprowadzono Janka przed króla, a ten, obejrzawszy chustkę, przyznał, że to ta sama, którą wczoraj owinał rękę nieznanemu rycerzowi. Pojąć tylko nie mógł, skąd ją dostał biedny ogrodniczek.

Jasiek poprosił króla o godzinę czasu, a wytłumaczył się ze wszystkiego. Król pozwolił, a on pobiegł do zie-

lonego gaju, przybrał się w zbroję, dosiadł swego konia i popędził do zamku królewskiego.

Gdy stanął przed bramą, zatrąbił po trzykroć w złotą trąbkę, a straż zaraz dała znać królowi, że dzielny rycerz już się ukazał.

Król kazał bramę otworzyć i czekał na podwórze z całym dworem.

Rycerz wjechał w podwórze i zatrzymał się przy królewskim tronie; zeskoczył z siodła, przyklęknął przed królem, podniósł przyłbicę ¹⁾ i odsłonił twarz, a wszyscy krzyknęli z podziwu:

— To Jasiek, ogrodniczek!

Król, uradowany, podniósł go z ziemi, uściskał i wprowadził do zamku. Przy uczcie na pierwszym miejscu posadził go koło siebie.

V.

Niedługo też odbyło się wesele Jaśka z córką królewską, a zaraz potem Janko królewicz, który już dawno wyznał przed królowną i przed całym dworem, że jest synem chłopca, i opowiedział im swoje przygody,—prosił o pomoc w wyszukaniu ojca.

Wszyscy chętnie zgodzili się na to i ruszyli w drogę. Janek z królowną, swoją żoną, jechał naprzód, a wciąż wołał: „Prędzej! prędzej!”

Jechali długo przez lasy i pola, mijali góry i rzeki, aż nareszcie wjechali do puszczy, gdzie stał dom zbójców, i zobaczyli, że zostali z niego tylko zgliszcza ²⁾.

Gdy zaś wjechali na pole za lasem, zobaczyli starego chłopca, który siedł za pługiem i ziemię orał.

¹⁾ Przyłbica—część żelaznego hełmu, którą można spuszczać na twarz. ²⁾ Spalone szczątki.

Królewicz poznał w nim ojca. Serce mu zabiło z radości. Zeskoczył z konia, padł przed starcem na kolana i zawołał:

— Ojcie mój! ojcie drogi! czy nie poznajesz syna?

— Jasiek! mój syn kochany i opłakany! moje dziecko jedyne! — krzyknął radośnie starzec, wyciągając spracowane ręce.

Wtedy zbliżyła się królewna. Biedny chłop nie wiedział, jak powitać żonę syna, piękną jak kwiat, jak słonko jasną; ale ona sama przystąpiła i w rękę go pocałowała.

Syn zabawił u ojca kilka dni, odwiedził grób matki i długo, serdecznie modlił się za jej duszę. Wyjeżdżając, chciał ojca zabrać z sobą do swego zamku, ale staruszek pokręcił głową i rzekł:

— Nie dla mnie zamki i pałace królewskie. Urodziłem się w tej chacie i w niej też umrę. Ty wracaj, mój synu, i panuj szczęśliwie, — ja cię błogosławię. Jedźcie z Bogiem, a mnie zostawcie z tą pociechą, że ty żyjesz i jesteś szczęśliwy.

Syn odjechał, ale przedtem prosił ojca, żeby go choć odwiedził, i starzec przyrzekł mu to.

Kiedy biedny chłopiek zajechał do zamku wózkiem w jednego konia, cały dwór, król i królowa czekali na niego w podwórzu, wszyscy dworzanie kłaniali mu się z uszanowaniem. A starzec zdjął czapkę i poszedł na przód do kaplicy, gdzie długo modlił się o szczęście syna.

Odtąd Janek co rok odwiedzał starego ojca, choć daleka była to podróż.

VI.

Kilka lat upłynęło. Raz, jadąc do domu, Janko zbłądził nocą w puszczy i dopiero nad dniem wydostał się na pole.

Właśnie było to pole jego ojca. Na zagonie stały dwa siwe woły przy pługu, ale oracza nie było.

Król zsiadł z konia i z radością dostrzegł ojca, siedzącego pod drzewem, a przy nim stały dwojaki ze śniadaniem.

Prędko pobiegł król Janko w tę stronę, ale jakże się zmartwił, kiedy zobaczył, że ojciec jego siedzi nieruchomy i blady.

Rzucił się przed nim na kolana, pochwycił zimną rękę i mówił, okrywając ją pocałunkami:

— Ojcie kochany! obudź się, przyjdź do siebie! To ja, syn twój, Jasiek!

Ale starzec już się nie obudził więcej.

Król Janko zapłakał gorzko, na własnych rękach przeniósł zwłoki ojca na cmentarz wiejski i pochował go obok matki.

Na grobie postawił piękny pomnik i często odwiedzał go i modlił się za rodziców.

Na miejscu zaś chaty wystawił zamek i zamieszkał w nim.

Długo, długo panował król Janko nad krajem swoim, kochany i szanowany przez poddanych. Żył długo i szczęśliwie, bo miał błogosławieństwo Boskie i ojcowskie.

(Z powieści ludowych przez M. G.)

Czy to baśń, czy powiastka? Wytłumacz, dlaczego?

Różnica między wyrazami: koń, szkap, rumak.



SPROSTOWANIE.

W zastosowaniu pisowni, uchwalonej przez Akademię Umiejętności w Krakowie dnia 15 stycznia 1918 roku, w kilku wyrazach na początku niniejszej książki należy głoskę *i* lub *y* zastąpić głoską *j*, a mianowicie:

<i>na str.</i>	<i>w wierszu</i>	<i>zamiast</i>	<i>ma być</i>
9	6 zgóry	Historya	Historja
11	15 „	<i>Zofia</i>	<i>Zofja</i>
18	10 „	historyi	historji
18	15 „	religię	religję
23	1 „	plebanię	plebanję
23	3 „	zakrystya	zakrystja
26	11 zdołu	zwaryowałeś	zwarjowałeś.



SPIS RZECZY.

	Str.		Str.
1. Wezwanie. <i>W. Pol</i> . . .	1	24. Czem są rośliny dla czło-	
2. Bardzo dawno. <i>C. N.</i> . .	2	wieka. <i>M. Brzeziński</i> . .	38
3. W kraju króla Gwoździ-		25. Dwa pługi. <i>St. Jachowicz</i>	40
ka. <i>Deotyma</i>	6	26. Dworek. <i>T. Lenartowicz</i>	40
4. Historia ziemi. <i>A. Wit-</i>		27. Płynie Wisła, płynie! <i>C.N.</i>	41
kowski	9	28. Jak to na Mazowszu. <i>T.</i>	
5. Lech. <i>Zofja Zacharkie-</i>		<i>Lenartowicz</i>	44
<i>wiczówna</i>	10	29. Krakowiacy	45
6. Gniezno. <i>C. N.</i>	11	30. Marjacka wieża. <i>E. Wa-</i>	
7. Gołębnik. <i>St. Jachowicz</i>	12	<i>silewski</i>	47
8. Przeszło tysiąc lat temu		31. Podziemny zamek. (<i>Pod-</i>	
(<i>Z W. Przyborowskiego</i>)	13	<i>ług „Upominku”</i>)	48
9. Swą miłością dla Ojczy-		32. Bolesław Chrobry. <i>Marja</i>	
zny	17	<i>Illicka</i>	50
10. W puszczy	17	33. Poranek na statku. <i>C. N.</i>	51
11. Modlitwa	21	34. Polska. <i>W. Pol</i>	53
12. Kościółek wiejski. <i>C. N.</i>	22	35. Paweł Cholewa.	
13. Jezus naucza na górze.		(<i>Z „Kmiotka”</i>)	54
<i>Ks. Serwatowski</i>	23	36. Chłopiek. <i>K. Brodziński</i>	56
14. Dzionek na wsi. <i>T. Le-</i>		37. Chleb i szabla. <i>I. Kra-</i>	
<i>nartowicz</i>	24	<i>sicki</i>	56
15. Bartoszek. <i>M. Brzeziński</i>	25	38. Szklanka wody. (<i>Wypisy</i>	
16. Przepiórka	28	<i>Rymarkiewiczza</i>)	57
17. Jesień. <i>T. Lenartowicz</i>	28	39. Wieczorynka u Ewci. <i>C.N.</i>	57
18. Sąd krasnoludków. <i>M. Ko-</i>		40. Łzy nieużyteczne	60
<i>noptnicka</i>	29	41. Dziennik Marysi. <i>C. N.</i>	61
19. Pierwszy snop. <i>K. Las-</i>		42. Myszka, kot i kogut. <i>St.</i>	
<i>kowski (El.)</i>	32	<i>Trembecki</i>	63
20. Ziarnko zboża. (<i>Podług</i>		43. Matka. <i>Z. Zacharkiewi-</i>	
<i>J. Zaleskiej</i>)	33	<i>czówna</i>	65
21. Rozmowa ze słońcem. <i>M.</i>		44. Ze wspomnień córki Mic-	
<i>Dymowska</i>	35	<i>kiewiczza. M. Górecka</i> . .	66
22. Czarne jagody. <i>E. B.</i> . .	35	45. Stara piosnka. (<i>Skarbiec</i>	
23. Baśń o krawcu i księży-		<i>strzechy naszej</i>)	68
cu. (<i>Podług Z. Zachar-</i>		46. Jak ze złem walczyć	
<i>kiewiczówny</i>)	36	trzeba	69

II

	Str.		Str.
47. Dla ojczyzny. <i>R. Kwiatkowski</i>	70	71. Brzoza. <i>C. N.</i>	111
48. Bolesław Krzywousty rycerzem. <i>J. I. Kraszewski</i>	71	72. Rubelek Tesi. <i>A. E. Odyniec</i>	112
49. Chrystus i dzieci. <i>M. Konopnicka</i>	73	73. Cztery prządk. <i>M. J. Zaleska</i>	115
50. Zima u krasnoludków. <i>M. Konopnicka</i>	75	74. Lny nam kwitną. <i>M. Konopnicka</i>	119
51. Zima. <i>T. Lenartowicz</i>	77	75. Leśniczówka. <i>H. Sienkiewicz</i>	120
52. Choinka. (<i>Z. „Latarenki“</i>)	78	76. W polu. <i>T. Lenartowicz</i>	122
53. Kolęda	80	77. Na grobach. <i>C. N.</i>	123
54. Śpiewak zimowy. <i>B. Dyakowski</i>	80	78. Wiosna. <i>T. Lenartowicz</i>	125
55. Żółw i zając. <i>Franciszek Dyjonizy Książnin</i>	82	79. Kazimierz Wielki. <i>J. U. Niemcewicz</i>	126
56. Chałat. <i>W. Gomulicki</i>	83	80. Podanie o założeniu Warszawy. <i>Z. Bukowiecka</i>	127
57. W zimowy wieczór. <i>Zofja Zacharkiewiczówna</i>	86	81. Powązki. <i>C. N.</i>	129
58. Polowanie na wilki. <i>K. W. Wójcicki</i>	87	82. Sierota. <i>J. Kasprzowicz</i>	130
59. Wilczki. <i>I. Krasicki</i>	92	83. Podanie o djable Borucie	132
60. Zając	93	84. Pies i pszczoły. <i>Franciszek Morawski</i>	133
61. Ochrona. <i>W. Kosiakiewicz</i>	94	85. Pies-złodziej	135
62. Niepiśmienny. <i>L. Kondratowicz</i>	95	86. Szare kaczątko. <i>J. Chrzęszczewska</i>	135
63. Konik zwierzyniecki. (<i>Wedł. Chociszewskiego</i>)	96	87. Cicha noc w górach. <i>R. Zmorzski</i>	138
64. Tatarzy. <i>B. Bielawski</i>	99	88. Biały bez. <i>Z. Szymanowska</i>	139
65. Flisaki	100	89. Skowronek i dzwonek. <i>W. Pol</i>	140
66. Legenda o skowronku. <i>M. Gawalewicz</i>	100	90. Zwycięstwo nad sobą. (<i>Z angielskiego</i>)	141
67. W pałacu liljowym. (<i>Z powieści Urbanowskiej „Gucio zaczarowany“</i>)	101	91. Niedziela. <i>L. Kondratowicz</i>	144
68. Słowik. <i>K. Gliński</i>	106	92. Anusia. (<i>Wypisy Rymarkiewicza</i>)	144
69. Taniec kwiatów	107	93. Koledzy. <i>C. N.</i>	145
70. Nasze kwiaty. <i>M. Konopnicka</i>	110	94. Gil i słowik. <i>Adam Naruszewicz</i>	147

III

	Str.		Str.
95. Szewczak. <i>C. N.</i> . . .	148	118. Jezioro w lesie. <i>H. Sien-</i>	
96. Talar i czerwony złoty.		<i>kiewicz</i>	193
<i>I. Krasicki</i>	150	119. Król puszczy. (<i>Część</i>	
97. Andzia. (<i>Z angielskie-</i>		<i>przyrodniczą z Brehma</i>) 194	
<i>go</i>)	151	120. Pieśń myśliwska. <i>L.</i>	
98. Furman i motyl. <i>I. Kra-</i>		<i>Kondratowicz</i>	196
<i>sicki</i>	155	121. Obiad św. Huberta. <i>B.</i>	
99. Mój przyjaciel Garon-		<i>Dyakowski</i>	197
<i>ne. E. Amicis</i>	155	122. Lis i kozieł. <i>A. Mic-</i>	
100. Lampa i uczony. <i>St. Ja-</i>		<i>kiewicz</i>	199
<i>chowicz</i>	157	123. Lisięta. (<i>Z Brehma</i>) .	200
101. Podejrzanie. (<i>Podług</i>		124. Zmyślność i roztrop-	
<i>B. B.</i>)	157	<i>ność dzieciółów. (Z B.</i>	
102. Miłość prawdy. <i>C. N.</i> 159		<i>Dyakowskiego)</i>	201
103. Kto silniejszy? <i>C. N.</i> 160		125. Nasz las. <i>J. Chrzę-</i>	
104. Lew i mysz. <i>Franciszek</i>		<i>szczewska</i>	203
<i>Dyjonizy Książnin</i> . . .	163	126. Walka węża z jasz-	
105. Kominiarczyk. (<i>Z Ed-</i>		<i>czurką. (Z B. Dyakow-</i>	
<i>munda Amicisa)</i>	164	<i>skiego)</i>	204
106. Jałmużna myśli. <i>M. Ko-</i>		127. Królestwo grzybów. <i>J.</i>	
<i>nopnicka</i>	166	<i>Chrzęszczewska</i>	206
107. Zabawy szkolne za cza-		128. Osina. <i>Or-Ot</i>	209
<i>sów Adama Mickiewi-</i>		129. Pogrzeb szczura. <i>M. J.</i>	
<i>cza. (Podług J. Tre-</i>		<i>Zaleska</i>	210
<i>tiaka)</i>	167	130. Żołądz i dynia. <i>Fran-</i>	
108. Pani Twardowska.		<i>ciszek Morawski</i>	213
<i>Adam Mickiewicz</i> . . .	170	131. Białowieża. <i>H. Sienki-</i>	
109. Zielona panienka. <i>Ma-</i>		<i>wicz</i>	214
<i>rja Świdarska</i>	174	132. Mnie wszystko tak cie-	
110. Paweł i Gaweł. <i>Ale-</i>		<i>szy. T. Lenartowicz</i> . .	216
<i>ksander Fredro</i>	178	133. Jadwiga. <i>Marja Ilnicka</i> 216	
111. List z Gdańska	179	134. Koronacja Jadwigi.	
112. Jurata, królowa Bałty-		<i>(Podług K. Szajnoch)</i> .	217
<i>ku. J. Warnkówna</i> . . .	181	135. Ranni na polu pracy.	
113. Staruszka. (<i>Podług An-</i>		<i>E. Amicis</i>	220
<i>dersena)</i>	183	136. Kochajmy się, bracia. 222	
114. Litwa. <i>W. Pol</i>	185	137. Lato. <i>T. Lenartowicz</i> .	222
115. Sen Giedymina. <i>C. N.</i> 186		138. Mała żniwiarka. <i>C. N.</i> 223	
116. Jeleń. <i>B. Dyakowski</i> .	189	139. Pieśń dożynkowa . . .	226
117. Czyj jest las? <i>W. Go-</i>		140. Na wodzie. <i>Wacław</i>	
<i>mulicki</i>	191	<i>Sieroszewski</i>	226

IV

	Str.		Str.
141. Powódź. <i>Zofja Zacharkiewiczówna</i>	231	164. Marcin Kątski. <i>Leon Rygier</i>	268
142. Figi	231	165. Dworskie łowy	270
143. Młodość Jagiellonów. <i>Klementyna Hoffmannowa</i>	232	166. Jak to na góralach. <i>T. Lenartowicz</i>	271
144. Najpracowitszy. (<i>Z „Upominku”</i>)	234	167. Pozdrowienie. <i>K. Tetmajer</i>	272
145. Lew i zwierzęta. <i>I. Krasicki</i>	236	168. Orzeł	273
146. Urszuliśka Kochanowska. <i>E. Estkowski</i>	236	169. Orzeł i żóraw. <i>Aleksander Fredro</i>	275
147. Tren VIII. <i>Jan Kochanowski</i>	240	170. Króliki starego Macieja. <i>A. Mickiewicz</i>	276
148. Trybunał lubelski	240	171. Huta żelazna w nocy. <i>Z. Bukowiecka</i>	277
149. Wilk i baranek. <i>Fran-ciszek Dyjonizy Kniaźnin</i>	242	172. Skarbnik. <i>Z. Bukowiecka</i>	280
150. Miłosierny Samarytanin. <i>Ks. Serwatowski</i>	243	173. Góral. <i>M. Batucki</i>	283
151. Jarmark. <i>C. N.</i>	244	174. Góral i górnik. <i>C. N.</i>	283
152. Wróbel. <i>I. Krasicki</i>	247	175. Bitwa pod Racławicami. <i>C. B.</i>	285
153. Walenty Wąs	247	176. Marsz pod Racławice. <i>Teofil Lenartowicz</i>	287
154. Wesele Jana Zamoj-skiego	250	177. Kościuszko i księżę Jó-zef	288
155. Wesele. <i>M. Konopnicka</i>	252	177. Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego. <i>J. U. Niemcewicz</i>	290
156. Szlachetna pomoc	253	178. Śmierć Kościuszki. <i>Jan Sawa</i>	292
157. Nasza szkap. <i>M. Konopnicka</i>	254	179. Mogiła Kościuszki	293
158. Dwa żółwie. <i>I. Krasicki</i>	257	180. A kto chce rozkoszy użyć	294
159. Stefan Czarniecki. <i>Marja Ilnicka</i>	257	181. Sen. <i>M. Konopnicka</i>	295
160. Szturm do Częstochowy. <i>H. Sienkiewicz</i>	259	182. Szlachetna duma. (<i>Mysł z Amicisa</i>)	298
161. Obrona Wiednia. <i>Kazimierz Góralczyk</i>	261	183. Do obywatela. <i>F. Karpiński</i>	300
162. Kartka z raptularza. <i>M. Konopnicka</i>	264	184. Historia „o dobrym synu. <i>Z powieści ludowych przez M. G.</i>	300
163. Wydra pana Paska	266		



Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

	Si	cen.
Bogucka C. i Niewiadomska C. Pierwsza książka do czytania. Z rycinami. Klasa podwstępna. Wyd. 7-me. Karton . . .	20	
— Druga książka do czytania, dla dzieci od lat 8 — 10. Klasa wstępna. Wyd. 8-me z 54 rycinami. Karton . . .	—	
— Nasi pisarze, ich życie i dzieła. Krótki zarys dziejów piśmiennictwa polskiego. Karton . . .	—	
— Nauka stylistyki i teorii literatury, oparta na przykła- dach i wzorach z dodaniem koniecznych objaśnień (Wypisy polskie na klasę IV). Wydanie 2-gie, przeje- rzane i uzupełnione. Karton . . .	50	
— Wypisy polskie na klasę I. Wydanie 7-me, przerobione Karton . . .	6 —	
— Wypisy polskie na klasę II. Wyd. 5-te. Karton . . .	6 —	
— Wypisy polskie na klasę III. Wyd. 4-te. Karton . . .	6 50	
Bogucka C., Niewiadomska C. i Warnkówna J. Podręcznik do ćwiczeń ortograficznych i systematycznego dyktanda według pisowni Akademii Umiejętności w Krakowie. z dodaniem uchwał Zjazdu Rejowskiego. Wyd. 12-te. Karton . . .	3 —	
Drzewiecki K. Nauka czytania i pisania, z objaśnieniami dla nauczycieli i wzorkami lekcyj, z 61 rysunkami. Wyda- nie 2-gie. Karton . . .	1 —	
— Pisownia polska z ćwiczeniami i dyktandami. Wyd. 2-gie, przejrane i poprawione i zastosowane do wyd. 4-go Gramatyki A. Kryńskiego. Karton . . .	2 —	
— Początki gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami i przykładami. Wyd. 7-me. Karton . . .	2 50	
— Składnia krótka języka polskiego. Z przykładami i ėwi- czeniami. Wyd. 4-te . . .	1 50	
Niewiadomska Cecylja. Elementarz, nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisma. Wydanie nowe. Karton . . .	90	
— Pierwszy rok gramatyki. Klasa wstępna. Wydanie 9-te niezmienione . . .	80	
— Drugi rok gramatyki. Klasa I. Wydanie 7-e . . .	1 —	
— Trzeci rok gramatyki. Klasa II. Wydanie 6-te . . .	50	
— Czwarty rok gramatyki (składnia). Wydanie 4-te, uzu- pełnione . . .	1 —	
Okołowiczówna St. i Orsza H. Nasze czytanki. Książeczka pierwsza. Jesień. Z 20 rysunkami . . .	50	
— Książeczka druga. Zima. Z 20 rys.	50	
— Książeczka trzecia. Wiosna. Z 20 rys.	50	
— Książeczka czwarta. Lato. Z 20 rys.	50	
Szober S., Bogucka C. i Niewiadomska C. Nauka pisać: Zeszyt . . . A	1 50	
Zeszyt . . . B	1 50	
Zeszyt . . . C	—	
Wehrowa M. Pierwsze czytania dla danie 3-cie poprawione . . .	—	
— Toż. Część II. Wyd. 2-gie . . .	—	

Biblioteka Narodowa
Warszawa

